



W. SIEROSZEWSKI  
WILK  
ŻELAZNY  
RÓJ



WACŁAW SIEROSZEWSKI / WILK ŻELAZNY

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE CO DO  
TŁUMACZEŃ I PRZERÓBEK ZASTRZEŻONE



138781

WACŁAW SIEROSZEWSKI

# WILK ŻELAZNY

WYDANIE TRZECIE

1 9 5 1

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“  
WARSZAWA



## I.

**P**olował Król w głuchych borach swego państwa —  
polował Król...

W gonitwie wśród gęstwin i bagnisk zgubił swój orszak. Znalazł się sam w puszczy na gniadym koniu, od którego złota łuna biła na ciemne omszałe pniska drzew, grubych jak kadzie, wysokich jak wieże kościelne. Zielonawy zmrok rozlewał się wokoło, czaił w załomach ziemi i drzew, w dołach wykrotów, w podcieniach gajów, niby wielooki drzemiący smok.

Byстрыm wzrokiem Król wpatrywał się w przeloty lasu, bacząc, czy nie przemyka się gdzie sarna płowa, nie przekrada czarny tur, nie przepelza lis ognisty. Ale było martwo i cicho; jeno w dali, jak szum uchodzącej burzy, grzmiała wrzawa oddalających się obławników i ciężkie ich młoty kamienne waliły jak pioruny o drzewska...

Wtem wydało się Królowi, że siwy cień sunie nisko przy ziemi w stronę przeciwną od tych głosów. Wyciągnął coprędzej z sajdaka strzałę o miedzianem ostrzu, położył na tęgiej cięciwie łuku i puścił. Brzękła jak osa i utonęła w zmierzchu. Jednocześnie rozległ się cichy jęk. Król spał srebrnymi ostrogami konia i rzucił się w tę stronę.

— Trafiłem!... — pomyślał radośnie.

Ale na miejscu, gdzie padła strzała, nie znalazł nic; natomiast znowu opodal rozległ się cichy, podobny do skowytu jęk. Król ponownie spał chrapiącego konia ostrogami i skoczył. Siwy cień pomykał przed nim, kryjąc się wśród korzeni i pnisk.

— Raniony!... — szepnął Król i drugą strzałę na cięciwę nałożył.

Daremnie jednak to z jednej, to z drugiej strony zajeżdżał, opierającego się konia ostrogami przynaślał; raniony zwierz krył się zręcznie, na rzut strzały nie dopuszczał, ale i z oczu nie znikał. Gniewał się Król, cugłami konia szarpał, ostrogami boki mu krwawił, zapatrzony na siwy cień, to zjawiający się, to niknący w zielonawej pomroce. Nie spostrzegł, że wierny jego rumak drży, że lęka się, że grzywa mu się jeży... Nie widział, że to już nie jeden cień, lecz kilka ich miga to tu, to tam i zwodzi go wyraźnie. Aż nagle zaroily się jak mrowie blade cienie, wyskoczyły z poza pni, wychyły z wądołów, wypełzły z obrosłych sitowiem bajorów. Zalsniły ogniki ich ślepi równo nad ziemią jak krwawy różaniec. Koń zatrzymał się i przysiadł na zadzie. Zrozumiał wreszcie Król, co mu grozi, ujął w garść złotą brodę i wsunął ją za piersi za kołnierz skórzanego kaftana, żeby mu nie przeszkadzała w bitwie. Poczem jął szybko strzałę za strzałą wypuszczać, mierząc w krwawe ogniki. Z dzikiem wyciem leciały teraz ku niemu siwe szeregi. Wreszcie nie wytrzymał straszego widoku koń bojowy, spał się, okręcił na tylnych nogach i wichrem popędził od napastników. W tej ucieczce Król



pogubił strzały, łuk mu pękł, uderzony o nawisłą na drodze rosochę, został jedynie u boku krótki, ciężki brązowy miecz...

Pędził Król naoslep i od czasu do czasu grał na złotym rogu, nawołując strażę. Zdaleko wszakże odbiegł od nich, aby go mogły usłyszeć.

Zato wilki były coraz bliżej. Już siwe ich kudły migotały z obu stron, już wyprzedzały go... Koń robił ciężko bokami, charczał, potykał się, wyciągał cudną szyję, jak lecący łabędź, a biała piana całkiem pokryła złotą jego sierść i złotą grzywę. Z wrzawą, z wyciem, z tętentem lecieli tak po sennym lesie, strasząc zdumiałe obumarłe drzewa. Aż spostrzegł Król, że siwe cienie migają już przed nim, że jest otoczony. Wtedy zeskoczył z konia na zwalony pień, wdrapał się wysoko na ogromne, sterczące ku górze korzeniska, oparł plecami o tarczę potwornego wykrotu, oblepionego kamieniami, gliną i mchem, podniósł oburącz swój ciężki miecz brązowy...

Wilczyska obległy go natychmiast, jak fale powodzi. Przez nie rwał chwilkę jego rumak, trącał je kopytami, szarpał zębami, aż z żalosem rżeniem wspiął się, runął i utonął w ich skłębionem mrowisku.

Teraz wszystko zwróciło się na Króla.

Szerokie kosmate mordy, rozdziawione pyski z białymi kłami, czerwone ozory, łapy, zbrojne w szpony żelazne, pięły się ku niemu, wznosiły coraz wyżej, gęsto błyskając rubinowemi jak żar ślepiami.

Co gorsza, Król dostrzegł poza pierścieniem leśnych bestyj brunatne ciała znanych mu leśnych włó-

częgów, półnagich dzikusów, żyjących za pan brat z leśnym zwierzem, odziewających się w skóry wilcze i ukrywających swe kudłate łby pod wilczemi szłykami. Te hordy krążyły dotychczas luźno na pograniczach jego państwa i żywiły się przeważnie tem, co zdążyły skraść lub zrabować u jego pracowitych oraczy.

Potrząsali łukami i szczuli na Króla wilkołackiem wyciem i podszczekiwaniem:

— Hau!... hu!... huź!...

Nie mogły się wszakże wilki dostać na pień, wysoko wsparty na gałęziskach i okrzewiach, a ich człowieczy pobratymcy niewiadomo dla czego nie puszczali strzał. Dodało to Królowi otuchy, zatrąbił ile tchu starczyło w róg i stanął mocno w kroku; potem swój ostry miecz opuścił, zatoczył jego końcem szerokie półkoło i obtarł pień z wilczej piany.

Z wyciem, ze skomleniem opadła nawała rozżartych bestyj, pogasły ślepia, zalane posoką... Ale trwało to chwilę, poczem znowu wezbrały straszliwe zastępy, spiętrzyły się i zaszalały wokoło, szukając drogi...

Niedługo Król dostrzegł, że znalazły przejście po pniu od rozpląsniętej na ziemi korony drzewa. Zrozumiał, że koniec jego bliski, i znowu, ile miał mocy w piersiach, zatrąbił w swój złoty róg. Wilki odpowiedziały mu wściekłym wyciem. Jednocześnie grzbietem drzewa, jak po kładce ruszył ku niemu szereg doborowych przeciwników. Przodem szło wielkie, siwe, prawie białe wilczysko ze łbem szerokim, potężnym jak u niedźwiedzia. Mordę naprzód

wytknął, paszczę zlekka rozdziawił, że widać było straszliwe zębiska, a ostre uszy położył za siebie... Szedł wolno, mocno wpierając twarde szpony w ośli-zgłą od wilgoci korę drzewa, i zad pod siebie podbierał, gotując się do skoku. Król patrzył mu w gorzące ślepia i nie ruszał się. Dopiero gdy bestja zatrzymała się zupełnie blisko, postąpił śmiało pół kroku i ciął mieczem brązowym. Śmiertelnie rannione wilczyisko potoczyło się jak kłęb śniegu na lby spoglądających z dołu towarzyszy. Tymczasem Król, nie zwlekając, ciął raz drugi i zrzucił z pnia drugiego zwierza. To wywołało popłoch wśród napastników. I gdy Król znowu ku nim postąpił, błyskając złocistą szatą i mieczem ognistym, rzucili się w popłochu wtył, skłębili, wpadli na siebie i, gryząc się wzajem, wyjąc ze strachu, skomląc z przerażenia, spadli z pnia na dół na ciekawie przyglądające się im stado. Wtedy i reszta, podwinawszy ogony, zaczęła uciekać w przerażeniu.

Król cofnął się na swe stanowisko i wytarł spoczone czoło.

Wilki zatrzymały się opodal, a skupieni za nimi włóczędzy leśni zaprzestali szczucia i zdawali się ze sobą naradzać. Ale nie trwało to długo. Jakiś pomruk piekielny, podobny do szelestu wichury w leśnej gęstwinie, podniecił ich; zerwali się znowu ludzie i zwierzęta, oblegli wściekłą powodzią stojącego na pniu Monarchę. Ten, doświadczony w bojach, pojął, że zaraz napad ponowią, mocno się oparł stopami o nierówności pnia i czekał spokojnie z wzniesionym mieczem. Istotnie tłum wilków już wpadł

na drzewo i, obślizgując się, przewalając, popychając się wzajem, leciał ku niemu. Znowu Król, nie czekając na nich, krok naprzód postąpił, pociął przeciwników, popłatał, pospychał — poczem cofnął się, aby chwilkę wypocząć. Ale wilki tym razem nie uciekły; niezadługo znów były u jego nóg. Chwytały go za poły rozwianego kaftana, za buty, za pochwę oręża, ciągnąc na dół w przedśmiertnych podrygach. Poczul Król, że rychło zginie, że siły go opuszczają... Więc coraz częściej w krótkich odstępach dał w złoty róg, trąbił, trąbił rozpaczliwie na swoich dworzan, na swoje liczne wojska... I wydało mu się przez chwilę, że odpowiada mu gdzieś zdala srebrna trąbka Wielkiego Łowczego. Nabral otuchy, kilkoma potężnymi cięciami pień z wilków oczyścił, oparł zmęczone ciało o tarczę wykrotu, aby wytchnąć cokolwiek, i słuchał... Srebrna trąbka grała już gdzieś niedaleko. Wilki wahały się i niechętnie spozierały na pień pomimo zajadłego naszczuwania włóczędów. Gdy wtem tuż za Królem rozległ się i zawarkotał coraz bliżej łoskot, podobny do szcękę tysiąca bijących o ziemię oręży. Wilki zawyły radośnie i znowu zamrowiły się na pniu. Król zadął raz jeszcze przenikliwie w róg, ale w jednej chwili ktoś mu go z rąk wytrącił, miecz wyrwał... Przerażone oczy Króla zdołały dostrzec tylko poza wykrotem ogromny czarny cień... Włochata żelazna łapa przycisnęła go, ugiął się pod jej ciężarem, potoczył i spadł z pnia na ziemię...

Gdy ocknął się, poczul przedewszystkim twarde kolana na piersiach, a nad sobą ujrzał wilczem fu-

trem okrytą pierś i straszliwą przyłbicę żelazną w kształcie wilczego pyska. Z dziur przyłbicy patrzyły nań zimno okropne stalowe źrenice.

— Jesteś moim jeńcem, Królu!... — rozległ się głos cichy, lecz silny. — Twoje państwo rozległe prawem wojny do mnie należy. Twój rolnik spokojny, gdy zechcę, dla mnie siał i zbierać będzie!... Twoje stada karmić będą me wojska nieprzeliczone... Twoje zamki i grody warowne staną się memi legowiskami, a twój lud mego ludu sługą i niewolnikiem!...

— Ktokolwiek jesteś... dobij mię!... Poco się znęcasz? — jęknął Król.

— Nie potom żywcem brać cię kazał!... Nie potom stracił tyle sług wiernych... Nie przez litość dla ciebie!... Nie!... I to co mówię — nie dla urągania, ale na rozkaz mych bogów, mych wróżów... Słuchaj więc spokojnie! Wszystko się odmieni, puszcze cię wolno i nawet na twe krainy napadać przestanę, ale mi obiecaj, że mi oddasz w zakład przymierza, na wieczną własność: „to, czego nie było jeszcze nigdy, a jest już w twoim pałacu, co choć twoje jest, a czego nie znasz, w czem przyszłość i terażniejszość łączą się niby wody zlewających się rzek!...“ Tak kazali mi powiedzieć nasi siwi wróżowie!...

— Puść mię, abym mógł pomyśleć!... — zwrócił się do zwycięzcy Król, a gdy ten usunął mu z piersi kolano, podniósł się, usiadł i zadumał.

— Cóżby być mogło, co do mnie należy, a czego nie znam? — rozmyślał, zwolna przychodząc do

siebie i nieustannie nasłuchując, czy nie doleci go z oddala granie rogów myśliwskich. — Wszystko ważne znam i pamiętam!... Cóż więc to jest?!...

— Poco ci ta rzecz? — spytał, chcąc zyskać na czasie.

— Sam nie wiem. Chcą tego wróżowie, a zwykliśmy ich słuchać. Zresztą niewolno mi wiele z tobą gadać.

— A jeżeli powiem... nie?!...

Zzymnął się rycerz żelazny.

— Uległeś w walce, pozwoliłeś się wciągnąć nierozważnie w zasadzkę... Powiodę cię jako jeńca przy moim koniu z grodu do grodu, abyś był świadkiem, że uczynię wszystko, com obiecał, z twym ludem...

Król bystro spojrział na rycerza.

— Sądząc z głosu, młodzieniaszek jakiś... niedowarzony barbarzyńca! Usłyszał pewnie przesadne opowiadania o jakiejś błyskotce w moim pałacu... Dużo tego jest i być może, że czego nie znam!?... Leży w kącie schowane... Powiedzieli mu o tem schwytni jeńcy... A chytrzy, dzicy wróże tumania tych sobie podwładnych... wilkołaków rozmaitemi gusłami... Może im potrzebny do czego ten przedmiot dziwaczny?!... Ha, tem lepiej!... — postanowił Król z szybkością błyskawicy, dostrzegłszy niecierpliwy ruch ręki rycerza.

— Zgoda! — rzekł głośno. — Dam ci, czego żądasz, ale pamiętaj, że w ciągu lat dziesięciu uszanujesz moje granice!...

— Ale po mój... zastaw przyjdę, kiedy mi się spodoba!

— Po zastaw? A no tak: po zastaw!... Przychodź, przychodź, choć jutro! Ale pozwól odgadnąć, czy to czasem nie mój ulubiony puchar kryształowy, w którym woda i wino mieszają się jak nurt Bożeny z nurtami Popławy, hę?... Co?... Dawno mi go już nie podawano i doprawdy zapomniałem o nim?... — pytał już łaskawie. — Albo nabijany turkusami pas, który w sekrecie przygotowała dla mnie na imieniny Królowa?... Sekret zdradził mi szatny, gdym nowy pas zamówić kazał... Dlatego dopytuję się, abym czasem przez niewiadomość nie zgubił, albo nie darował komu rzeczy tobie obiecanej, rycerzu!... Owszem, powtarzam, że oddam ci co zechcesz z pałacu... Więc mię puść, gdyż towarzysze szukają mię i są niespokojni!

— Straże moje wstrzymają twych towarzyszy!...

— zaśmiał się rycerz żelazny.

— Tembardziej! O cóż więc chodzi? Puść mię i przybywaj w moje dziedziny, a przyjmie cię godnie!

— Pierwej przysięgnij, że dotrzymasz obietnicy, i pamiętaj, że za złamanie przysięgi srogo się zemścę. Tak nakazują nasi bogowie!

Król przysięgł, trochę dotknięty okazanem mu niedowierzaniem. Gdy wstał i potargane ubranie poprawił, już ciemna postać rycerza, otoczona zastępami wilków, nikła w zmierzchu leśnym.

Król odszukał swój strzaskany miecz, swój złoty róg i natychmiast zagrał na nim przeciągle raz, drugi

i trzeci. Rychło odpowiedziało mu srebrne echo. Król poszedł w tym kierunku, trąbiąc od czasu do czasu. Zatętniały wkrótce kopyta po twardej glebie boru i zabłyszczały w zmierzchu złociste zbroje królewskiego orszaku.

Zeskoczyli rycerze i dworzanie z koni, otoczyli pana swego, zdumieni i przerażeni bladością jego twarzy, strzaskanym orężem i krwią na podartych szatach. Ale ponieważ Król milczał posepnie, nie śmieli go pytać. Wielki Łowczy podprowadził mu swego konia, Miecznik podał mu na klęczkach swój miecz. Król wskoczył na siodło i skinął na leśniczych, aby wiedli go do domu. Popędzili z tętentem i łoskotem, a w cichym borze, w zielonawym jego zmroku zostały jeno trupy pobitych wilków, złotem okute siodło królewskie i szczątki rozdartego konia.

## II.

Dopiero gdy wyjechali z gąszczów leśnych i znaleźli się wśród otwartych, uprawnych rozłogów, Król poweselał. Spojrzał na kołyszące się w słońcu łąny zbóż, na ciche wioski, kryjące się w sadach zielonych, na wieśniaków w białych płótniankach, prowadzących w jarzmach siwe woły, na ciemne zamczyska na wzgórzach, strzegące kraju od nieprzyjaciela — spletaną brodę palcami rozczesał i uśmiechnął się:

— Jaki okup może być za wielki za spokój tego kraju, za szczęście tego ludu, za moje wreszcie życie,



za moje mądre rządy?... Co za zamęt-by wynikł, gdyby mię nagle nie stało? Jużby tutaj teraz szalały rozzuchwalone wilkołackie hordy!... Jużby płomień hulał po zamkach i siołach... Krew lałaby się tam, gdzie teraz wietrzyk muska kwiaty, a płacz i jęki rozlegałyby się tam, skąd teraz leci piosenka!... Nie, zaiste! Tanio zapłaciłem za moją przygodę — obietnicą tego, czego nie znam, a więc czego nawet żałować nie mogę! Niech bierze! Choćby nawet cały mój pałac złocony zabrał, nic to jest w porównaniu z tem pięknem państwem! Co stracę, poddani mi zwrócą. Zbudują i wyrobią znowu, co mi Wilczysko zabierze!

Spiął konia ostrogami i popędził wesoło ku zamkowi, którego ostre wieżyce już rysowały się na dalekim wieczornym nieboskłonie.

Zamek królewski nie był obronny, nie miał wokoło ani murów, ani fos, ani wałów. Bram nie strzegły mosty zwodzone... Król był dobry i twierdził, że miłość poddanych jest jego murami, a ich strażą — jego sprawiedliwość.

Zato wokoło zieleniał cudny ogród, pełen kwiatów, roślin niezwykłych, dziwów zamorskich, muszli, głazów, posągów, rozsypanych kunsztownie po szmaragdowych łąkach. Chowało się tam mnóstwo półoswojonego ptactwa, kolorowych papug, bażantów złotych i srebrnych, białych i szafirowych paw. Czarne i białe łabędzie pływały po lustrzanych stawach, a w ich przejrzystych głębinach, wśród lasu porostów, uwijały się złote i srebrne rybki, pływały wielkie czerwone jak miedź karpie i karasie. Sarny, daniele, jelenie i kozice biegały stadami po gajach,

piły wodę z kryształowych ruczajów i szczypały miękką jak jedwab, trawę. Na wiosnę cały ogród huczał od śpiewu słowików, gwizdania wilg, szczebiotania drożdów. Wszystkim było tam dobrze, gdyż Król surowo zabraniał strzelać do zwierzyny w parku, nie pozwalał nawet tam łapać motyli, a zakazu tego bacznie pilnowali liczni łowczowie.

Król bardzo lubił swój pałac i ogród i nazywał je „Ostoją Pokoju“.

Ale tym razem, gdy wjechał na wysypaną żółtym piaskiem pałacową aleję, zachmurzyło się znowu jego oblicze. Daremnie ulubiona sarenka wybiegła z krzewów i, idąc obok wierzchowca, lizała pokornie królewskie strzemię, Król ani spojrzął na nią.

— Co powiem Królowej — rozmyślał. — Co powiem jej o tym obrzydliwym Wilczysku? Czyż mogę opowiedzieć jej, jak on cuchnącemi kolanami gniótl mi piersi? Jak targał moją złotą brodę? Czy mogę przyznać się jej, że się go zląkł, że się drżał pod jego strasznym wzrokiem stalowym?... Że walałem się w prochu, że uległem?... Nie, nic jej lepiej nie powiem! Niech hańba moja mnie samego gryzie! A gdy przyjdą gońce od Wilka, oddam mu, co zechce, i udam, że to dobrowolny podarunek sąsiedzki... Tak będzie najlepiej! Poco ma się martwić!?

Było jednak przykro Królowi, że musi przed żoną kryć się i kłamać. Jechał więc wolno ze spuszczoną głową, a za nim orszak, ucichły na widok smutku Pana. Okrążyli wielki klomb heljotropów, mieniących się w różowym zmroku wieczornym jak kupa ametystów, i zatrzymali się przed szerokimi mar-

murowemi schodami przedsionka. Król czekał, aż wyskoczą giermki i przytrzymają mu konia. Ale nikt nie zjawiał się, więc podniósł głowę i spojrział ze zdziwieniem na ostrołukowe, szeroko otwarte podwoje wejścia. Nikogo ani tam, ani w pobliżu widać nie było — cisza panowała głęboka. Jeno z ogrodowej alei biegł, trzymając się za nos, królewski wesolek, Bączuś...

— Cicho!... cicho!... — wołał. — Niespodzianka!... Ani pisnąć, ani kichnąć, ani skrzypnąć!... Niech Król Jegomość na paluszkach stąpa, a dwór niech zapomni nawet, że ma nogi!... Tylko ja sobie pozwolę mogę: bzzzy!

Bzyknął i okręcił się na jednej nodze jak fryga.

— Gadaj, co takiego? — niecierpliwił się Król.

— Nie mogę. Królowa Jejmość zabroniła! Nie mogę! Bzzzy!...

I znowu obrócił się jak fryga.

Już orszak schodził z koni, już giermkowie i stajenni dopadli tłumnie przyjezdnych, brali od nich rumaki, a Król wciąż siedział na koniu i tarł dłonią stroskane czoło.

— Co się stało?... Powiesz nareszcie, przekłety błaźnie?!

Bączuś odskoczył, zakrył sobie twarz rozczapierzonymi palcami i jęknął płaczkliwie:

— Nie gniewaj się, Królu, ale ciesz, ale gwizdź, ale przytupuj sobie, zaśpiewaj, potańcz... i... podaruj mi... dukata! — Podaruj mi... dwa dukaty!

Król cisnął gniewnie trzęźlę na ręce pacholka i ruszył w głąb pałacu. Serce mu biło niespokojnie, mi-

mowoli kroku przyśpieszał, a za nim szedł na palcach strwożony orszak.

— Gdzie Królowa? — zapytał spotkaną dworzanekę królowej.

Pani przysiadła nisko, bacząc pilnie, aby strojna jej suknia ułożyła się dookoła w piękną banie.

— Jej Królewska mość... w sypialni! — odszepnęła słodko.

— Czy nie chora?

— Jej Królewska Mość kazała prosić niezwłocznie po przyjeździe Waszą Królewską Mość do siebie!

— Jakaś zmowa! — mruknął Król, targając koniec złotej brody.

I tak jak był w zbroi i w zbrukanych podartych szatach myśliwskich udał się do komnat małżonki.

Przeszedł salę rycerską, gdzie z chrzęstem powstali na jego powitanie od palących się na kominkach ogni zakuci w miedź i żelazo rycerze; minął salę jadalną, gdzie wśród potężnych kolumn jaspisowych długie stoły, zastawione srebrem, puharami z rzniętego szkła i kryształu, cynowemi misami, wazami pełnemi owoców i kwiatów, — czekały na zgłodniałych myśliwców. Wszedł na schody wewnętrzne, wyłożone po bokach ślicznie rzeźbionem drzewem, i po miękim kobiercu wstępował wolno, zapatrzony w kolorowe witraże, rozpalone zorzą wieczorną.

Królowa miała komnatę w wieży środkowej całą z lustrzanych szklanych ścian. Mieszkała więc niby w wielkim kryształce, do którego o świcie zaglądały różowe mgły z dołu; potem wchodziła purpurowa jutrzienka; przez dzień cały całowało ją rozkochane

słońce; wieczorem pieściła zorza wieczorna; w nocy zaglądał księżyc srebrny i mrugały gwiazdy dalekie...

Ale tym razem, gdy Król wszedł, znalazł okna przysłonięte grubemi makatami, woskowe świece jarzyły się w wysokich brązowych świecznikach popod ścianami, a na środek wysunięte było wspaniałe łoże królewskie pod baldachimem ze złototkanych bławatów.

Na poduszkach leżała Królowa.

Zobaczywszy Króla, uśmiechnęła się blado i usiadła, wyciągając ku niemu rękę; jednocześnie skinęła na służebną i ta wyjęła z kołyski parę ślicznych dzieciaków w poduszkach.

Król schwyił się z przerażeniem za głowę.

— Jakże się stało, żem mógł się tego nie domyślić?!...

W strapieniu nie zauważył wyciągniętej ku sobie ręki żony. Królowa po jakimś czasie, zdziwiona i urażona, cofnęła ją i zmarszczyła brwi:

— Myślałam, że się ucieszysz?! Takeś pragnął dzieci! Córeczka i synek!... Ale ty nawet na nich nie patrzysz!

— Ach, tak... tak!... — bąkał z wysiłkiem Król, rozchylając grubemi palcami koronki, wśród których, niby pączki kwiatów, spały maluchne główki.

Królowa przypatrywała mu się gniewnie z pod oka; służebna ciekawie a nieznacznie śledziła oboje.

— Widzisz... nie... powiodło mi się na... polowaniu... Złe miałem łowy... Wogóle... przykro...

— tłumaczył się niewyraźnie Król.

— O tak! Rozumiem, że są to powody dość ważne! Bez wątpienia!... Ale... mimo to... — przerwała

mu Królowa, siłąc się powstrzymać nawisłe na rzęsach łyzy. Podniosła chusteczkę do oczu i dlatego nie widziała, że i u Króla ręce się trzęsą, a usta i broda drgają boleśnie.

Wreszcie odwrócił się od żony, od dzieci, od niańki i wyszedł, bąkając:

— Tak, tak, chowajcie je, chowajcie zdrowo!... Pielęgnujcie!

Teraz dopiero Królowa zauważyła pełne zdumienia spojrzenie pani służebnej, wpatrzone w szerokie barki uchodzącego Króla.

— Idź wypocząć, Kingo! Dzieci daj tutaj... Kiedy będziesz potrzebna, zawołam na Ciebie!

Służebna podała dzieci, skłoniła się pokornie i wyszła.

Wtedy Królowa przypadła twarzą do małych, pulsujących żyłczkami główek niemowląt i zaszepiała z płaczem:

— Maleństwa moje kochane, dzieciuszki moje drogie, nie jesteście wy nikomu na świecie potrzebne!... Nikt was nie kocha!... Tylko ja, tylko ja...

### III.

Ruch wre w całym zamku królewskim. Szczękają oręże, tętnią kopyta; co chwila nadszjadają zbrojne orszaki i zsiadają z koni przed marmurowymi schodami sklepionego przedsionka. Na basztach okolicznych grodów ognie wiciowe dymią we dnie, płoną w nocy jak posępne gwiazdy — wzywają ludzi do broni. Ciągną drogami z głuchym łoskotem

drużyny wieśniaków; jak języki płomieni błyskają w kłębach kurzawy brązowe ostrza ich dzid i miedziane hełmy. Okrągłe skórzane pawęże i wielkie tarcze drewniane ciężko zwisają na ramionach i barach, które niedawno dźwigały snopy zboża. Z żalością patrzą rolnicy na szumiące kłosa dojrzewających niw, które niezżęte osypią się niebawem. Płaczą żony, płaczą matki, płacze opuszczona dziatwa...

W szeregach ciągnących żołnierzy brzmią bezładne rozmowy:

— Król gniewa się!...

— Dokąd znowu powiodą nas?!

— Podobno Wilki napadły na południową granicę!...

— Nieprawda, tam cicho! Widziałem wczoraj łucz-  
ników, co przyszli z tamtych stron...

— Nie Wilcy, lecz Północni barbarzyńcy!... Na  
Północnych idziemy!

— Ach, wszystko jedno na kogo, byle prędko wró-  
cić!... W domu tyle roboty!

— Wróć, ale nie wszyscy! — szepnął ktoś posepnie.  
Zapanowało milczenie.

— Co tam zawczasu się smucić! Śpiewajcie, chłopcy!

Już się trąby odezwały,  
Już do boju w kotły biją,  
Dzisiaj, bracia, pola chwały  
Licznym trupem się pokryją!...

. . . . .  
Dalej, dalej naprzód, śmiało,  
Jak na wolny lud przystało!

... huknął chór.

Obległy wojska zwartym pierścieniem pałac królewski, dym niezliczonych ogni żołnierskich owiał go niby brunatna chmura. Codzień stada wołów i owiec pędzą z dalekich folwarków królewskich; codzień z zasobnych śpichlerzy dworskich rozdają ziarno, mąkę i jagły; codzień z pałacowych podziemi wytaczają ogromne beczki miodu i piwa. Wszystko niknie natichmias jak w przepaści w tysiącach ust i głodnych żołądków... Tegie, wypoczęte ręce, syte ciała daremnie szukają pracy; więc co chwila wznikają zwady, bójki, hałasy... Uwijają się po obozie zafrasowani dziesiętnicy i setnicy — wdrażając porządek... Miarowo kroczą szeroką drogą wojskowe oddziały, udające się na ćwiczenia lub wracające z nich...

Tumult, wrzawa, kurz.

Rżą konie, krzyczą ludzie, szczękają oręża, a wszystko błyska krwawo miedzianą albo ciemno żółtą bronzową zbroją. Tu i owdzie załśni jak księżyc w chmurach srebrny puklerz znamienitego rycerza albo zamigoce słonecznie połacany pancerz knezia.

W sali rycerskiej pełniutko. Na olbrzymim kominie płoną na drogocennych rusztach żelaznych — kłody dębowe. Siedzą przed ogniem na ławach rycerze przedniejsi, wojowie i komesi, popijając miód i piwo ze srebrnych dzbanów. Odpasali miecze, zdjęli przyłbice, pozrzucałi rękawice bojowe. Poza nimi wzdłuż ścian i u schodów, wiodących do wewnętrznych pokoi, kupi się młodzież; gwarzy półgłosem o łowach, o wyprawach, o koniach i zbrojach...

Porównywa starodawną miedź i żelazo:

— Niema to jak bronz z Miedziogóry!... Twardy,



ostrzy a utoczysty... Przed takim brzeszczotem, gdy tniesz oburącz, nie ostoi się żadna powłoka, ani łyuczana, ani skórzana, ani kościana... Nawet blachę miedzianą, nawet żelazną przetnie!... I niełatwo się tępi!...

— Zato szczyrbi się i pryska. Dość, aby ręka trochę się powinęła na płaz, a już go niema! W dłoni zostaje nieużyta rękojeść. Tosamo z grotem oszczepu lub strzały: jak żądłem nie trafi, zaraz się wyszczerbia i rozsypuje. I nic już z niego, nie przekujesz go, nie poprawisz, trzeba oddać łam do odlewacza albo rzucić!... Już lepsze dawne ostrza kamienne!... Doprawdy!...

— Éch, głupstwo!... Nad jedną strzałką kamienną pół dnia pracy! Widziałem ja coś lepszego: — oręż biały, cudowny, wilczy oręż żelazny... Niby to bronz, a nie bronz... Można go giąć i prostować jak słomiane powróśło, póki gorący, a zanurzony do wody, ryczy z gniewu jak smok i twardnieje w zaciętości na kamień... Znacnie go dobrze, ten oręż, gdyż używają go Wilcy... I skąd go mają ci ciemni włóczędzy?!...

— Po górskich szczelinach, u źródeł rzek szukają czarownych kamieni wybrani młodzieńcy, najcnotliwsi, najlepsi!... Z wielkimi zaklęciami i w tajemnicy, przez post surowy, próby i modlitwy szykują się ku temu... Potem prażą żywą opokę w ogniu, lejąc weń tłuszcze objaty na wolnym wietrze, na przedmuchu... Pilnują wybrańców wróżowie, uczą kowali siwi ofiarnicy... Nikt nie śmie podpatrywać ich dziejów... Zginie śmiercią albo w wiecznej nie-

woli pracować będzie, przyprzęgnięty u ich kowadeł... śmiałek ciekawy.

— I gdzie znaleźli oni taki czar?...

— Włóczą się po całej ziemi, więc im łatwo... A my co, co wiemy, my, przykuci do zagona?!...

— Złodzieje i zbóje!... Pewnie i czar ten gdzieś ukradli!... Żyją tylko z tego co u nas złupią, uniosą... Skądżeby oni mogli co wymyślić, kudłate wilcze mordy!?

— A przecie wymyślili... Teraz wszyscy, co żelazo mieć chcą, płacić im muszą haracz, a bez żelaza już obejść się trudno... Szkoda, że go mało sprzedają!...

— Wolą rabować...

— Pańska zabawa żelazo!... Dla nas i miedź i ołów i bronz dobry!

— Nie mów tego! Co innego lemiesz, co innego narzędzia domowe — niema lepszych nad nasze. Ale oręż wilczy — przedni, a głównie lekki!... Nie łamie się, więc mogą brać z sobą po jednej szabli i włóczni, gdy my musimy brać ich kilka... Twardszy od miedzi, nie gnie się, nie tępi... Dlatego choć te dzikusy nie mogą dać rady naszemu wojsku w gromadzie, bo nie znają szyku, nie znają okopów i sztuki wojennej, ale za to biją nas małymi oddziałami, skubią i dręczą jak muchy... Ciężka będzie z nimi prępa, szczególnie teraz, kiedy zaczynają się skupiać i naśladować w boju nasze uczone rządy...

— Powiadają, że nowy ich wódz czy król, nie wiem, jak go zwać, bo rządzą u nich wszystkim starcy... Otóż, powiadają, że ten ich naczelnik wojenny,

syn starego Wilczury, młody jeszcze smyk, ale dzielny i łepak zabiegliwy, wszystko chce w garść wziąć i połączyć...

— Nie uda mu się, nie uda!... Słuchana to rzecz, żeby wilki pogodziły się!... Idą razem, póki niema zdobyczy, a nad nią zaraz zęby szczyrzą!... Takie ich przyrodzone narowy!... I to całe nasze szczęście! Nie przerobi woła na sokoła!

— Nikt go nie widział. Mówią, że wzrokiem zabija!...

Tak szeptali między sobą wojownicy, poglądając co chwila, czy nie rozchyła się purpurowe kotary w podwojach i nie ukaże się Król.

Spoglądała często w tę stronę i starszyzna.

— Zmienił się. Bardzo się zmienił. Gniewliwy się stał. To niedobrze, bo lud łatwiej prowadzić dobrocią!... — gadał siwobrody rycerz w białej opończy.

— Od powrotu z tego nieszczęsnego polowania nie gada z nikim, nie uśmiecha się, nie naradza. Nawet Bączuś rozweselić go nie może. A co się w lesie stało, nikt nie wie!... Chyba astrolog Dydko!... Ho, ho!... Chytra to sztuka!... wtrącił rycerz w opończy purpurowej.

— Wojsko z całego państwa, moc ludu zebrał teraz w same żniwa i 'trzymaj... — dorzucił rycerz w opończy błękitnej.

— A poco — nikt nie wie! Co innego poświęcać się z potrzeby, dla obrony kraju, dla spokoju wszystkich, a co innego dla czyjegoś kaprysu!...

— Racja!...

— Zapewne!

— Dobrze mówi!... — mruzcili rycerze, postukując mieczami.

— Cicho! Idzie Wielka Rada! Idą do Króla. Stary Skowroń ją wiedzie. Niedługo będziemy wiedzieli, o co chodzi... Albo... rozejdziemy się do domów!...

Rada, strojna w lśniące atłasy, w barwione jedwabie, w dzierzgane srebrem i złotem brokaty, zatrzymała się w wielkiej sali przyjęć, gdzie w cieniu na usłanych kobiercami stopniach pod purpurowym baldachimem migotał złoty tron. Dwuch paziów pobiegło szukać Króla i uprzedzić go.

Długo szukali, gdyż Król był właśnie na wieży u nadwornego astrologa, znamienitego Dydki na Słomianych Nóżkach. Obaj stali w wysokiej sali ze szklanym kulistym pułapem, pochyleni nad stołem, zarzuconym rozmaitemi papierami, pargaminami, zwiłkami papyrusu, i oglądali wielki, pokreślony dziwaczными znakami rysunek.

Astrolog miał na głowie błękitny, upstrzony srebrnymi gwiazdami kołpak, a na okrągłym jak dynia ciele taki sam obszerny suty płaszcz, z pod którego ledwie wyglądały cieniuchne nóżki. Król był w czarnej aksamitnym kaftanie, na którym pięknie odbijała złota jego broda i złoty, zwieszający się z szyi łańcuch.

— Otóż Wasza Królewska Mość widzi, że obecnie Bliźnięta są tutaj. Mars, bóg wojny, śpieszy ku nim, ale jest jeszcze daleko... Zato z boku podchodzi gwiazdozbiór Lwa... A tu Wąż zwija swoje skręty... Stoi złowrózby Cielec... Na szczęście Panna przecina mu drogę... I jeżeli Wodolej, który wzbu-

dza mgły i tumany, nie przeszkodzi jej, to unikną grożącego niebezpieczeństwa. Ale widzę jeszcze dużo, dużo przeszkód dla pomyślnego końca... Wszędzie zło, pełno zła... I wciąż trzeba będzie uważnie badać gwiazd drogi, aby przewidzieć nieszczęście i przygotować się do niego.

— A teraz? Cóż ci nareszcie powiedziały gwiazdy?... — przerwał mu Król.

— Gwiazdy?!... Gwiazdy mają własne drogi i osobliwą mowę. Mowa ich staje się zrozumiałą po zestawieniu ich dróg z ich wagą, ciepłotą, wilgocią oraz wpływami, co nie jest rzeczą łatwą. On e sobie przeciwdziałają, szkodzą albo pomagają, a wszystko odbija się na człowieku. Saturn naprzykład jest pośepny, zimno-wilgotny; panuje nad prawem uchem ludzkim, śledziona, pęcherzem i zębami... Co więc nastąpi, jeżeli on w tym samym człoku skłóci się z Wenus, która panuje nad lewym uchem, a jest pani nauki i cudności, wesołą wilgotno-ciepłą, woni słodkiej, mocy w członkach przedziwnej, tchnie ku piękności, a rządzi śpiewaki... albo księżyc, który jest niewieście przychylny, rząd białogłowski, opatrzenie matek, włada człowieczym żołądkiem i lewą stroną ciała, prawem okiem w nocy, a lewym we dnie... A kto się pod nim narodzi, będzie wielki, czerwony, nijako tłusty, okrągłego lica i sprawiedliwy... Jowisz darzy ludzi wesołym zmysłem i władnością... Merkury daje zimną suchość fałszywą, a wróży bogactwo... Byk — nic dobrego!... Zsyła żółtaczkę, radzi wystrzegać się psów i leśnych drażnic!... — pouczał gwiazdziarz z zapalem.

— Tak, tak... psów i... leśnych drapieżców!...  
— powtórzył w zamyśleniu Król.

— Podczas gdy Waga jest znamię męskiego, na wschód słońca panująca, powietrzna... Ostrzega przed pożarami... Kto pod nią się rodzi, ma nos wielki i plecy wielkie, znamię na obliczu albo na ręce, rychło się gniewa, jest zmieszanego przyrodzenia... A Rak przebiegły jest, łakomca, lubi spory i podróże, winien wystrzegać się wody... Co więc uczynić się może, skoro wilgotno-ciepła Wenus przejdzie w bliskości od tegoż znaku, jak to było niedawno?!... Ha, co?... Zadanie nielada, ha!? — pytał, następując na Króla z podniesionym palcem.

Król ocknął się z zadumy i targnął niecierpliwie ręką swój złoty łańcuch.

— Nie o to chodzi, ale czego się strzec? Co grozi nam dziś, jutro, pojutrze?... Co robić?! Czy nic o tem nie mówią twe gwiazdy?!... Czy nic w nich nie wyczytałeś, najmniejszej choćby wzmianki o... żelazie... albo o... Żelaznym Wilku?!...

— O Żelaznym Wilku? — powtórzył ze zdumieniem astrolog. — W gwiazdozbiorach niema takiego znaku!... On nie istnieje!...

— Więc co warta twa wiedza?... Twoje gwiazdy? One nic nie mogą?!

— Owszem, gwiazdy wiedzą i mogą wszystko! — odpowiedział z godnością Dydko. — Wszystko jest pod wpływem ich przyciągania i odpychania... ich humorów, gorącości, gęstości i wilgoci... Przez nie krew nasza unosi się w żyłach ku górze, chmury krążą po firmamencie i z próżni w próżnię prze-

latują wichry!... Wszystko przez nie znajduje się w ruchu, w bieżaniu, w pościgu, zarówno wody morskich odmętów jak wody ludzkiego żołądka, liście jesienne i proch ziemski... Łzy matek i uśmiech dziecka takż od nich... Wszystko jest ich prawa koniecznością i nic nie dzieje się bez ich przyzwolenia... I chłop nie kichnie i król nie nakaże... — pouczał znowu z rosnącym zapalem.

Król już go nie słuchał, jego czujne ucho myśliwskie uchwyciło szmer kroków na schodach i niespokojny wzrok pobiegł w stronę drzwi. Rozległo się nieśmiałe stukanie.

— Wejdz!... — rozkazał Król, podczas gdy Dydko zakrył przezornie połą płaszcza od uroków kreśloną przez się tablicę. Drzwi otwarły się i ukazał się złotowłosy paź.

— Miłościwy Panie, Wielka Rada z wojewodą Skowroniem na czele proszą o posłuchanie!

— Powiedz, że zaraz przyjdę. Niech przygotowają szaty i salę tronową!

Skinął głową, i paź znikł.

— A więc stanowczo nie wiesz, kto to jest Żelazny Wilk, i nie możesz przepowiedzieć, co nas czeka w najbliższej przyszłości?...

— Żelaznego Wilka niema. Nauka nie wykryła jego znaku i z wielkich mędrców nikt o tem nie pisze; podejrzewam więc, że są to wymysły poziomych rozumów, puste brednie guślarzy!...

Król rozśmiał się boleśnie.

— Nauka prawdziwa, nauka niebieska, a nie ta szalbiercza ziemska, zna jedynie to, co jest w księ-

gach starodawnych... co pisali słynny Argorantus albo Pokus Przemądry... boć oni wszystko przewidzieli... — zaczął Dydko napuszenie.

— Tylko prędzej, bo nie mam czasu.

— To się nie da tak w krótkości opowiedzieć, Najjaśniejszy Panie!... — pisnął nagle zmienionym głosem astrolog. — Już mówiłem, że tu się krzyżują tysiące wpływów... Jedne drugie znoszą, wzmacniają, albo zmieniają do gruntu... Czasem złe gwiazdy pomysłny dają skutek, a dobre szkodzą... to zależy...

Król wstał z zydła.

— W każdym razie, Najjaśniejszy Panie, będzie to, co mówią gwiazdy...

Król machnął niecierpliwie ręką, ale ponieważ nie chciał w obecnym swem nieszczęściu zadzierać jeszcze z gwiazdami, więc nic nie powiedział i w milczeniu skierował się ku wyjściu. Zabiegł mu Dydko drogę przypoehlebnie, otworzył drzwi i skłonił się tak nisko, jak tylko pozwalał na to jego okrągły brzuszek.

W sali przyjęć zgodnie z wydanym rozkazem czekano już na Monarchę. Na przedzie stał Naczelnny Wojewoda Skowroń w szacie szafirowej jak nocne niebo, przetykanej złotem. Wspaniała siwa broda spadała mu do pasa, a błękitne oczy patrzyły spokojnie i cierpliwie na puste krzesło tronowe. Obok niego po jednej stronie stał cały w ciemną zbroję zakuty Rycerz Czarny, po drugiej rycerz Płomienny w mie-dzianej, połyskującej jak ogień kolczudze. Dalej półkolem ustawili się dostojnicy i dworzanie, niby pas





tęczy, gęsto przesypany rosą pereł, diamentów, drogich kamieni. A jeszcze dalej poza nimi stało zwarte jak mur przedniejsze rycerstwo w ciemnym bojowym rynsztunku.

Drobne szkiełka z wysokich witraży rzucały na wszystkich kwieciste plamy.

Przez otwarte podwoje widać było w głębi przedsiónek, pełen giermków i żołnierzy, a dalej złociły się w słońcu marmurowe schody i żółtym piaskiem usypana aleja, po której pacholkiwie i pajucy przeprowadzali śliczne wierzchowce rycerskie w rzędach i siodłach, łyskających drogiem okuciem.

Zagrały trąby heroldów.

Wszedł Król w koronie, w purpurowym płaszczu, podbitym gronostajami. Czterech paziów niosło jego ogon. A przed Królem Wielki Skarbnik Koronny dźwigał na poduszkach złote jabłko i berło. Czterech zakutych w miedź rycerzy stało na stopniach tronu z dobytymi mieczami, a u nóg Króla na małym rzeźbionym zydelku siadł wesołek Bączuś w czerwonym opiętym kubraku, w czerwonym kołpaku, obszytym złotymi dzwoneczkami.

— Słucham Was, Rado Moja Przyboczna, i Was, zebrane tu na mój rozkaz rycerstwo!... Czego żądacie? Mówcie!

— A nie ugryźcie się w język! — szepnęła Bączuś.

— Słuchajcie, słuchajcie!... — wrzasnęli heroldowie.

Wojewoda Skowroń stał spokojnie, czekając, aż się szmery uciszą.

— Miłościwy Królu i Panie Nasz! Przyszliśmy tu,

wezwani Twojemi rozkazy. Przybiegliśmy ze wszystkich stron na znak Twój, gotowi nieść i życie i miennie nasze w ofierze. Otoczyliśmy pałac Twój szeroką miedzianą wstęgą... Nie przebije jej żaden wróg, nie przeleci nad nią żaden ptak bez Twego zezwolenia... I wciąż jeszcze ciągną i ciągną poczty z dalekich krańców Twego rozległego Państwa. Już przybyli Opolanie, niezrównani łucznicy, co na sto kroków niedźwiedzia w oko trafiają. Przypędzili wyborowi jeźdźcy Jargowie na koniach chybkich jak jaskółki. Pilnują ogni niezliczone szeregi Płomieńczyków, niepokonanych w boju na dzidy i miecze... Na co czekasz, Panie? Dlaczego nie wydajesz rozkazu! Dlaczego nie skierujesz zebranej potęgi na upatrzonogo przez mądrość Twą wroga ojczyzny?!... W beczynności słabnie duch wojska... Nikną zapasy skarbu, zjadane napróżno... Maleją zasoby narodu Twego... Osypują się zboża na niezżętych niwach, marnieją porzucone bez pieczy stada, psują się niepoprawione drogi, zawalają niepodtrzymywane budowle, rdza je beczynne narzędzia rolnika i rzemieślnika... Ostygły i popękały piece do wytapiania miedzi, nie kuje wnętrza gór kilof górnik, nie płyną statki z towarami po rzekach. Wszystko opuścili wezwani na rozkaz Twój poddani!... Ale długo tak trwać nie może, rychło zubożeje lud Twój, a skoro on zubożeje, zubożeje i Twój skarbiec, gdyż przecie z jego danin płynie zasobność Twoich śpichlerzy, stada Twoje z jego powstają dziesięcin, a pieniądź Twój dlatego ma cenę i wagę, że zań można kupić pracę Twego ludu! Rychło nie stanie zboża w Two-

jem Państwie, wszystko zje wojsko bezczynne, nie będzie miedzi na ostrza strzał, na nowe miecze i dzi-dy... A wtedy zwycięży nas każdy, kto zechce, kto będzie miał choć garść mąki w zanadru, choć tuzin pocisków w sajdaku!... Więc, Miłościwy Królu i Pannie nasz, nie trzymaj nas tu po próżnicy! Wskaż nam wroga, powiedz nas na niego, abyśmy, zwyciężywszy go, mogli znowu wrócić do spokojnej pracy na roli i w domu, w kopalniach, w rękodzielniach i w miastach. Gdzie on i kto on, ten groźny przeciwnik, przeciw któremu zebrałeś tutaj i trzymasz w pogotowiu taką potęgę?! Powiedz nam, błagamy cię, gdyż zaiste łatwiej zewrzeć się z nim w krwawym boju, niżli czekać nań w niepokoju i trosce bezczynnej!...

Zamyślił się Król. Po smutnej jego twarzy przechodziły cienie, jakby przeciągających przed słońcem obłoków, wreszcie skinął berłem i podniósł się:

— Wszystko to prawda. Wezwałem was na pomoc w wielkiej biedzie mojej, przybyliście ochoczo. Dziękuję wam! Poczekajcie jeszcze trochę, może wyjaśni się położenie... A tymczasem starczy jeszcze zapasów w śpichlerzach moich... Idźcie więc w spokoju, przestrzegając porządku i ładu! Czekać na moje rozkazy!... Jutro niech zbierze się w złocistej sali Wielka Rada. Nie widzę jeszcze wśród was rycerza Rzędy oraz naczelnika najbliższego grodu, Tatury!... Niech wezwą ich natychmiast!...

— A tymczasem... mniej jedzcie, a więcej... śpijcie, a kiedy wam się znudzi, to... gwizdźcie!... — zagadał Bączuś, wysuwając się naprzód i wymachując przed zgromadzeniem swoją grzechotką.

Król trącił go gniewnie nogą, wstał, skinął głową obecnym i wyszedł.

Ale kiedy znalazł się sam, kiedy szatnik zdjął zeń płaszcz gronostajowy, a skarbnik odniósł do skarbcza koronę i berło, Król opuścił się ciężko na fotel i zamyslił głęboko. Wtulony w kącik Bączus zataił dech, aby nie przeszkadzać panu.

— Cóż... powiodę ich, poprowadzę, ale... na kogo? — zaczął po chwili gadać Król sam ze sobą, wymachując rękami. — Wróg jest i niema go! Wisi jak zmora, a gdzie go szukać, niewiadomo... Lasy i knieje są go pełne... Na skryty znak swego władcy zbiorą się w jednej chwili w upatrzonem miejscu, zbrojni w swoje żelazne szpony... Stamtąd rzucają się na moje państwo, jak lawa płonąca rozleją się po wsiach i miastach... Dotychczas zadowalniali się małą i łatwą zdobyczą, tem, co tu i tam urwać niespodzianie mogli; teraz widzę, że umyślili podbić cały kraj. Pogodzili się między sobą, zmówili i wspólnie na nas napadną... Wróże, aby ich jeszcze silniej spoić, opowiedzą im o mojej obietnicy, o złamanej przysiędze, wystawią to, jako obrazę swych bóstw. Dlatego ta przysięga pewnie potrzebna im była... Piekielny, chytry zamysł! Będą szli jak na świętą wojnę, swoje zbrodnie będą uważali jako słuszną dla mnie karę za krzywoprzysięstwo!... Zginiemy... Każda moja strata — stanie się ich zasiłkiem, każdy zdobyty gród odda im w ręce moje zasoby w śpichlerzach, moją broń w zbrojowniach, moje pieniądze w skarbcach... Użyją ich przeciwko mnie!... Pochwytają moich młodzieńców, uzbroją w mój oręż

i popędzą przeciwko mnie!... Czy nie lepiej więc oddać im dzieci?... Co?... Nie, nie!... — odpowiedział sobie Król po długiej chwili namysłu. — Wtedy napadliby na mnie w imię ich praw jako dziedziców tronu. Zawsze znaleźliby przyczepkę. Możeby nawet część mojego ludu pociągnęli za sobą... Kto to wie!? Albo wychowaliby ich jak ludzi swego plemienia i zczasem kazaliby im się upomnieć o rzekomą swą krzywde... A co powiedziałby mój naród, gdyby dowiedział się, że dzieci własne oddałem dziekiemu wrogowi?!... Niktby nie uwierzył, że to ofiara, każdyby myślał, że to tchórzostwo... Nie! Oprę się teraz... odchowam dzieci... Niech wyrosną, a wtedy opowiem im wszystko!... Niech same postanowią, jak mają postąpić, niech same wybiorą!... A tymczasem będę się bronił!... Ale jak? Sprowadziłem tu wojsko mnogie, ogołociłem z obrony granice... Ale co będzie, jeżeli to fortel, jeżeli oni, nie żądając wydania załoźników teraz, zaraz napadną na bezbronne zamki, grody i wsie? Zanim ciężko zbrojne me wojsko dotrze do nich, już oni zdążą splądrować, spalić, złupić pół królestwa, wyciąć ludność i ujsć, zniknąć, utonąć znowu w swych lasach... Albo gdy ja będę ich szukał w jednym końcu państwa, oni tymczasem przyjdą tutaj, zajmą pałac, wymordują dworzan i dostojników i zaczną rządzić w imieniu mych dzieci, wydziedziczywszy mnie jako niegodnego rodzica!... Dzieci moje widzę jako wilczęta, cały naród zwilczały... Co za ohyda! Łagodne obyczaje moich rolników zamienione na wilcze nalogi, piękna mowa ojczysta na wilcze wycie!...

O tak!... Uczynią ich wilkami, jak to przecie obiecał mi ich władca! Lasami porosną uprawne niwy, w trzęsawiska zamienią się łąki, a tam, gdzie stoją wesołe osiedla i grody, powstaną wilcze zbójcekie nory... Nie, za nic! Lepiej sam je zabiję!... — wybuchnął i zerwał się z fotelu, ale rychło znowu się nań bezsilnie opuszcł.

— Co robić, co robić!?... Ten głupi Dydko nie mi poradzić nie może! Ach, dzieci moje, kruszyny drogie, nadziejo moja i mego narodu, czyż mam was utracić wcześniej, niż was poznam!?... Czyż mam was zniszczyć własnoręcznie lub oddać!? I czy po takim upodleniu ostoi się dusza moja i ludu mego wobec przeciwności wojen i losu, wobec walk krwawych, jakie, czuję, że nas czekają!?

Dwie siwe łzy, jak duże perły, wytoczyły się z pod przymkniętych powiek Króla i pociekły na złotą brodę. Wtem poczuł, że ręce jakieś objęły jego nogi.

— Kto tu?! — krzyknął Król, zrywając się i marszcząc brwi.

— To ja, Miłościwy Panie, wierny Twój sługa, Bączuś... Daruj, że podpatrzyłem smutek twój!... Wiem, że monarchowie nie powinni mieć ani smutków, ani radości, że powinni wciąż tylko myśleć o potrzebach swoich poddanych. Tego żąda od nich naród, rycerstwo, wojsko, sejmy... Takich monarchów, co prawda, jest niewielu, ale wiem, Panie nasz Miłościwy, że takim właśnie ty jesteś... Ty, Królu, jesteś, musisz być zawsze panującym, tak jak ja muszę być i jestem zawsze wesołym, dowcipnym we-

sołkiem... a przecież i ja... człowiekiem jestem, mam krewnych, przyjaciół, troski swoje, i niezawsze śmiać mi się chce... Więc, Królu Panie, powiedz mi swoją biedę, a może ja ją moją grzechotką odpędzę!... Przecież ja kocham cię, Królu mój, bo jesteś dobry, szczodry i sprawiedliwy, i lubię, jak się śmiejesz z mych żartów wesoło, swobodnie... Ale dawno już nie śmiałeś się, oj, dawno!... Więc powiedz wesołkowi twemu, Panie, jaki ci ludzki ból dolega!?

— Poczciwy Bączusiu, nie mi na to nie poradzisz, nie! Stało się i już się odstać nie może!... Uległem przemocy w chwili słabości, dałem niebaczenie obietnicę i od tej pory nie wiem, co czynić... Dawniej wszystko było jasne, proste, zrozumiałe... teraz tonie zmącone we mgle. I jak z tego wybrnąć, nie wiem, a z nikim się poradzić nie mogę, bo gdybym powiedział to moim dostojnikom, rycerzom, doradcom, padłby zaraz popłoch na wszystkich, mieliby państwo za zgubione, zaczęłyby się zwady, spory, jak zawsze w takich razach... Nieposłuszeństwo, a może nawet bunt i zdrada!... Bo gdyby to, co nam grozi, było zebrane w pewnym miejscu, gdyby to było nieprzyjacielskie wojsko, albo nawet jaki smok, albo dziwoląg okropny i niebezpieczny, — to po dawnemu pchnąłbym nań moich dzielnych wojowników, uderzyłbym sam na czele moich rycerzy i sprawa rychłoby się wyjaśniła. Allobym zginął i na moje miejsce wstąpiłby inny, dzielniejszy władca, allobym zwyciężył i utrwalił spokój i moje panowanie. Ale niebezpieczeństwo, które grozi teraz, rozsiane jest wszę-

dzie, a nigdzie go niema właściwie; wisi ono jak chmura już nie nad moją tylko głową, już nawet nie nad głowami mych dzieci, lecz nad przyszłością całego narodu. Bo posłuchaj, wierny mój wesółku, jak to było...

I Król w krótkich wyrazach opowiedział swoją przygodę.

Rumiany Bączuś siedział u jego nóg na podłodze, oparłszy rumiany podbródek na rękach skrzyżowanych na grzechotce. Gdy Król zaczął wyrzucać sobie słabość, że ustąpił Żelaznemu Wilkowi i dał bezmyślną obietnicę, gdy zaczął dowodzić, że lepiejby już był jego samego zjadł wówczas dziwoląg, niż żeby on teraz z całym ludem przeżywał takie męki, przerwał mu Bączuś, trzęsąc głową:

— To na nic, Królu Panie, to na nic... Wilki zjadłyby ciebie z wielkim apetytem, a potem napadłyby na strapionych twoją nieobecnością poddanych, wycięłyby ich, wymordowały, zajęły twój pałac i pożarłyby nietylko twoje dzieci, ale nawet Królową Jejmość, ba, myślę, że zjadłyby nas wszystkich, bo one są bardzo żarte, ja coś o tem wiem, gdyż ojciec mój był leśnikiem... Wszystkichby połknęło to obrzydliwe, włochate brzuszysko. Zostałaby jedynie Jejmość Pani Głos-Puszczalska, Ochmistrzyni Nadworna Waszej Królewskiej Mości, gdyż jej to nawet Wilk Żelazny rady nie da... Każdy się nią udławi! Ale co z niej komu przyjdzie, kiedy ona tylko bzyka na wszystkich jak osa i nic więcej!... Narodu ona nie zbawi!... Otóż, Królu Panie, dobrze się stało, żeś mu obiecał, gdyż uzyskałeś zwłokę,



zdążyłeś zwołać wojsko, a teraz spróbujemy obmyśleć, co robić dalej!...

— A moje słowo królewskie?

— Twoje słowo, Królu?! — zastanowił się wesołek. — Twoje słowo, Królu, wiele waży, ale było ono wymuszone podstępnie, więc podstępem na nie odpowiedzieć należy. Nie odmawiaj mu, ale powiedz, żeby sam po okup przyszedł i wziął go...

— Tego się właśnie obawiam!

— Nie bój się, Królu, teraz nie przyjdzie — nie pokaże się wśród tak mnogiego wojska. Wilczą on ma naturę i o nas po swojemu sądzi... Nasby on bez litości rozszarpał, gdybyśmy w jego znaleźli się mocy. Więc tu teraz, gdyśmy zebrani w całej swej potędze, napewno nie przyjdzie!

— Ale wojska przecież nie możemy wciąż trzymać w pogotowiu! Słyszałeś: już sarkają!

— Rozumie się, że nie. Zresztą własne wojsko zje nas równie dobrze i zniszczy jak wilcze...

— Cóż więc czynić?

Bączuś zamyślił się, dolną wargę wysunął, jedno oko przymrużył i tak dumiał chwilę.

— A gdyby tak, Najjaśniejszy Panie... cały pałac... otoczyć wysokim, potężnym murem, bramę zaopatrzyć mostem zwodzonym, otoczyć wszystko głębokim przekopem i skierować doń wody Popławy... Na murach i w bramach ustanowić strażę, które czuwać będą dzień i noc, aby nikt bez twej wiedzy i zezwolenia nie wtargnął do zamku!... Rozumie się, że nie puścimy i wilków... A gdyby przyszedł wódz ich z wojskiem, to oprzemy się im... Zanim

zamek zdobędzie, zdążymy wici rozesłać, nadciągnie wojsko, przybiegną na odsiecz rycerze, nadejdzie pospolite ruszenie...

— Tak, to prawda!... — odparł wolno Król. — Przychodziło mi już coś podobnego do głowy ale... każdy zamek... bardzo podobny jest do więzienia! Nie będzie miał mój pałac już tego dopływu słońca i powietrza, co teraz... Nie przedostaną się doń ciepłe, ożywcze wiatry ani ludzkie głosy! Będą więc rosły dziecińcy moje, przyszli rządcowie państwa, w odosobnieniu, w zaduchu ciemnicy. Sam również... przyzwyczałem się do swobody, do ufności, do życzliwości ludzkiej!... Ciężko mi będzie... za murami!

— To prawda, to prawda!... — zgadzał się Bączuś. — Ale co robić?...

Zamyślił się Król, zastygł bez ruchu na swym fotelu z głową opartą na dłoni. Bączuś, sądząc, że śpi, wysunął się cichutko z komnaty.

Ale Król nie spał, ino biedził się z myślami i wzdychał.

#### IV.

Zawrzała robota dookoła królewskiego pałacu. Kopią kopacze rowy głębokie, murarze mieszają wapno z piaskiem, kamieniarze ciosają bryłkami kamienne. Skrzypią na drogach ciężkie wozy, sapią woły, wioząc cegły, drzewo, ogromne głazy z dalekich krańców państwa. Pokrzykują woźnice, kłóćą się między sobą, gwarzą i śpiewają rzemieślnicy, ciągnący z narzędziami do zamku. Na budowlu chodzą budowniczo wie wśród

roju pracujących z miarami w rękę, z trójkątami, z linijkami, pilnie bacząc, żeby każdy kamień, każda cegła legły według planów, zatwierdzonych przez Króla. A w dali widać strażę czuwających we dnie i w nocy wojsk nad bezpieczeństwem pracowników. Zwolna dokoła cudnych ogrodów słonecznych wznosiła się od ziemi potworna obręcz grubych czarnych murów. Rychło przerosła rycerza na koniu. Z dolnych okien pałacowych już nie było widać ani niw rozległych, ani wiosek, ani grodów dalekich — wszystko zakryła czarna opaska.

Patrząc na to, płakała Królowa i kryła się w wewnętrznych komnatach, gdzie chowały się jej śliczne bliźniaczki. Całowała je i pieściła żałośnie, gdyż Król powiedział jej w wielkiej tajemnicy o swej przysgodzie w lesie i o obietnicy, jaką uczynił Żelaznemu Wilkowi.

— Nie damy, nie ustąpimy was, dzieciątka moje!... Niech świat cały zakryją mury, niech słońce nie zagląda więcej do pałacu naszego, byleście wy były z nami, byłem mogła widzieć wasze główiny!... — szeptała nieraz, chyląc się nad złoconą kołyską.

Król gładził brodę w zamyśleniu.

— Rozumie się, że nie damy! — mruczał i szedł na budowlę, żeby się osobiście przekonać, czy roboty posuwają się z doskonałym pośpiechem.

Znaczną część wojska jeszcze musiał trzymać w pogotowiu na wypadek niespodziewanego napadu. Dla tego troska na chwilę nie schodziła mu z czoła i często wołał wieczorami do siebie skarbników i pytał,

czy dużo jeszcze w śpichrzach zostało zboża, jagieł i mąki, czy w skarbcach dużo jeszcze pieniędzy?

Wzdychali wierni słudzy, trzęśli siwemi głowami:

— Starczyć — starczy, bo nieprzebrane były twoje, Panie, zapasy, ale dużo pójdzie, gdyż mur gruby i wielki!...

— Czy nie dałoby się zmniejszyć go choć o jedną cegielkę? — spytał nieśmiało jeden z nich.

— Ja zechcę o jedną, ty zechcesz o drugą, on zechce o trzecią, my zechcemy o czwartą, wy zechcecie o piątą, oni zechcą o szóstą... ci zechcą o siódmą, tamci zechcą o ósmą... wszyscy chcemy o dziewiątą... — zatrajkotał Bączuś, wylażąc z pod stołu.

Król uśmiechnął się i potrząśł głową.

— Nie! Nic nie może być zmienione w zatwierdzonych planach!

Wyrosły więc mury czarne, niebotyczne jak urwiska, a tak szerokie, że po ich grzbiecie między zębicami z łatwością maszerowały poszostne oddziały żołnierzy. Po rogach stały baszty z maszynami do rzucania pocisków, a zwodzonego mostu broniła wysoka, warowna wieża... Dokoła murów szerokim rowem płynęła łacha rzeki, nawrócona w tę stronę umyślnie przekopanem korytem.

Pałac znalazł się jak na wyspie, odgrodzony zupełnie od świata. Nawet ptak, aby się dostać do królewskich ogrodów, musiał się wzbijać wysoko, a zwierz, płaz, a tembardziej człowiek nie mieli tam wcale dostępu bez pozwolenia straży, która dzień i noc czuwała w jedynem przejściu u zwodzonego mostu.

Gdy rzesze rzemieślników opuściły po skończonej robocie mury, gdy ustał stuk młotków, zgrzyt narzędzi, gwar głosów ludzkich, nastąpiła cisza w zamku jak w grobie.

Dziwną zmianę w otoczeniu zauważył nawet Dydko na Słomianych Nóżkach, który, zapatrzony w niebo, nie spostrzegwał zwykle, co się wokoło niego działo. Pewnego ranka zleciał pędem po schodach ze swej wieży, bez kołpaka na głowie i w rozwianej opończy, wrzeszcząc przerażonym głosem:

— Co to jest?... Zaćmienie ziemi!... Gdzie jest Król?... Szukajcie Króla!... Niesłychane zjawisko: zaćmienie ziemi!...

Chwytał dworzan za ramiona i ciągnął ich do okien, pokazując na mury, ciemniejące poprzez gałęzie drzew...

— To warownia, zbudowana z rozkazu Najjaśniejszego Pana!... — odpowiadali mu z uśmiechem.

— Warownia? — powtórzył zdumiony astrolog. — POCO?!...

— Nic o tem niema w moich gwiazdach. Co?!... He, he!... — syknął Bączuś, klepiąc się wesoło po łysinie. —

— To prawda!... Nic o tem niema w gwiazdach!... — zgodził się w zamyśleniu Dydko i, nie żegnając się z nikim, nie patrząc więcej na ogrody i mury, wrócił corychlej na swoją wieżę, do swoich retort, teleskopów i obliczeń.

Choć wybudowanie murów znacznie zmniejszyło wydatki na strażę i pozwoliło zwołane pułki odesłać

do domów, gdzie na nie czekały zaniedbane niwy i warsztaty, nie mógł Król jednak długo z temi murami się pogodzić. Nieraz, przywarłszy rozpalonem czołem do szyby, godzinami przypatrywał im się z górnych okien swego pałacu.

— Wąż, kamienny wąż odgradził mnie od królestwa mego!... — mrucał. — Patrz, Bączusiu! — zwrócił się do nieodstępного wesółka — Czy nie wąż? Czy baszta mostowa niepodobna jest do wzniesionej głowy węzowej, uwieńczonej koroną?!... On teraz panuje nad mojem państwem!... My zaś wszyscy więźniami jego jesteśmy... Czy to do mnie ma teraz kto dostęp?... Przedtem każdy żebrak mógł przyjść i poskarżyć się na swoją krzywdę...

— A teraz, aby wejść do zamku, musi dać denara panu Naczelnemu Strażnikowi, Taturze!... To prawda, Najjaśniejszy Panie!... Ale co było robić?... Zjadłyby nas strażę do szczętu, albo zjadłyby nas wilki!...

— Więc powiadasz, że Tatura bierze pieniądze za przepust do zamku?... — zapytał Król z niepokojem. — W takim razie on wpuści kiedykolwiek Żelaznego Wilka? Tego stać przecie na sutą zapłatę!...

— Wilka on nie wpuści, gdyż mu dobrze jeszcze z tobą, Królu... Kabzę sobie nabija datkami i pocichu rozmaite sprawy załatwia przed bramą... w Imieniu Waszej Królewskiej Mości... Bo ciemny biedny chłop wszystkiemu wierzy... A w swoich dziedzinach robi, co chce, gdyż wie, że żadna skarga, żaden jęk poza te mury się nie przedostanie bez jego pozwolenia...

— Źle mi poradziłeś, Bączusiu, źle!... Widzę to teraz!...

— Nie było innej rady!... Miłościwy Panie, należy tylko od czasu do czasu... wyruszać z zamku i objeżdżać Państwo... W ten sposób dużo się poprawi!...

— Wypędzę Taturę... Naznaczę kogo innego Wielkim Strażnikiem...

— Każdy będzie robił to samo. Jeżeli sam nie będzie brał, to będą brali potajemnie jego podwładni... Zaś Tatura obrazi się i zostanie nieubłaganym naszym wrogiem. Lepiej już uciąć mu głowę!...

— Niema zaco!... — szepnęła Król w zamyśleniu.  
— Zresztą wszystkim głowy nie utniesz!... Pojadę lepiej na objazd Królestwa... Wołaj szatnych i koniuszego!

Gruchnęła po zamku wieść o wyjeździe Króla. Zrobiło się zaraz wesoło i huczno. Wynoszą z śpichlerzy i komór, ładują do juków oraz skrzyń pachołkowie pod dozorem szatników i krajczych odzież, sprzęt rozmaity oraz żywność, potrzebną w podróży. Koniuchowie czyszczą i siodłają konie, rycerze oglądają zbroje i oręż, dworzanie szykują stroje odświętne, sobole kołpaki, dzierzgane kryzy na szyję, wspaniałe płaszcze, buty miazdrowe żółte i czerwone. — Wszyscy radzi z przejażdżki, swywolni, rozmowni, zaczepiają żartami Bączusia, który ogryza się, jak może.

— Wesołku, wesołku! Na jakim rumaku pojedziesz? Jakie to zwierzę udźwignie tyle śmiechu?

— Pojadę... w kieszeni rycerza Rondła!... Będzie

mi tam dobrze, tam zawsze pełno łakoci! — odpowiadał poważnie Bączuś i pokazywał grzechotką na rozdęte poły kaftana rycerza Rzedy, którego dla otyłości i hałaśliwej mowy przezywano Rondlem.

Rycerz otwierał szeroko wypukłe, żabie oczy i trząsał przecząco głową.

— Ja nie mogę! Ja muszę strzec bezpieczeństwa Króla Jegomości!... Muszę mieć wolne ruchy!

Wszyscy wybuchali śmiechem:

— Ależ, kochany Rondelku, ty masz zawsze wolny ruch... Wszystkich nas będziesz strzegł od przedzenia. Wiadomo, że jak zgarniesz z półmiska, to już tam mało zostanie!...

— Nie dokuczajcie mi, bo się rozgniewam!...

— Strzeż się, Bączuś, bo cię połknie!...

— O! On tylko łyżką umie wojować...

— Cicho, idzie Król!...

Heroldowie uderzyli w trąby. Na schodach przed-sionka ukazał się Król w czarnej aksamitnej szacie bufiastej ze złotym łańcuchem na szyi. Obok szła Królowa, co chwila przykładając chusteczkę do oczu.

— Wracaj, wracaj co rychlej!... Umieram ze strachu, gdy ciebie niema w pobliżu... Ach wracaj!...

Król niecierpliwie machał ręką i nie patrzył na żonę. Dopiero, gdy dosiadł rumaka, zwrócił łagodne stro-skane oczy na Królową, tonącą we łzach i omdlewającą wśród swoich niewiast.

— Przecież wrócę niedługo!...

— Wrócisz, ale czy nas zastaniesz!?... Przynieście dzieci!... Niech je raz jeszcze zobaczy!...



Ale Król nie czekał, zmarszczył brwi i dał znak do pochodu.

Piękny to był orszak. Na przedzie jechał chorąży ze znakiem królewskim i heroldowie z długimi mosiężnymi trąbami, ubranemi wstęgami; za nimi oddział zakutych w miedziane zbroje rycerzy z wielkimi bronzowymi mieczami u boków. Dalej jechał Król w czarnych aksamitach, w czarnym berecie z czarnem strusiem piórem. Kary koń pod nim kapał od złota i drogich kamieni. Za Królem ciągnęła długa świta dworzan, mieniąca się barwami i blaskami zorzy rannej i wieczornej. Na zwodzonym moście Wielki Strażnik koronny Tatura z całą strażą zamkową złożył hołd należyty władcy. Król skinął mu głową, ale wszyscy widzieli, że się doń nie uśmiechnął i nawet nań nie spojrzął.

I długo stał dumny pan pod wjazdowem ciemnem sklepieniem i złemi czarnymi oczkami z pod wzniesionej przyłbicy śledził oddalający się orszak. Prawa ręka jego spoczywała na główicy miecza, a lewa ścisnęła gniewnie skórzaną rękawicę.

## V.

Rozejrzał się Król po rozległych polach. Zapuścił swobodnie wzrok w błękitną dal. Rozpoznał znajome lasy, znajome gaje, białe wsie i miasteczka w zielonych ogrodach. Poweselał. Uśmiechnął się, białą ręką złotą brodę pogładził, kazał grać muzyce, kazał śpiewać pieśniarzom. Wysunęli się na czoło trębacze,

dudarze i gęślarze, buchnęła w niebiosa wesola piosenka:

Hej!...

Był sobie Król Grzyb,  
A u Króla była matula,  
Stara Grzybula.

Powiedziała raz Grzybula

Do swego Króla:

„Czas ci znaleźć sobie żonę,“

„Jaką matronę!...“

„Już ci nóżka nadpróchniała,“

„Zmarszczyła się skórka cała“

„I zębów ci brak!“

Na taką mowę  
Król schylił głowę,  
Aż mu zsunął się na czoło  
Kapelusz jak młyńskie koło  
I zakrył oczy...

Nieprzyjemna rzecz, gdy się świat mroczy,  
Lecz Król ruszyć się nie może,  
Stoi cichutko, nieboże,

I wzdycha sobie:

Jak ja to zrobię, matulu,  
Jak ja to zrobię?!

Wszakże trudy to niezmierne

Znaleźć serce czułe, wierne,

Wszakże dla tego potrzeba

Obejść pół ziemi i nieba!

A ty znasz mą dolę biedną,

Że mam tylko nóżkę jedną!

Więc w taką daleką drogę  
Ja się wybierać nie mogę...  
Oj, nie mogę!...  
Nie mogę...

Dźwięczne echo niosło daleko po rozłogach słowa piosenki. Zasłyszawszy ją, wieśniacy wołali:

— Król jedzie!

Porzucali w polu robotę i biegli tłumnie ku wysadzonemu topolami gościńcowi, gdzie migał tęczy korowód królewskiego orszaku. Stali smutni, spracowani, obdarci przy rowach, zdjawszy z kudłatych łbów czapki, i w milczeniu przyglądali się cudnemu widziadłu postrojonych, sytych, błyszczących koni i ludzi.

Król znów się zasępił.

— Dlaczego tacy nieweseli?... Dlaczego nic nie mówią, nie śmieją się? O nic nie proszą?... Dlaczego mają odzież w łachmanach i wychudłe twarze?... — spytał Król jednego z przybocznych rycerzy.

— Nie wiem, Miłościwy Panie!... Są to ludzie Wielkiego Strażnika. W orszaku znajduje się jego brat młodszy! — odrzekł ostrożnie pytany.

— Przywołać go!

Chrzęszcząc zbroją, podjechał dumny rycerz.

— Dlaczego ludzie tutejsi tacy zmarnowani!?...

— Najwięcej ucierpieli od postoju wojsk... Miejszkają najbliżej zamku...

Król brwi zmarszczył.

— Przecież zabroniłem rabunków i nadużyć, ka-

załem za wszystko płacić!... — odrzekł chmurnie i głowę od rycerza odwrócił.

— Król płaci, pan zabiera!... Na to przecie są panowie!... — zachichotał Bączuś. — Nie od postoju wojsk, Wasza Królewska Mość, a od poborów pana swego mają te chłopcy takie dziury i taką chudość... Hej, podchodźcie, chamy, jęknijcie!... Otwórzcie dzioby, gawrony!... Zdaleka widzę, że z waszych ślepiów wygląda zakuta w miedź pięść szlachetnego rycerza!... Cóż nie idziecie, głuptasy!... — wołał wesolek na chłopów, potrząsając grzechotką. — Oni się poprawią, Najjaśniejszy Panie, i utyją i dziury załatają, gdyż nie są tacy głupi, jak myślałem!... Milczą, bo wiedzą, że Króla raz na rok zobaczą, a pańskiego ekonoma z batem codzień!...

— Tak, tak!... — szepnął Król z rozżaleniem. — Dawniej mieli łatwiejszy do mnie dostęp! Ale ja temu zaradzę! — dodał, podnosząc głowę i spoglądając ostro na dworzan i rycerzy.

Zaraz w pierwszym mieście wysłał na rynek heraldów i kazał ogłosić, że kto poniósł krzywdę, kto ma skargę, kto szuka sprawiedliwości i obrony przed uciskiem, niech się zgłasza na ratusz, gdzie on, Król, będzie osobiście sądy sprawował. Gruchnęła wieść po okolicy i napłynęły ogromne tłumy biedaków, pokrzywdzonych i poteranych przez życie, mnoga ilość poważniejszego rycerstwa, kłócącego się ze sobą roduństwa oraz innych nieszczęśliwców. Wiele pracy miał Król, aby wszystko to, co mówili, rozpoznać, fałsz od prawdy oddzielić i wyrok sprawiedliwy wydać. A że najwięcej było chłopów, skarżących się na

rycerzy, że ciągną z nich niezmierne pobory pieniędzy i robocizną za dzierżawę ziemi, więc musiał Król i panów ściągać przed swe oblicze.

— Długotrwałe pogotowie wojenne wymagało zdwojonych wydatków... Dużo ludzi musieliśmy oderwać od pracy w polu... Stąd obciążenie!... Wszystkim ciężko! — tłumaczyli się panowie.

— Ale przecież wojsko już dawno wróciło do domów!...

— Tak, ale zostały... długi!...

Król kiwał głową, kiwał głową Bączus, siedzący na stopniach tronu — ale nic wymyślić nie mogli. Pozornie rycerze mieli rację...

— Miłościwy panie... — prosili znowu chłopci. — To prawda — wojna była!... My gotowiśmy rycerzom płacić za obronę kraju, za to, że krew swą za nas wszystkich przelewają... Ale niechże wiemy raz na zawsze, ile płacić mamy... A to u każdego co innego i coraz to inaczej mówią!... Zabierają dobytek, bydło i zboże, kiedy najpotrzebniejsze... Nie pytają, przychodzą i biorą, pacholcowie zaś dla siebie jeszcze przybierają... Daremne skargi!...

Myślał Król, po nocach nie sypiał, głowił się, jak złemu zapobiec.

— Cóż, Bączusiu, poczniemy? Jaką radę mi dasz, stary pocziwczu?!... — pytał żartobliwie, wypooczywając po całodziennych sądach w głębokim fotelu.

— Trudno, Miłościwy Panie, coś poradzić: zrą się ludziska jak wilki!...

— Właśnie: jak wilki!... — żywo podchwycił

Król. — Dawniej tego nie było, dopiero od tego czasu! — Wszystkich pozarażało obrzydliwe Wilczysko. Urwał Król i sposepniał.

— Eh, było i dawniej!... — szepnął Bączuś. — Tylko wyrosło! Wszystko wyrosło! Dawniej były małe wilczęta, a teraz duże wilki... Ale i na nich rada się znajdzie!

— Nie mogę, widzisz, naciskać bardzo rycerzy, bo w razie napadu zostanę zupełnie bez przywódców wojska i bez obrony!

— Uzbrój kmieci, Miłościwy Panie!...

Król pogładził brodę.

— Myślałem o tem! — rzekł cicho. — Ale... zaczną się bić z rycerzami... będzie wojna domowa... A wrogowie na to tylko czyhają... W dodatku skąd wziąć naraz tyle nowego oręża, zbroi, miedzi, koni z bojowym rynsztunkiem. — Musieliby się kmiecie uczyć władania bronią, sprawiania szyków, musieliby czas na to tracić, a innych zamiast siebie w pole na robotę posyłać... Więc powstałoby tylko nowe rycerstwo!... Lepiej zrobię to, co w innych krajach, spiszę prawa stałe i ustanowię sądy po grodach!

Bączuś westchnął żałośnie.

— A na sędziów naznaczymy... lisów!...

— Idź precz!... — rozgniewał się Król. — Zgłupiałeś zupełnie! A to, co mówisz, wcale niedowcipne!...

Ale gdy wesołek był już przy drzwiach, zawołał nań Król, żeby wrócił, gdyż nie lubił samotności: opadały go zaraz czarne myśli.

— Cóż, nic nie słyszałeś, wesołku, żadnej wieści — pogłoski z... zamku? — zapytał poufale.

— Nic, Królu Panie, nic!

— Dziwna rzecz: kazałem sobie często przysyłać wiadomości, a tu nic, od tak dawna nic a nic!

— To i lepiej! Musi się im tam niegorzej powodzić, skoro nie dają znać...

— A co, jeżeli ich... już niema!...

— Skądże znowu!?... Pan Tatura zapewne niebardzo cię, Królu, miłuję, ale tempilniej strzec będzie zamku, wiedząc, że za byle co zdejmiesz mu głowę!...

— A jednak mię niepokój dręczy!...

— To jutro wyślij gońca z zapytaniem, a dzisiaj... wezwij kapelę, niech gra; niech tańczą dworzany i rycerstwo... Tylko się nie smuć!... Od smutku to myśl cięży. Więc mieszczañstwu na uciechę też każ wytoczyć parę beczek miodu... Hulaj dusza. A tymczasem ja ci, Królu Panie, takiego wywrócę koziółka, że sam zapragniesz fikać!... Patrz!

Staął nagle Bączuś przed Królem na rękach, podniósł do góry swoje krótkie nóżki, wypiął brzuszek i pomaszerował wesoło ku drzwiom. We drzwiach fiknął zręcznie i zawisł na ogromnej kłamce, nogi rozłożył i wyjechał uroczyście za próg na otwierających się podwojach.

— Hej, kapela!... Podczaszowie, stolnicy!... Zastawiajcie stoły, nalewajcie kruże!... Pośpiewajcie, weseli śpiewacy!... Król chce się bawić!

Zapalono pochodnie w przedsionkach, oświecono świecami woskowemi sale grodowego zameczku, gdzie

u kasztelana gościł Król, i zawrzała wesoła zabawa. Zadudniały nogi na dębowych i kamiennych posadkach, buchnęły wesołe, rubaszne okrzyki, żarty i krotoczwile. Za stołem, zastawionym jadłem i napojami, zasiadł, wsparty na łokciu Król i smutnemi oczami patrzył na swawolącą gromadę. Rej wśród niej wodził opasły Rondel, podczas gdy inni panowie po obu końcach stołu gwarzyli przyciszonym głosem, popijając miód i wino ze złotych i srebrnych dzbanów.

Wesołek podkradał się co jakiś czas do Rondla, wyciągał mu nieznacznie z kieszeni łakocie, pokazywał je zebrany i kładł z wielką powagą do ust...

— Ho!... ho!... ho!... Ha!... ha!... ha!... — Śmiali się wszyscy.

— Co się stało? — pytał zdziwiony Rondel, zatrzymując się w tańcu.

— Mało, mało!... — beknął Bączuś i oblizal się szeroko.

Zerknął na Króla, ale Król nie uśmiechnął się, może nawet nie widział żartu, zadumany, zapatrzony w daleki, niewidzialny dla nikogo widok.

## VI.

Zaledwie rozbiegła się wieść w państwie, że Król naradza się z kmieciami i nowe prawa zamierza wprowadzić, zaczęły się zaraz zamieszki. Codziennie przybiegał goniec z tego lub owego kąta i, przyprowadzony przed Króla, wołał:



— Buntują się chłopci, danin płacić nie chcą!... Na zameczek rycerza Białego napadli, obejścia i śpi-chlerze mu popalili... Ledwie z życiem uszedł...

— Nieobsiane stoją pola!... Odmawiają robocizny poddani! — wołał inny.

— Rycerzowi Błękitnemu służę ubili, żonę mu i dzieci nastraszyli, dwór zburzyli!...

— Wypędzają nas panowie zbrojną ręką z osiedli odwiecznych, z ziem naszym potem polanych, z karczowisk przez naszych ojców z pod lasu wydartych i uprawnych... Wyrzucają nas z chat przez nas pobudowanych... Mówią: na naszych polach stoją, wzniesione są na dziedzinach, naszym dziadom przez królów darowanych!... Dokąd podziejemy się, Królu Panie? — skarżyli się znowu chłopscy wysłańcy.

Rozruchy rosły z dnia na dzień. Głucho wrzało niezadowolenie w samym królewskim orszaku, za królewskimi plecami.

Nareszcie pewnego wieczora wystąpił rycerz Czarny przed biesiadny stół królewski i, oparłszy dłonie na głównicy długiego miecza, zapytał poważnie:

— Dlaczego, Miłościwy Panie, chcesz stare zmienić obyczaje? Było spokojnie, cicho i dobrze, było tak z dawien dawna! Królestwo Twoje urosło w potęgę i bogactwo... Czemu szukasz dróg nowych, kiedy stare są dobre i wypróbowane!?

Król milczał, ująwszy w garść długą brodę, i patrzył nieruchomo na śmiałka; umilkli dworzanie, strwożeni surowym wyrazem królewskiego oblicza, wtem oczy Króla złagodniały i odrzekł smętnym głosem:

— Nie wszystkim dobrze w królestwie naszym. Widziałeś wynędzniałe twarze i łachmany na grzbiecie oraczy?!...

— Gorzej zbiednieją w obecnej rozterce!

— Nikt nic nie robi, odłogiem leżą ugory!... Nikt swego niepewny!

— Głód zagląda do chat, ba, nawet do dworów i zamków.

— A ile bogactw poginie od rozboju i pożarów!?... — zaszemrali dworzanie.

Król skinął ręką.

— Nie zmienię postanowienia mego. Być może, iż na razie będzie gorzej, ale trwały spokój przyjdzie dopiero wtedy, kiedy każdy będzie wiedział, co robić powinien i co mu się w całym państwie należy... Dlatego ustanowię jedną powszechną daninę dla całego królestwa. Nic mię od tego nie wstrzyma. Ja też chcę wypoczynku i spokoju. Nie widzę dla moich poddanych innego ratunku, jak w sprawiedliwości!...

Rycerz Czarny stał wciąż wyprostowany, oparty zakutymi w miedziane rękawice dłońmi na głowicy miecza.

— A cóż będzie z nami? — spytał wreszcie.

— Będziecie jak i obecnie... bronili granic państwa!... odrzekł niecierpliwie Król.

— Coraz drożej kosztuje rynsztunek i coraz trudniej o bojowego konia!... — mruknął rycerz.

— Cóż to za targi!... Powieczerać nie dajecie spokojnie?... Jeżeli masz jaką skargę, to przychodź na sądy!... — krzyknął Król i nogą stół odepchnął, aż zabrzączały na nim misy cynowe i srebrne puhary.

Wstał i odszedł do sypialni, za nim wysliznął się Bączuś, jedyny pewny i wierny sługa.

Ale co znaczył biedny wesołek w tej powszechnej rozterce!

Nazajutrz dano Królowi znać, że opuścił go Rycerz Czarny z towarzyszami oraz jeszcze kilku innych panów.

— Uchodzą!... Niech uchodzą! Niech wszyscy odejdą, wtedy zbiorę nowy dwór i nową straż z wójtów i sołtysów chłopskich!... — groził Król.

Groźba poskutkowała; reszta rycerzy i panów pozostała w orszaku i brała pozornie udział w pracy Króla nad uśmierzeniem rozruchów, nad złagodzeniem zatargów.

Ale wszystko szło dziwnie opornie, wieści przychodziły sprzeczne, zeznania dawano fałszywe... Wszystko musiał Król sam sprawdzać i badać. Czuł się nieraz śmiertelnie znużonym, lecz nie dawał tego po sobie poznać i z dawną dumą nosił swój płaszcz gronostajowy na uroczystych występach, i z dawnym spokojem gładził złotą brodę na naradach, wysłuchując długich mów dostojników i radców.

Dopiero w sypialni dawał folgę swojej słabości i znękanui.

— Poco ja to wszystko robię?... Nie chcę, to nie!... Niech zostanie wszystko, jak jest!... Niech zginą, niech zmarnieją!... Co mię to obchodzi!... Ja ocaleję w mojem obronnem zamczyku... Zapasów moich starczy mi do końca życia!...

Bączuś patrzył nań żalonymi oczyma.

— A co się stanie ze słabymi, uciśnionymi, ciem-

nymi, gdy ich opuścisz, Ty, silny i mądry!... W dodatku nie ocaleje najpotężniejszy tron, gdy wokoło będzie nędza, zbrodnia i bezprawie!...

Król twarz dłonią zakrywał i przesiadywał tak bezsennie długie godziny.

W takiej to chwili utrapionej wrócił wysłany do Królowej goniec i przywiózł list.

„Najukochańszy Panie Nasz!

„Nie wysyłałam do Ciebie gońców, jakieś kazał, gdyż Wielki Strażnik Koronny, pan Tatura, nie chciał osłabiać załogi wobec rozruchów wybuchłych, a innych pewnych ludzi nie mogliśmy znaleźć. Zaraz po Twoim wyjeździe jacyś łotrzykowie próbowali wdrzeć się nawet do zamku. Nie wychodzimy wcale z pałacu. Pan Strażnik doradził, żebyśmy przenieśli się na górne piętro. — Od niejakiego czasu mieszkam tam z dziećmi jak w więzieniu. Wszystkich drzwi strzegą rycerze, nawet jadło i napoje nam na górę noszą. Dzieci są zdrowe i nieraz bawią się wesoło, ale ja, patrząc na ich drogie główki, myślę nieraz z trwogą, co ich czeka, i umieram z niepokoju. Jedyłą pociechę czerpię z wierności, dobrego serca i troskliwości... Wielkiego Strażnika. Zaczny to i mądry Pan. Wdzięczności mojej dla niego nigdy nic nie zmieni... Kiedyż, kiedyż, Panie, powrócisz do nas i troskę o dobro państwa zamienisz na troskę o nas?

Wierna Ludgarda.“

Na list ten Król natychmiast odpisał:

„Ukochana Małżonko!

„Bądź królową a nie niewolnicą. — Rozkazuj. Zejdź napowrót do przeznaczonych Ci komnat. Straże odeślij na mury. Pan Tatura musi Cię słuchać, gdyż Ty jego Panią i Królową jesteś... Nie żałuj gońców i wieści często o sobie i dzieciach przysyłaj... Nie bój się niczego, gdyż ręka moja, choć zdaleka, czuwa nad wami!...

Kochający Cię Gosław.“

## VII.

Zmalał orszak królewski. Zostali w nim tylko dostojnicy z urzędu, trochę wiernego rycerstwa i osobiści Króla dworzanie. Ich szaty i zbroje, poniszczone w podróży, już nie grały dawnymi barwami, nie lśniły się blaskiem słonecznym. Twarze ludzi émił smutek i zaduma. Nie spotykały już Króla przy wjeździe do grodów wspaniałe pochody panów, rycerzy i cudnych strojnych dziewcz, sypiących kwiecie pod kopyta królewskiego rumaka. Zato wyległy, niewiadomo skąd, jakieś kudłate, półnagie, cuchnące tłumy żebracze, które, klękając na drodze, wstrzymywały jego konia i podawały mu na długich tykach zwitki papieru ze swemi skargami.

— Nigdy nie myślałem, żeby było w mojem królestwie tyle nędzy!... — mówił Król z żalostí i odrazą.

Kazał suto rozdawać jałmużnę, tak, że skarbnik zaczął gderać, iż mu nie starczy na powrót, że już w sakwach mało zostało pieniędzy, a w jukach mało jadła.

A tymczasem tłum głodomorów, usłyszawszy o rozdawnictwie Króla, wciąż wzrastał. Całe rzesze wlokły się za orszakiem, kłócąc, nawet bijąc się z pachołkami, którzy bronili im dostępu do monarchy. Zdarzyło się nawet, że gdy wór z sucharami oberwał się z konia i potoczył na drogę, głodni porwali go i rozdrapali w jednej chwili, a następnie rzucili się na inne. Odpędzających ich koniuchów pościgali z siodeł, tak, że ci we własnej obronie musieli obnażyć oręż.

Uczył się tumult, wrzask, powstały jęki i wyrzekania. Doleciał pogłos do Króla, który zatrzymał się i wysłał dworzanina na zwiady.

— Czerń głodna rabuje twój dobytek, Panie!

— Dosyć!... Niech ich nie biją!... Skocz zaraz i powiedz, że zakazuję bić!...

— Nawet twego majątku, Panie, nie starczy, aby nakarmić wszystkich nędzarzy królestwa!... — szepnął smutno Bączuś.

— Tak, tak!... My to inaczej zrobimy! — Wydam prawa, statuty... Każdy ma mieć zapewniony za swoją pracę kęs chleba i każdy będzie miał pracę... — mówił nawpół do siebie Król.

— Och, Miłościwy Królu, wieki powstawała nędza i wieki odmieniać ją będą!...

— Ale trzeba zrobić kiedyś początek!... Zato potem będzie dobrze!

- Byleś tylko zdołał to zrobić, Błogosławiony!...  
— dodał Bączuś tak cichutko, że Król nie dosłyszał.  
— Coś powiedział?  
— Ze w tych czasach najlepiej być wesółkiem — taki w skarbcu ma jeno żarty!...

Król uśmiechnął się i raźniej trochę spojrzął na szarzejący w oddali gród, ku któremu prowadził gościniec.

— Eh!... Jakoś się zrobi!

Kasztelan grodowy ze świętą orężną czekał na Króla przed wrotami zamku. Król i orszak mimowoli odetchnęli z ulgą, gdy zadudnił pod kopytami koni most zwodzony i odepchnięta od warowni cizba zgłodniałych znikła, rozproszywszy się po zaułkach przedmieści.

Znowu pobiegły gońce i zwiastuny na wszystkie strony, zaczęły się na zamku narady, sądy i wiece.

Zdawało się Królowi chwilami, że nigdy nie wybrnie z gmatwaniny, nierządu życia, sprzecznych wiadomości i złośliwych matactw.

Dokoła zameczku zbierały się coraz gęstsze tłumy nędzarzy, żądając chleba i opieki. Król widział nieraz z ganku w noc księżycową, jak obozują w polu u ogni, czekając na jego łaskę. We dnie unikał zbliżania się do okien, gdyż biedacy, dostrzegłszy go, zaczęli wyc jak wilcy, a chude ramiona wznosili jak suchy las. Brama zamkowa wciąż musiała być warta: słaba załoga zamku nie mogła oprzeć się cizbie. Kilkakroć zalała ona już podwórza, tak, że trzeba ją było końmi tratować, by wyprzeć za mury.

Król chodził posepny. Czując swoją bezsilność,

unikął rozmów o rozruchach. Cały czas poświęcał badaniu praw i zwyczajów co do poddaństwa, podziału ziemi, robocizny i układał statut.

— To najważniejsze, to trzeba ustalić i poprawić, a reszta się już według tego ułoży — powtarzał.

Ale pewnego dnia przypędził do grodu goniec na zziąjanym, zmęczonym koniu; z trudem przedarł się przez oblegający zameczek tłum i zatrąbił przed bramą.

Wyjrzał z okrągłego okna z nad bramy strażnik i zapytał, kto zacz jest?

— Od Królowej!... list wiozę!...

Opadł most zwodzony, zadudnił pod kopytami i natychmiast znowu się podniósł do góry jak potwor-ny potrzask.

Rycerz, nie przebierając się, jak był w zakurzonej, zbroczonej krwią zbroi, z hełmem na głowie, pogię-tym ciosami mieczów, kazał się do Króla prowadzić.

— Co się stało? — pytali strwożeni dworzanie.

— Wiedźcie do Króla!... Niewolno mi mówić!... Ale dajcie mi... kielich wina, bo nie dojdę... Prze-bito mię...

Gdy goniec, podtrzymywany przez dworzan, wszedł chwiejnym krokiem na salę obrad, zerwali się z miejsc dostojnicy i nawet sam Król wyprostował się i przybladł cokolwiek. Wziął list i odwrócił się ku oknu a tyłem do obecnych, aby ukryć wzruszenie. Widzieli wszakże wszyscy, że list drżał mu w rękę, a silna postać jakby przygięła się na chwilę. Ale trwało to krótko, poczem znowu dumnie podniósł głowę, lewą rękę mimowiednie opuścił na pas, gdzie



w czasach wojny nosił miecz, i rozkazał gromkim głosem:

— Zapalić ogień wojenne na basztach zamku i wysłać wici do sąsiednich grodów... A tutejsza załoga niech natychmiast gotuje się do pochodu!...

Skinął na kasztelana oraz na dowódcę swej straży przybocznej i odszedł do wewnętrznych pokoi. Nawet Bączuś nie śmiał iść za nim.

Tymczasem panowie, dworzanie, rycerze obstąpili gońca:

— Opowiadaj, skąd jedziesz?... Co się stało?... Co takiego się stało?... Gdzie tak cię pocięto, zuchu?!

Goniec zrazu się wzdragał, ale posiedziawszy trochę na ławie, zdjął hełm, napił się wina, wypoczął i język mu się rozwiązał:

— Cóż, i tak rychło się dowiecie!... W całym kraju wre. Wszyscy o tem tylko gadają!... Jak wyjdziecie za te mury, zaraz się dowiecie!...

— Do rzeczy, do rzeczy!... Gadaj, o co chodzi!

— A nic, jeno, że sołtys Gomóła chłopów pobuntował, obiecał im oddać wszystką ziemię rycerską, sam się królem ogłosił, zebrał tłumy ludu i zamek królewski obległ...

— Należało się tego spodziewać: kto wiatr sieje, burzę zbiera!... — powiedział głośno jeden z dostojników.

— Dawno to mówiłem!... — wykrzyknął rycerz Rondel. — Daj kurze grzędę, ona — wyżej siędę... Dali chamom powąchać trochę wolności i w głowach im się przewróciło!...

— ... Okoliczne zameczki co pomniejsze wzięte, rycerstwo pobite na śmierć... Nawet kobiet, dzieci nie szczędzili buntownicy... Większe grody trzymają się, ale czy długo to potrwa, niewiadomo, bo załogi słabe i żywności mało... Cała nadzieja w Królu, którego imię wielką jeszcze wagę ma wśród chłopstwa... Jakby tak się zjawił, toby może Gomółę opuścili...

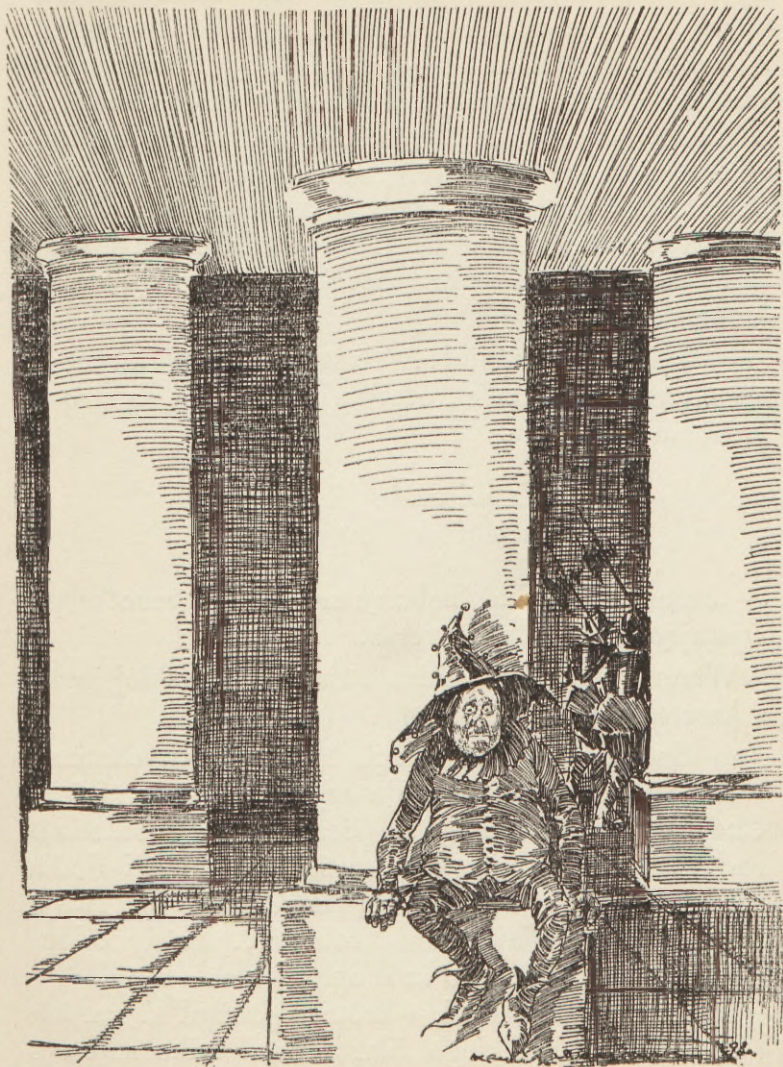
Milczeli rycerze i dostojnicy. Każdy trwogą był zdjęty o swoją rodzinę i swoje mienie. I choć chłopskiej miłości do Króla nie lubili, chwytali się teraz za nią, jak za deskę ratunku. Rozeszli się po wielkim przedsiönku i kupkami gwarzyli pocichu, podczas gdy większa ich gromada otaczała w dalszym ciągu gońca, opowiadającego rozmaite już niewiarogodne bajdy:

— Chwalą się chłopcy, że zamek rychło wezmą, bo im obiecał rycerz nadziemski bramy otworzyć... Widzą go pono nocami, jak chadza po ich obozie... Do Wilków też pono posły posłali, o pomoc ich proszą... Król Gomółą pół królestwa im w darze obiecuje.

— Poco mają wziąć pół, kiedy mogą całe!... — szydził Rondel.

— Oho!... Zobaczymy... Zobaczymy, czy będą umieli ostać się naszym szykom w polu... Orać skiby nie tosamo, co się na ostrza potykać! Ho, ho!... spróbujemy się — odgrażało się rycerstwo.

— Zginie kraj, zginie państwo!... A wszystko przez co: przez waszą chciwość i wybiegi!... Gdy-



byście niezwłocznie zgodzili się na prawa, spisane przez króla, czynsze zmniejszyli, swawolę swą ograniczyli... siedzieliby kmiecie cicho i wszyscy posiadliby rychło dobrobyt!... A tak — będziecie wesółkami u króla Gomóły, będziecie!... Hej, kto kupi? Sprzedaję moją grzechotkę! Za pół ceny!... Bierzcie, bo potem na wagę złota nie dostaniecie!... Dobra grzechotka. Patrzcie!... — wołał Bączuś, włączając w środek panów i bręcząc niemiłosiernie dzwonkami.

— Idź precz, błaznie!... Tu ważniejsze sprawy!... — oburzał się Rondel, odsuwając wesółka na stronę kolanem i łokciem.

— Brzuch wiecznie pusty  
A w głowie faska kapusty!...

— bronił się Bączuś, bębniąc zręcznie grzechotką po wystającym żołądku rycerza.

Wtem wyszedł dowódca straży królewskiej wraz z kasztelanem.

— Sposobić się do drogi, zaraz... natychmiast. Na noc ruszamy!... Zbroje czyścić, oręż ostrzyć... Obejrzeć łuki i strzały... Giermkom i koniuchom rozkazać, żeby konie poili, czyścili, szykowali siodła i juki... Niech wszyscy idą natychmiast na swoje miejsca i doglądają pilnie roboty... Każdy odpowiada pod gardłem, bo król ogłosił czas wojny!

Obszerny przedsiónek wkrótce opróżnił się zupełnie, w cieniu wielkiego filaru został tylko smutny, zamysłony Bączuś.

## VIII.

Gdy Król z pocztem rycerzy stanął nareszcie na wzgórk, skąd widać było całą dolinę zamkową, zdumiał się i zadrżał.

Jak okiem sięgnąć, wokoło mienił się obóz chłopski, niby pstry, nisko u ziemi przyległy smok: bielaly płócienne świty, siwe sukmany, owcze serdaki, łyczane obierze bojowe, ciemniały futrzane i sukienne kołpaki, błyskały paize. Ruszało się to wciąż, skupiało w gromady i rozplýwało między rzędami rudych lepianek, skleconych naprędcie z chróstu i gliny, jak cętki kurczących się łusek. Modrawe dymy ogni tłukły się nad obozowiskiem i powlekały wszystko sinawą mgłą, wśród której niby nieprzeliczone skry błyskały blaski poruszającego się oręza: kos, siekier, mieczów, hełmów i puklerzy.

Choć to był widok groźny, nie tego się jednak Król przestraszył. Był pewny, że koniec końców uda mu się z chłopami dojść do ładu, że uda się ich większość na swoją stronę przeciągnąć.

— A to, że rycerzy trochę nastraszyli, to wszystkim wyjdzie na pożytek!... — rozmyślał nieraz w cichości.

Kiedy jednak na zachodzie doliny, niedaleko bramy zamkowej, ujrzał czarną zwartą plamę cudzoziemskiej cizby, kiedy rozpoznał w niej Wilków hordy, zimne przerażenie schwyciło go za serce.

Długo nie odrywał oczu od ciemnego mrowia i płowych murów twierdzy, dumnie wznoszących się niby wyspa wysoka i skalista nad wrogiem obozowiskiem.

Królewska dwubarwna chorągiew wiała nad nią jeszcze jak płomyk życia, ale czy długo to potrwa?... —

— Miłościwy Panie!... dostrzegli nas!... — ostrzegł Króla jeden z przybocznych rycerzy.

Król zwrócił zadumane oczy na obóz chłopski, gdzie roje powstańców zaczęły wylegać z okopów i szykować się w długie potrójne, poczwórne, poszóstne szeregi.

— Posłać do nich heroldów z przygotowanym wczoraj orędiem!... Niech się pokwapią!... Niech im słowem mojem królewskim poręczą, że czynsze zostaną zmniejszone, a wszelka swawola ukrócona!... Że wszystkim przebaczę, jeżeli się upokorzą i wrócą do swoich osiedli!...

Popędzili heroldowie z białą chorągwią pokoju w stronę buntowników.

Król widział, jak naprzeciwno nim wyszli siermiężni wojownicy, jak długo coś gadali i jak następnie jego wysłańcy nawrócili konie.

— Nic z tego nie będzie, Wasza Królewska Mość! Te chamy nie znają się na takich dowodach! Zbić ich, przygiąć do ziemi a potem ułaskawić trzeba!... Taka moja rada! — radził rycerz Płomienny.

— Widzisz, wielu ich jest!?

— To nic!... — Nie mają konnicy i zbroje liche, oręż kamienne, kosy i cepy!... Wykosimy ich mieczami jak łan zboża! — dowodził rycerz Żółty.

Ale Król milczał, gryzł brodę.

— Przecież to... dzieci moje, bracia wasi!... — wybuchnął wreszcie.

— To nie są bracia nasi, to jest podła krew jeń-

ców, oszczędzona i przygarnięta przez nas! — twar-  
do odpowiedział rycerz Czarny.

— Tutaj, w obliczu śmierci, wstyd ci, rycerzu, tak  
mówić! Wszystkim nam grozi zagłada: i podłym  
i szlachetnym!... Czy nie widzisz?...

Król wskazał ręką na czarne pułki z pod bramy  
zamkowej.

Tam powstał też jakowyś ruch. Oddziały przesu-  
wały się na tyłach, wydłużały linię bojową, wyginały  
ją jak sierp księżycy.

— Nauczyły się i te pohańce szyki, widzę, spr-  
wiać!... — szepnął rycerz Błękitny.

W tej chwili wrócili wysłańcy.

— Nie dopuścili nas! Starszyzna nie pozwoliła nam  
nawet gadać z chłopami. Mówią: Niech Król Jego-  
mość przyjdzie do nas, a przyjmiemy go jak ojca  
ze czcią i miłością. Poddamy się pod Jego miłościwe  
rozkazy, gdyż tego tylko pragniemy. Przyszliśmy wy-  
zwolić go z niewoli rycerskiej, ale z rycerzami gadać  
nie chcemy... Siłą nas teraz razem, to są grzeczni,  
a jak do domów się rozejdziemy, to znowu nas dusić  
zaczną zosobna!...

— Bezczelni — nędznicy!... Wytępić ich!... —  
gorączkował się rycerz Rondel.

— Tak, tak!... Niema co!... Uderzyć na nich!...  
— zahuczały głosy.

— A któż na was siał i orać będzie?... — pytał  
Król ze smutkiem.

— Zresztą nie damy rady!... Roztropniej cofnąć  
się i wysłać do obozu tajemnych gońców, którzyby do  
chłopów trafili! — radził rycerz Biały.

— Zapewne, że lepiej zwlec, aż nadciągnie wojewoda Skowroń!... — przywtórzyl rycerz Błękitny.

Już kazał Król trąbić do odwrotu, gdy niedaleko z poza nierówności ziemi wychyliły się sznury ciemnych, drobnych, chyżo naprzód pomykających postaci:

— Wilki! — szepnął Król, poprawił się na siodle i dobył miecza. Cały jego orszak i całe nieduże doborowe wojsko uczyniło to wraz bez rozkazu. Król szybko wydał rozkazy. Zmienił szyk bojowy, sformował wojsko w kwadrat, czołem na cztery świata strony. A zaraz wysłał na stracenie dwa oddziały konnicy, aby nieprzyjaciół wstrzymała: jeden przeciw Wilkom, drugi przeciw chłopom, którzy też z wielkim wraskiem ruszyli do boju.

Wilki szły cicho, płasko, jakoby skradając się przy ziemi. Konnica niewiele uczyniła im krzywdy, gdyż rozsypali się luźnym łańcuchem. Przeszła przez nich jak przez oka niewodu. Zabiła kilku, stratowała, porąbała — kilkunastu, może setkę, ale główna siła nieprzyjaciela nie zatrzymała się nawet, dążąc w tym samym szyku, w tym samym kierunku z oczami utkwionymi w orszak królewski.

W mgnieniu oka znaleźli się na rzut strzały. Już widać było wyraźnie ich szare postacie kosmate, ich krwawo gorejące ślepie z pod szłyków futrzanych, ich krótkie miecze żelazne, białe i błyszczące jak kły... Zawyli i miotnęli chmurę strzał raz, drugi i trzeci... Poczem pod osłoną pocisków zbiegli się chyżo i wpadli kupą na szyki królewskie. Zawrzała ząarta walka. Król, stojąc na lekkim wzniesieniu



pośród wojska, pilnie baczył na wszystko i posyłał na pomoc zagrożonym szeregom doborowych rycerzy z zapasu. Wilków napływało coraz więcej i więcej... Ich dzikie wycia straszyły konie, oszałamiały ludzi, głośząc szczęk oręża, granie trąb i nawoływanie królewskiego rycerstwa... Na miejsce setek poległych wyrastały nowe nawały, parły naprzód z niepowstrzymaną siłą, szczękając żelazem po miedzianych zbrojach.

Zaczęło zmęczone, ogłuszone i przerzedzone rycerstwo ustępować. Zwężało się koło obrońców królewskich... a i ci, co zostali, byli pocięci, osłabieni, upadli na duchu. Król przerażeniem okiem spoglądał na klębiące się dookoła czarne mrowisko. Wśród niego opodal, niby góra, szarzał cień straszego hufca wojowników, zakutych w żelazo z wilczemi naliczkami. — Ci nie dobywali jeszcze broni. — Wolno, kołyszając się, posuwali się oni przez wrzeszczący tłum... wprost ku Królowi.

— Zginęliśmy!... — szepnął Król.

— Tak, Królu, zginęliśmy, ale choć umrzemy godziwie!... Wolę taką śmierć, niż śmierć z ręki moich wczorajszych niewolników!... — odpowiedział rycerz Czarny.

Król zbolałym okiem spojrzał na gromady chłopów, przyglądające się bitwie z oddala. Tam również poruszano się, jakby gotowano do walki...

— Pójdą pewnie na zamek!... — pomyślał Król i na chwilę mignęła mu przed oczyma pyszna pałacowa komnata, w niej Królowa, siedząca u okna

w złotokanej szacie, a u jej nóg dwoje bawiących się na kobiercu rumianych dzieciaków... Ogromny wilczy pysk pochylił się nad nimi i zmaćcił mu widok... Król oprzytomniał i spojrział przed siebie... Po krótkiej przerwie, w czasie której Wilcy wysunęli na czoło świeże siły, zawrzał nowy bój. Wśród rycerstwa już nie czuć było ani twardości, ani zapału. Biło się jeszcze ono dobrze, odpierało napady i zadawało ciosy, ale bez zwykłej dzielności. W ruchach i twarzach widniała jeno zaciętość i rozpacz. Daremnie wodzowie podniecali walczących obietnicą, że lada chwila nadciągnie wojewoda Skowroń, że z zamku wypadnie odsiecz...

Dość było spojrzeć na nieprzejrzane mrowie Wilków, aby zrozumieć, iż żadna odsiecz już tu w czasie nie dotrze, nie pomoże... Mały oddziałek królewski nie bił się nawet z tą tłuszcą, jeno szamotał bezsilnie, jak motyl grzęznący w smole... Barwne chorągwie, pyszne płaszcze rycerskie, połyskliwe zbroje nikły, tonęły we wrzeszczącym, szalejącym topielisku nieprzyjacielskim.

Żeby choć resztkę wojska uratować, żeby zupełnej uniknąć zagłady, postanowił Król porzucić obronne stanowisko, przedrzeć się i uciec.

— Ale gdzie? Wszędzie za nami te wilczyśka pogonią!... Wytchnąć nie dadzą!... Ani zjeść, ani wypać się. Będą tropić, gryźć, szarpać, rwać!... A no, niech radzą panowie!... Przez nich cała ta wojna!...

Zwołał Król naprędce radę wojenną do bojowego namiotu wodzów i przedniejszych rycerzy. Wszyscy

zgodzili się, że należy od zamku odstąpić, że go uratować nie sposób.

— Podda się Tatura, podda, jak tylko zobaczy, że odchodzimy!... — dowodził rycerz Purpurowy.

— A cóż innego może zrobić!? I tak wezmą zamek, gdy nas zniosą... A nie wezmą szturmem, to go ogłodzą!... — odrzekł rycerz Biały.

Królowi serce się ścisnęło, gdy tych domysłów słuchał, ale nie dał poznać po sobie.

— Dobrze!... Wszyscy więc zgadzacie się na odwrot, ale w jaką stronę?...

— Ku Czesławcom. Tam Skowroń już powinien był nadciągnąć!... radził Rycerz Płomienny.

— O ile go nie oblegli i nie wstrzymali tamtejsi chłopci... Od naszej wygranej albo przegranej zależy, czy powstanie na kraj cały się rozszerzy czy zgaśnie!...

— zauważył posepnie rycerz Czarny.

Król słuchał spokojnie.

— Uważam, że należy... do chłopów, do chłopów! — rzekł wreszcie surowo.

Rycerze wyprostowali się i umilkli.

— Chyba po to pójdziemy do nich, żeby nas dobili — szepnął rycerz Błękitny.

— Przenigdy nie uczynimy tego... Zginie my na wieczne czasy! — zawołał rycerz Czarny.

Nagle odchylił się róg namiotu i wbiegł wojownik w krwi, kurzu i znoju, bez hełmu na głowie, z mieczem strzaskanym w ręku.

— Ratuń się, Królu!... Wilcy przerwali szeregi, są już w obozie!...

— Na koń! — krzyknął Król. — Gdzie mój hełm, gdzie miecz!?

Drżącymi rękami długą złotą brodę wedle staro-dawnego obyczaju za wycięcie pancerza zakładał, aby mu nie przeszkadzała w boju, a giermkowie tymczasem ścigali na nim sprzączki zbroi, nieśli mu hełm złocisty i nowy, polerowny miecz. Biały rumak niecierpliwie tańczył i grzebał kopytami ziemię przed namiotem. W obozie kotłował się bój i szerzył się popłoch... Wśród strasznej wrzawy przelewała się z końca w koniec ciżba ludzka, obalając po drodze wszystko. Ogromne bogactwa, beczki z pieniędzmi, skrzynie ze złotem i naczyniami, drogie suknie, wory z żywnością, wszystko zmieszane, stratowane, wałało się w kurzu i krwawem błocie pod nogami walczących.

Król kazał trąbić i zwoływać wojowników, setnikom tłumaczyć, aby zaprzestali się bić bezładnie, skupiali koło dowódców. — Rycerze i wodzowie zaczęli zbierać, spędzać ludzi i wkrótce otoczył Króla spory oddział, który wciąż wzrastał od napływu zbiegów z rozmaitych oddziałów. Król wysunął się na czoło; murem stanęli dookoła dzielniejsi rycerze i z nowym zapalem uderzyli na zdumionego wroga...

Ostry, błyszczący od miedzi, barwny od drogich tkanin szyk konnicy, muskularna, najeżona dzidami piechota wciąły się niby twardy klin w nieporządne, zmieszane w gorączkowym pościgu szeregi Wilków. Ciężkie bronzowe brzeszczoty siekły niemilosierdzie, kłuły dzidy bukowe, tratowały kopyta końskie. Darownie nadstawiali Wilcy swoje krótkie miecze ze-

lazne i niezgrabne oszczepy... Łuków i proc użyć nie mogli, gdyż łatwo było porazić w zamieszaniu swoich... Ustępowali więc przed klinem doświadczonych rycerzy, rozbiegali się na dwie strony, jak woda przed twardym dziobem wojennego statku. Ale trwało to niedługo. Rozległ się przeraźliwy dźwięk, podobny do świstu orła i mruku lwa, Wilki odpowiedziały wyciem i pochyliły się ku ziemi: Król podniósł oczy i ujrzał lecącego ku sobie z impetem żelaznego rycerza z wilczą przyłbicą. Spinał się pod nim kudłaty, do wilczyśka podobny rumak, a za nim pędziła kupka podobnych do niego rycerzy.

— Dobrze!... Porachujemy się!... — pomyślał zaciskając zęby, Król. Wyciągnął rękę z mieczem przed siebie i pomknął sam w tę stronę, a za nim wojsko. Zwarły się szeregi jak dwie fale; wzdęły się, zapieniły głowami ludzkiemi, zjeżyły mieczami, a gdy opadły, powstał na ziemi krwawy wał zabitych. Nie wytrzymały jednak przeważnie w skóry odziane Wilczyśka naporu miedzi. Zostali odrzuceni, a częścią wycięci... Nawet wódz ich, rycerz żelazny, porwany w popłochu uciekającym tłumem, mógł z Królem zamienić ledwie parę cięć miecza. Uszedł z innymi, opodal widać było, jak ich zwoływał, szykował, i do nowej walki zagrzewał.

Wojsko królewskie przedarło się wszakże już poza pierścień nieprzyjaciela i pełnym biegiem zbliżało się do chłopskich szeregów. Ci szykowali swoje proce i łuki, nadstawiali dzidy, gdy wtem Król wojsko zatrzymał, część jego zwrócił przeciw pozostałym w tyle hordom; reszcie kazał czekać, broń ku ziemi

opuścić. Sam z małą kupką rycerzy, wysławszy na-przód heroldów, zbliżył się do powstańców.

— Słuchajcie, kmiecie, sołtysi i wójtowie... — zawołał, wyciągając rękę.

— Słuchajcie, słuchajcie!... — wrzasnęli herol-dowie i zadęli w trąby.

Król dał ponownie znak, że chce mówić. Nastąpiła cisza śmiertelna, przeraźliwa. Wszyscy czuli, że się wielkiego coś waży. Jenemu zdawało się, niby głuche granie następującego potopu, dolatało wielogłose wycie Wil-ków i wrzawa bojowa ucierających się z nimi od-działów.

— Słuchajcie, chłopcy, przyznaję, żeście pokrzyw-dzeni, przyznaję, że panowie zabierali wam nieraz ostatni kęs, skazując na głód i nędzę... ale teraz... ojczyzna ginie!... Wszystko ginie... Ratujcie! Ra-tujcie kraj!

Głuchy pomruk przeszedł po chłopskich szeregach...

— A niech tam!... — wołali jedni. — Macochą była nam, nie matką!...

Te wołania jednak pokrył grzmot innych, coraz głośniejszych okrzyków.

— To prawda!... W pęta i nas wezmą!... Precz z Wilkami!... Hej!... Leśni djabli!... Na nich!... Bij, zabij!...

A ogromny Gomół przepadł nagle do strzemięcia królewskiego i zawołał głosem skruszonym:

— Daruj nam, Królu Panie i Ojczyźnie nasz! My już sami chcieli na nich uderzyć, kiedy zobaczyli, jak oni krew naszą chlepczą!... My ich, drapieżników,

dobrze znamy!... My ich nie cierpimy jak i wy... Nie chcemy ich panowania!... A tylko obroń nas, ty, Panie, od rycerskiego ucisku!...

Król, któremu łzy w oczach zabłysły, spojrzął na tysiące wzniesionych rąk, na rozgorzałe oczy, na pobladłe wokoło twarze... Zwrócił się do stojącego w ponurem milczeniu rycerstwa i, wyciągnąwszy ręce do nieba, zawołał:

— Przysięgam wam, jako zwolnię niewolniki moje i uczynię w państwie mojem równość i sprawiedliwość!...

— Niech żyje Król!... Sława mu!... Hejże na Wilki!... Prowadź nas!... Prowadźcie nas, rycerze!...

Król natychmiast sprawił nowe szyki, przydzielił do chłopskich szeregów z obu stron konne rycerskie oddziały, z reszty swego wojska utworzył klin i puścił go przodem na zdumionych i zmieszanych obrotem sprawy nieprzyjaciół. Nietyle ich przestraszyło nieoczekiwane natarcie rycerstwa, z którym umieli już poczynać sobie zwycięsko, co ława zbrojnych chłopów, lecąca ku nim z szybkością chmury gradowej. Wódz Wilków kazał trąbić do odwrotu, ale było już za późno, szeregi chłopskie już ich dopadły, już zaczęły rwać i deptać ich, bić cepami, kosami, sękatemi maczugami, kłuć dzidami... Daremnie stawiali się od nich Wilcy ostrem jak szpony żelazem, daremnie próbowali przerazić okropnem wyciem, chłopci choć gęsto padali, szli naprzód jak fala. Wkrótce przedarli, zniszczyli szyki Wilków, wdarli się w ich środek, niosąc wszędzie śmierć i przera-

zenie... Uciekającego naoslep nieprzyjaciela tępiła bez litości zabiegająca z boków konnica...

Zachodziło słońce, gdy Król wracał z wojskiem zwyciężskim do zamku.

Stanął na wzgórk, z którego rano pole bitwy oglądał, i konia nawrócił. Równina, jak okiem zajrzeć pokryta była białymi i ciemnymi plamkami poległych ciał. Tu i ówdzie krwawiły się purpurowe, błękitniały niebieskie, złociły żółte płaszcze rycerstwa. Błyszczały w ukośnych promieniach słońca jak kupy zarzewia zbroje miedziane... Gasły dymy dogorywających ogni... A pozatem wszystkim na kresach widnokręgu bieląła chłodna wstęga uchodzącej wdal Popławy.

Właśnie z zamku na spotkanie zwycięzców występował orszak konnych i pieszych. Zwoje jaskrawych chorągwi wiały nad nim, błyskał oręż i złoto, i drogie kamienie. — Śpiewali, i grali na złotych rogach pieśni radosne...

## IX.

Wielkie było w zamku wesele.

Królowa z płaczem padła na szyję Królowi, nie zważając, że miał na sobie zakurzoną zbroję bojową i zbrukany płaszcz.

Król szybko Królową uścisnął, poczem wodził oczyma wokoło.

— A gdzież dzieci?... — zapytał wreszcie.

— Dzieci?... Nie widzisz?!... Dawno już cze-



kają!... — rozśmiała się Królowa, wypychając naprzód dwie małe figurki w sukniach kwiecistych z wielkimi kołnierzami z haftowanego płótna. Jedna miała głowinę złotą jak dojrzała pszenica, druga czarną jak chmurna noc. Tem się różniły, gdyż zresztą były nadzwyczaj do siebie podobne rysami twarzy, postacią i kształtem ślicznych oczu w ciemnej oprawie. Dziewczynka miała oczy czarne, a chłopczyk niebieskie.

Dzieci trzymały się za ręce i patrzyły z otwartymi ustami na tęgiego brodacza w świecącej zbroi, którego nie знаły, a o którym mówiono im, że jest ich ojcem.

— Aha, więc ojciec to jest taka straszna figura!...

— Dziewczynka drżała z przerażenia, a gdy Król nachylił się, aby ją schwycić i podnieść, beknęła rozpaczliwie na cały głos, jak kózka schwytana. Wtedy chłopak wystąpił naprzód i nadstawił wojowniczo łokieć.

— Oho, ty jesteś, widzę, zuch!... — zawołał wesoło Król, biorąc z kolei chłopaka za ręce i unosząc w górę.

Chłopak wyrywał się i machał gniewnie nóżkami...

— Nie chcę, nie chcę, żebyś ty był mój tatuś!... Wolę pana Taturę, bo on lepiej pachnie i wciąż nas odwiedza... Uśmiecha się do nas i do mamusi, gada ładnie...

— Jasiu!... Jasiu! Co ty wygadujesz?... — ganiła synka Królowa. — Pocałuj ojca!...

Ale Król już chłopca postawił na ziemi i odwrócił

się. Właśnie nadeszła wieść, że ciągnie i jest niedaleko wojewoda Skowroń z wojskiem odsiecznym. Król posłał mu rozkazanie, aby ścigał ze świeżymi siłami pobitych Wilków i królestwo z nich oczyścił. Sam udał się do szatni, wziął kąpiel i przebrać się kazał przystojnie do wieczery.

Była to wspaniała uczta. Śpiewali pieśniarze, tańczyły tancerki, rycerstwo opowiadało o swoich czynach wojennych, a najwięcej rycerz Rondel, który nagle się po bitwie odnalazł...

— Byłem zajęty zachodzeniem Wilków od tyłu. Wtem zmienili front... Możecie sobie wyobrazić moje położenie... Tysiące ślepi wpatrzonych we mnie i tysiące paszczy otwartych... Ale ja nie straciłem ducha, zatoczyłem łuk mym niezrównanym mieczem...

— I zmieniłem front, bo zawsze lepiej mieć nieprzyjaciela z tyłu, to moja taktyka!... — pisał Bączuś.

— Milcz, błaznie, nie znasz się na rycerskich sprawach!

— Ale właśnie, że się znam, bom zachodził od tyłu jęgomości, kiedyś się chował w krzakach... Sam tam chciałem się schować, ale już były zajęte!...

— Ha!... Ha!... Ha!... — śmieli się obecni, śmiał się Król, uśmiechała się nawet Królowa.

Psuł jednak trochę powszechną wesołość widok wojska Gomóły i sołtysa Kwitka, których Król zaprosił do swego stołu i nawet posadził koło siebie. Mało kto z rycerstwa odzywał się do nich. Zato

monarcha był dla nich bardzo uprzejmy. Uprzejmy był również Wielki Strażnik Koronny, pan Tatura.

Nazajutrz miała się odbyć na zamku Wielka Rada i Król chciał, żeby doń wcielono przedstawicieli włościństwa.

Oparł się temu wojewoda Skowroń, który z świetnym orszakiem przybył tegoż dnia wczesnym rankiem na zamek.

— Nie można tego uczynić bez porozumienia się z całym rycerstwem, gdyż będzie to ukróceniem ich przywilejów. Za cenę przelewanej krwi i dziedzicznych zasług oni jedni dotychczas mieli prawo być doradcami Waszej Królewskiej Mości.

— Państwo tym razem uratowali kmiecie!...

— Spełnili tylko swoją powinność.

— Obiecałem im i dotrzymam!... — zawołał Król z rozdrażnieniem.

— Niech Wasza Królewska Mość ich nagrodzi wedle sprawiedliwości swojej... Niech rozda im część gruntów skarbowych, niech dzielniejszych i znakomitszych podniesie do stanu rycerskiego, niech uszlachci nawet całe wsie i powiaty... Wola Waszej Królewskiej Mości!... Ale reszta musi wracać do sochy i sierpa. Inaczej zmarnieje kraj bez dostarczyeli żywności. Głód nas i tak trapi, a gdy zostaną tutaj w tak znacznej liczbie, aby radzić nad sprawami państwa, to gospodarstwo krajowe zmarnieje do szczytu!... Nie będzie nad czem się głowić. Mało kto zostanie przy życiu!... Kto nie zembrze z braku pożywienia, to go zabije mór, który zawsze za głodem idzie... Albo przyjdą cichaczem Wilki

i uprowadzą w łykach!... Radzę więc, niech wracają corychlej do chat... dla własnego i wszystkich dobra!... Wasza Królewska Mość przecie o nich nie zapomni!...

Tak radził siwy wojewoda.

Król szarpał brodę i gryzł wargi.

— A jednak ja chcę, żeby Gomóła i Kwitek na radzie byli!...

— Będzie, jak Wasza Królewska Mość postanowi, ale to tylko sprawę zaogni, gdyż rycerstwo nie ustąpi, bardzo jest rozżalone za rozgrabione zameczki, za pomordowane kobiety i dzieci!

— Robiono z kmieciami nieraz to samo.

— Tak, ale każdy swoją krzywdę przede wszystkim czuje...

— Na to jestem Królem, a wy, mości Skowroniu, wojewoda, abyśmy ponad temi rzeczy stali i ku pogodzeniu się strony kłonili!... — przerwał mu żywo Król.

— Ja też, Miłościwy Panie, o to się kwapię, ale nie widzę tego pogodzenia w prędkim działaniu. Chłopskie pułki są po bitwie osłabione, w dodatku nie mają co jeść. A rycerstwo, które ja na odsiecz przywiozłem, jest świeże, wypoczęte, w broń i żywność zasobne. Oni mię nie posłuchają, Miłościwy Panie, oni się już srożą, że niepotrzebnie chłopci do obrony zamku wezwani zostali, że gdyby trochę cierpliwości i wytrwania, to oni sami podołaliby i chłopom i Wilkom... Oni nastają, żeby poddanych i osadników co rychlej do domów, do roli odesłać. Grożą, że, w razie nieposłuchania, siłą ich rozproszą...

— Tak, tak! Czują teraz, że są silniejsi!... — powiedział z goryczą Król.

Wojewoda Skowroń uwagę królewską mimo uszu puścił i tak dalej prawił:

— Wyniknie więc nowa swara, nowa wojna domowa, a co ona przyniesie, przewidzieć trudno. Może znowu Wilki zgromadzą rozproszone swe moce i poszukają na nas odwetu...

— Co więc robić, co robić, wojewodo? — spytał Król z przygnębieniem.

— Gomółę i Kwitka podnieść do stanu rycerskiego, obdarować dobrami i do Rady wcielić, a do ogółu chłopów wydać orędzie z potwierdzeniem wszystkich dawnych obietnic Waszej Królewskiej Mości. Niech wracają do domów i niech czekają, aż prawa przed Radę Państwa zostaną wniesione i zatwierdzone... Niech mi Wasza Królewska Mość wierzy, że wielu z nich a może wszyscy radzi będą z takiego rozkazu, gdyż im się do domów, do żon i do dzieci śpieszy... Toć to wszystko bez oraczy i siewców tam głodem przymiera!...

Król brodę szarpał i nic nie mówił. Stary dostojnik przyglądał się Królowi z pod oka z pozornym spokojem, ale drżała mu ręka, którą bawił się z niechęcia złotym łańcuchem na piersiach.

— Dobrze!... Już możesz, waszmość panie Wojewodo, odejść!... Dowiesz się niebawem, co postanowię!

Wojewoda skłonił się sobolim kołpakiem do ziemi i wyszedł.

Król czas jakiś siedział jeszcze w zamyśleniu przed

zawalonym papierami stołem, poczem wstał i, cicho stąpając, przez tajemne drzwiczki, krętymi, wąskimi schodkami udał się na wieżę gwiaździarza.

— Jak się masz, Dydko!?... Cóż tam twoje planety?!... — rzekł i siadł ciężko na zydlu przed otworem wielkiej rury do oglądania nieba.

Astrolog w pół przytomnie spojrzął na Króla so-wiemi oczami i głośniejszym zamruczał szeptane przed chwilą do siebie uwagi:

— ...szczęście większe... męskie... długie...: go-rące... wielkie... A jest mocniejszego zakonu nauki... imienia... obfitość... A znamionuje duszę i żywot królestwa... Wstrzemięźliwość... wiara... dobre szczęście i... mający moc w sercu i wą-trobie, a ukąszenie jego słodkie jest!... Znak dziedzictwa i ustawiczości to jest... Pan duchowny, kto się pod nim narodzi... Czasy nie wiedzą... Patrz, Władco!...

Zwrócił się nagle do Króla, wskazując na kryszta-łowe oko teleskopu, połyskujące tajemniczo w swej miedzianej oprawie.

Król z pewnym lękiem przybliżył swe oblicze ku niemu.

— Co widzisz?

— Widzę mgłę złocistą... Aha!... Widzę gwiazdę!... Z niej wytryska pęk świetlisty, niby różga... Grozi światu!... Tego tu przedtem nie było... Co to znaczy?

Odsunął się Król od przyrządu i spojrzął na astrologa. W szeroko otwartych źrenicach monarchy struchlała groza walczyła z resztkami rozsądku.

Dydko długo milczał.

— Naprzód znajdziesz dzień miesiąca według biegu jego... Potem dzień tygodnia, a liczbę przez nich napisaną odłóż na stronę... Weźmij zaś literę po jednej z imienia twego... — zamruczał nagle głucho.

Królowi włosy zjeżyły się na głowie. Niezrozumiałe wyrazy, dziwaczna twarz astrologa, ognisty znak na niebie, widziany przed chwilą, złamały jego zwykłą rozagę i męstwo.

— A moja gwiazda!... Gdzie moja gwiazda?...

Dydko popchnął teleskop z niechcienia i wskazał znowu bladym palcem na jego kryształowy otwór.

Król przyłożył chciwie oko...

— Widzę... widzę!... Ależ ona tuż przed tym ognistym smokiem!... Co czynić!?

Wstał, gotowy do walki, i patrzył wyczekująco na gwiazdziarza.

— Błyszczące — szczęście, blade — przeciwność... Cześć, albowiem niewiadome drogi jego!... Cześć!... — powtórzył Dydko znacząco.

Król głowę opuścił.

— Cześć?... Na co czekać?... Co wstrzymać?...

Chciał pytać, spojrział na astrologa, który nagle skurczył się w sobie i zwiądl na twarzy jak stary liść. Zrozumiał, że nic się od niego nie dowie, i wyszedł zasepiony z opuszczoną głową.

Po namyśle zawołał stolnika i kazał nazajutrz szykować ucztę na zamku. Miała trwać trzy dni, trzeciego dnia odbędą się turnieje dla uczczenia świętego zwycięstwa.

Uczta wspaniale się udała. Stroje dam i rycerstwa wyglądały, jakby złożyły się na nie wszystkie blaski słońca i księżyc a z barwami ziemi. Pół setki wołów zabito, zarznięto setkę baranów, do tego drobiu bez liku. A ile wypito beczek wina, miodu i piwa, tego nikt się nigdy nie dowiedział, gdyż piwniczy z wielkiego żalu na taki wydatek odpowiadał jeno opryskliwie:

— Arkę Noego zmyłaby ta fala z czuba Araratu!

Rozgwar głosów biesiadnych, dźwięki tanecznej muzyki, śpiewy, chrzęsty zbroi, szelesty jedwabiów biły o wysokie stropy zamkowych komnat i wraz z światłem jarzącem wylatały nazewnątrz przez wielkie okna otwarte. Leciały daleko w ciepłą noc majową. Rozpływały się szeroko po śpiących ogrodach, gdzie mdlały w rozkosznych zapachach cudne kwietniki; budziły drzemiące po gajach sarny i ptastwo, aż wkońcu uderzały o twarde mury zamkowe, gdzie czuwała zbrojna straż. Tu milkły i opadały na wysrebrzone rosą murawy. Slabe echo tych zabaw przedzierało się do wielkich, ciemnych obozów rycerskiego i chłopskiego wojska, rozłożonych na dołinie.

W uczcie brali udział i przedstawiciele włościanstwa: wójt Gomóła oraz sołtys Kwitek. Więc kmiecie nie tracili nadziei co do poprawy swego losu, zaś rycerstwo, wiedząc o rychłym uszlachcieniu obu, traktowało ich o wiele łaskawiej.

Na drugi dzień odbył się turniej na usypanej złotym piaskiem arenie; Król z Królową i dworem oraz



znakomitsi dostojnicy przyglądali mu się z zamkowej galerji.

Potykali się rycerze na kopje, na miecze, walczyli pieszo na topory. Wyszedł wreszcie w szranki Tatura w rycerskim rynsztunku i ogromny Gomóła, uzbrojony w bojową palję włościąską, nasadzaną kamieniami. Długo zapaśnicy tłukli się po hełmach, po bokach, bronionych kolczugami.

I pewnie, że zwyciężyłby olbrzym Gomóła, gdyby udało mu się rycerza dopaść, ale ten wciąż mu umykał i kunsztownie zasłaniał się mieczem. Wreszcie zręcznym ruchem palicę z rąk Gomóle wytrącił.

Radosnym okrzykiem powitało rycerstwo taki wynik zapasów. Królowa nagrodziła zwycięzcę ślicznym bukietem róż, a panie i panny dworskie obdarowały go wdzięcznymi uśmiechami.

Jedynie Król nie podzielał powszechnej radości, przeciwnie, wezwał natychmiast kmiecia wraz z jego towarzyszem Kwitkiem na stopnie tronu i miecze im rycerskie przypasał.

Wieść o tem rychło dostała się do chłopskiego obozu i wywołała tam wielkie rozradowanie.

Rycerze również poczuli ulgę. Zaczęli wychwalać zasługi i cnoty nowych „panów braci”: męstwo i wielką siłę fizyczną dawnego Gomóły — obecnie pana Gomólickiego, oraz rozum i przezorność dawnego Kwitka, obecnie pana Kwitkowskiego.

Turnieje zakończył występ Bączusia. Wyskoczył na środek areny, ubrany w nowiutką czerwoną kierezję ze złotymi dzwonekami. Skłonił się gościom układnie

i, wymachując grzechotką, jak mieczem, wyzywał na bój cały świat, nawet... rycerza Rondla.

Nikt nie wychodził, ale wszyscy śmieli się do rozpuku.

— A co!... Wszyscy się mnie boicie!... Śmiejcie się, śmiejcie, ale mówię wam, że się źle bawicie, bo dla was to jest igraszką, nam chodzi... o życie!... A może ty wystąpisz, nowy panie Gruby! — kiwnął grzechotką w stronę uszlachconego Gomóły. — Nic z tego!... Od dziś ty będziesz panem Nadętym!... A wogóle będziesz, ot, tak!...

Upadł na piasek, wyciągnął się i udał, że chrapie. A gdy się ten sen udany dłużej przeciągał i goście nudzić się zaczęli, kiwnął Król na pachółków, żeby zabrali wesołka. Zaledwie jednak pochyłili się nad nim, Bączuś wywinął koziołka, siadł okrakiem na szyi jednego z nich i wyjechał wspaniale ze szranaków.

Nad rozhukanym, rozśpiewanym, jarzącym się od światła przyziemnym pałacem, cichym, ciemnym słupem wznosiła się w błękity jeno wieża astrologa. Wieczorem zapalał się na niej czerwony ognik kaganka, przy którym Dydko badał tajemnicze drogi dobrych i złych gwiazd oraz ich wpływy na losy ludzkie.

— Człowiek spojony jest ze ziemią — swoją macierzą. W dni chmurne go opadają humory. Wiatr czyni go zadzierzystym, skłonny do bitki. W słońce przystępny jest wspaniałomyślności. Od gorącości krew się pali, skóra ciemnieje, a włosy robią się kędzierzawe, jakby osmalone, co widzimy u Etjopów.

Kolor żółty ludów wschodnich pochodzi od żółtej gleby, na której sieją swe zboża; zjadając je, wchłaniają żółtość przyrodzoną swej ziemi. Hyperborejczycy są niscy i kwadratowego oblicza od lodowatości powietrza... Jakież więc wpływ muszą na losy nasze mieć gwiazdy, których tysiące tysięcy wciąż krąży dookoła Ziemi, wypuszczając na nią swoje fluidy?... — pouczał Króla, gdy ten znowu go odwiedził.

Monarcha już mu nie przeczył, nie niecierpliwił się; spoglądał w zamyśleniu na wysrebrzone księżycem doliny swego państwa, na ciemne i białe plamy dwóch rozłożonych pod zamkiem obozów, potem na tysiące tysięcy gwiazd, migocących wysoko w niebiosach...

— Aha, więc każdy, więc i ja jestem niewolnikiem! Muszę robić to, co każą te drżące promyki... Zato poznawszy je, można zgadnąć, co jutro będzie, co uczyni Skowroń, co powie Królowa, a zebrawszy i obliczywszy razem, jak to ty robisz, astrologu, dowiadujemy się, jak postąpią rycerze, kmiecie, nawet... leśni włóczędzy. Można przewidzieć zamiary wroga, knowania przeciwnika, napad niespodziewany zdrajcy!? Ale jak uniknąć złego? Czy mówią co o tem gwiazdy?

— Złego uniknąć można, przestrzegając dni feralnych!... A odszukać je można dla każdego wypadku, wpisawszy w koło liczb pierwotnych trójkąt z liczb różnorakich i przeciąwszy go trójkątem z liczb poszczególnych...

— Dobrze, dobrze!... Szukaj ich, szukaj... Będę

od czasu do czasu przychodził!... — przerwał mu Król, spoglądając podejrzliwie na długie szeregi czarnych i kolorowych znaków.

## X.

Rozbrzmiał rozkaz królewski, rozpuszczający wojska do domów. W obu obozach wywołał on szemranie. Rycerze bali się, że Król w ich nieobecności spełni swą obietnicę, zniesie pańszczyznę i pozbawi ich robotników.

— Nie o nas chodzi, lecz o całe państwo!... — powtarzali, stukając mieczami. — Zasiewy niezżęte zgniją, role niezorane chwastem porosną, niezasiane niwy — nic nie wydadzą!... Głód grozi wszystkim, a zwłaszcza samym chłopom!...

— Jak się rozejdziemy, to już się nie zbierzemy, a wtedy panowie zatają przed nami królewskie rozkazy... i wszystko zostanie po staremu!... Na co więc zbieraliśmy się i przelewali krew? — szemrali chłopci.

Ale rycerzy uspokoił Skowroń, a chłopów wójt Gomóła-Gomólicki.

— A przysięga królewska? Nie wierzycie królewskiemu słowu? To źle!... To już tak źle, że gorzej być nie może!... — dowodził wójt.

— Swarzycie się, przejadacie tu w zbytłych swoje zapasy, a rodziny wasze tymczasem cierpią głód i nędzę, narażone są na tysiące niebezpieczeństw to od Wilków, to Swarogów... Władca Wschodni albo

Północny, dowiedziawszy się o naszej niezgodzie, gotuje się pono wkroczyć!... Wszyscy pójdziemy w niewolę... Widzicie znak?... Strzeżcie się!... — groził siwy Skowroń, wyciągając prawicę w stronę komety, blade rysującej się na wieczornem niebie.

Tłum wojowników zwracał w tym kierunku surowe, poczerńiałe w bojach twarze; groźne spojrzenia mierzchły od niewytłumaczonego lęku...

— Juściż prawda, ale tak znowu... bez niczego... jakże pójdziemy do domów.

— Żadnych „ale“ na królewskie rozkazy! Wracajcie do chat w spokoju, bierzcie się do pracy i czekajcie cierpliwie!... Czekaliście tyle wieków!... Wszystko przyjdzie w swoim czasie!... A gdy się wam spodoba, nikt wam nie zabroni zebrać się znowu tutaj!...

Tak przemawiali zgodnie wojewoda Skowroń i Gomóła-Gomólicki.

Coprawda, wszystkim bardzo już dokuczyła wojaczka, wszystkim pilno było do porzuconych gospodarstw i rodzin; wszyscy mieli dość swarów, niepokojów i nieustannego mątu; wszyscy prócz tego odczuwali głęboki niepokój z powodu tajemniczego znaku na niebie.

Znaczna część, nieczekając na zgodę reszty, już wymykała się nocami cichaczem z obozu i dążyła do domów; więc pozostali, widząc rzednące szeregi, pogodzili się z losem, zostawili wszystko na łaskę Króla i rozjechali się w rozmaite strony. A Król tymczasem błędził zamysłony po opustoszałym zamku. Jak wprowadzić zamierzone zmiany i prawa?

Wydać je łatwo, ale jak zmusić do wykonywania ich? Na kim się oprzeć, gdy nie posłucha rycerstwo? Na chłopach?!... Znowu więc wszcząć bratobójczą walkę, która omal nie zgubiła królestwa?... Zniszczyć i znieść rycerstwa zupełnie niepodobna, gdyż nie będzie miał kto sprzątać szarych wojennych w potrzebie i bronić granic państwa... Ba, gdyby nie było „Żelaznego Wilka“, wtedy wszyscyby mogli zostać spokojnymi rolnikami, możnaby znieść i przywileje i obowiązki rycerskie... Wszystkich możnaby zrównać!... Ale obecnie marzyć o tem niepodobna!... Nie może wszakże pozostać, jak jest... Większości narodu grozi nędza i zdziczenie! Sami rycerze poginą i zubożają niebawem w powszechnym upadku... Ślepi jedynie tego nie widzą!... W głodnym i żebraczym państwie nie będzie ani dość zboża, ani dość oręża, ani wreszcie dość silnych i wytrwałych mężów, aby stawić opór najeźdźcy, a wtedy...

I znowu przed Królem wstawała ciemna postać zakutego w żelazo rycerza i ciche, nieubłagane, okrutne szeregi jego szarych wojowników. Wzdrygał się i wyglądał przez okno na ciemniejące poprzec galezie drzew potężne mury swej twierdzy. Spokojnie stały na niej straże, wsparte na błyszczących w słońcu halabardach. Spokojnie barwiły się kwiaty w ogrodowych kwietnikach i szumiały wiekowe drzewa wiecznie młodą zielenią. W usypanej żółtym piaskiem alei bawili się z oswojoną sarenką złotowłosa chłopiec i czarnowłosa dziewczynka. Król potarł dłonią czoło i odwrócił się. Ach, on prawie ich nie zna!... Nie ma czasu na zajmowanie się temi

dziećmi, z powodu których nacierpiał się tyle, tyle bogactw stracił i wstrząsnął nawet bytem państwa!

Zamyślony zstąpił na dół do kryształowej komnaty Królowej. Zastał ją wśród służebien i pań dworskich, pochyloną nad krosnami. Podniosła głowę i spojrzała nań zdziwiona:

— Co się stało?

— Nic. Chciałem zobaczyć, co porabiasz?

— Ach, od czasu, jak rozjechało się rycerstwo, zrobiło się ogromnie pusto i nudno. Doprawdy, że nawet w czasie oblężenia było lepiej, gdyż roilo się od ludzi i codzień było coś nowego... Teraz nic!... Dnie mijają bez żadnych wydarzeń!... Choćbyś, Królu, bał dać, zwołał na turniej okoliczne rycerstwo!... Proście, dworki, Króla Pana!...

— O tak, Miłościwy Panie!... — podtrzymały chórem Królową dworzanki.

Król chmurny targał brodę:

— Nie czas zwoływać rycerstwo!... — mruknął i odszedł do siebie.

Cicho w królewskiej komnacie. Potrzaskuje ogień na wielkim kominie i rzuca czerwone blaski na zawalony pargaminami stół, na stare księgi, na półki ze zwitkami drogocennych rękopisów, na ogromny fotel z wysoką rzeźbioną poręczą, w którym siedzi Król. Złoty łańcuch gorzeje mu blaskami na czarnej aksamitnej szacie, złotem połyskuje jasna rozłożysta broda. Patrzy na ogień, ale go nie widzi, wyteżonym wzrokiem znowu szuka czegoś daleko, daleko... poza murami zamku.

W kąciku na niskim zydelku przycupnął Bączuś,  
cicho brzdąka na gitarze i jeszcze ciszej śpiewa:

Nad polami poświęta miesiąca,  
A polami idzie Nędza drżąca;  
Chude ręce otula w łachmany,  
Łzawe oczy obraca na łany:  
„Zaorałam ja was i zasiała,  
Ale nie ja będę was zbierała!...  
Ukochane moje srebrne zboża,  
Powiozą was za dalekie morza,  
Przehandlują na drogie bławaty,  
Zaprzędadzą za złote dukaty!  
Głos, co w waszych poszumach szeleści,  
Zamieni się na uśmiech niewieści,  
Rosy zmieniają się w oczy dziecięce,  
Słomy w białe zamienią się ręce,  
Ale wszystko wezmą cudzoziemce...  
A na czarne, przyziemne ściernisko  
Piosnkę ino przywieje wietrzysko!...  
Zboża srebrne, zboża ukochane,  
Naszym znojem tylekroć polane,  
W waszych ziarnach tai się moc wielka,  
Bo zaklęta w każdym... krwi kropelka!

---

— Co ty śpiewasz, błaznie!... — zawołał gniewnie  
Król, który od dłuższego czasu przysłuchiwał się  
cichej jak szmer liści piosence.

— Idź precz!... Wynoś się natychmiast!... Chwili  
wytechnienia nie dajecie!... Dręczyciele!



Bączuś wymknął się chyłkiem, zasłaniając się gitarą jak tarczą.

Król wstał, założył ręce za pas, przeszedł się kilka razy z opuszczoną na piersi głową, poczem podszedł do małych, tajemnych drzwiczek, otworzył je i znikł na ciemnych, krętych schodach.

Gdy znalazł się w obszernej komnacie z szklanym pułapem, wśród gwiazdnych map, u otworu rury z kryształowem ślepiem, gdy spojrzął w sowie, nieprzytomne oczy Dydki, odrazu ogarnął go błogi, smętny spokój: świat ziemski z jego udręczeniami, niepokojami, walkami odchodził gdzieś daleko... znikał, rozpływał się w gwiazdzistej mgle... Lubił Król tu przesiadywać, poznawać tajemnice dróg planetarnych, wnikać we wzajemne starcia światów, w ich wpływy, w nieubłagane wyroki miłości i nienawiści... Poznawszy je, pokorniał i poddawał się swemu losowi.

Rosło znaczenie Dydki i rosło znaczenie gwiazd od tych królewskich odwiedzin.

## XI.

Lud szemrał.

Odkładano z roku na rok ogłoszenie nowych praw. Ulepszano je, zmieniano bez końca. Rycerze powoli przywrócili dawne daniny. Ale i oni sarkali, gdyż wskutek nieurodzaju i moru, jaki nawiedził państwo po wojnie, dochody ich zmalały znacznie. Musieli zmniejszyć swoje dwory, rozpuścić pachołków, uszczuplić najemnikom żołdu. Żołdacy i dworzanie,

straciwszy zajęcie, utworzyli szajki rabusiów, które napadały na kmiece zagrody, zatrzymywały na drogach kupców, ba, brały szturmem pomniejsze miasteczka i zmuszały mieszczan do płacenia okupu. Podupadł handel i rękodzieła, cierpiało rolnictwo... Ale Król nie chciał o niczem słyszeć, patrzył jeno codzień w teleskop. — A zresztą mało do niego dochodziło wieści nieszczęsnych. Rycerz Tatura pilnie strzegł bramy zamkowej, zaco... Królowa była mu niezmiernie wdzięczną...

— Oho, niech Wasza Królewska Mość będzie spokojna: tu ptak bez mego pozwolenia nie przeleci!... chwalił się surowy rycerz, podkręcając wąsy i całując podaną sobie łaskawie rękę królewską.

Istotnie, żywa dusza nie przedostawała się do zamku. Wszyscy przyjmowani byli przed zwodzonym mostem, gdzie gruby mieszczuch Boczań wybudował obszerną gospodę dla przyjezdnych gości. — Wiele w tej gospodzie wypito wina i niemało potoczyło się tam pieniędzy z chłopskich i rycerskich kieszeni do trzosa pana Tatury. Kto chciał coś uzyskać: czy sprawiedliwość, czy przywilej królewski, musiał się tutaj opłacić. Wielu marzyło o tem, żeby miejsce Tatury zająć, ale Tatura pilnie... spełniał swoje obowiązki i nikogo do zamku nie puszczał. Raz jednak zdarzyło się, że jakiś nędzarz przedostał się za mury. Schwyciły go zaraz strażę, zaczęły trząść, szarpać, wymyślać i zarębałyby niebawem, gdyby na szczęście nie nadarzyła się w tę porę w pobliżu królewna i nie wzięła nieszczęśnika w obronę:

— Co wy chcecie z tym dziadkiem zrobić?!...

Dajcie mu pokój! puśćcie biedaka!... Widzicie, jaki on obdarty i chudy!... Puśćcie dziadka, puśćcie!... Ja nie chcę, żebyście go bili! — wołała, tupiąc nóżką.

— To nie dziadek, Królowno, to młody urwis, który niewiadomo poco tu przyszedł... Nawet nie chce powiedzieć, jak się dostał!... No, ruszaj, nicponiu, do strażnicy... Jak dostaniesz ze sto kijów, to ci się gęba rozwiąże! — Znowu pachołcy schwycili nieszczęśnika za kołnierz, ale ten wyrwał się im z niezwykłą siłą, upadł na kolana przed królowną i ręce błagalnie wyciągnął. Nic nie mówił, jeno mruzczał i ręką na usta wskazywał.

— Widzicie: on głodny!... Chodź, dziadku, ja cię zaprowadzę lepiej do kuchni. Tam ochmistrzyni może ci dać coś do jedzenia!... Jasiu, Jasiu!... Dopomóż mi! Tutaj żołnierze chcą dziadka zarażać za to, że przyszedł z tamtego świata!... — przyzywała królowna brata.

Królewicz Jasio rzucił natychmiast swego drewnianego konika i przybieżał do siostry. Ale do dziadka nie zbliżył się, stanął o kilka kroków i, szeroko otwartwszy szafirowe oczęta, przyglądał mu się ze zdziwieniem i wstrętem:

— Jaki on brzydki! Jaką brudną czapę włochatą ma na głowie... Jedno oko doprawdy ma zaklejone strasznym, czarnym plastrem... Może tam niema oka, a tylko jest dziura?... I taki pokrzywiony, garbaty!... Ciało czarne jak ziemia wygląda z pod łachmanów!... Jeżeli tam tacy ludzie mieszkają, to ja nie chcę za mury... Tutaj lepiej!

— Ależ, Jasiu, on jest dziadek, on jest biedny, a przecież stamtąd przyjeżdżają i rycerze!... — dowodziła królowna, idąc przodem. Straż prowadziła za nią nieszczęśliwego jeńca. Na ten widok wyskoczyły zaraz z kuchni kuchciki i sam gruby kucharz wyjrzał przez okno. Wszyscy byli ciekawi przybysza z tamtego świata.

— Ale jaki pokraka, niech go też!... I w jaki sposób mógł się tutaj przedostać?!...

— Nie chce mówić, ale my go pociągniemy za język!... — wygrażali się żołnierze.

— Nie chcę mówić, bo głodny. Ja sama nie lubię mówić przed śniadaniem! Dajcie mu jeść, a zaraz ożyje — rozkazywała królowna.

Kuchciki, śmiejąc się, przynieśli jakieś korytko, pełne odpadków i obrzynków. Nędzarcz chciwie łykał je, chwytając brudnymi palcami, ku wielkiej ucieście czeladzi.

— Zwierz, zwierz!... — wołali wesoło. — Zaszczuć go psami!...

— O, nie!... On ma ładne oko!... Patrzcie, on ma jedno ładne oko!... — broniła nieszczęśliwą królowna.

Ale nieznamy już opuścił powiekę i więcej jej nie podnosił.

Straż znowu zaczęła go tarmosić i ciągnąć do strażnicy. Wtem przybłąda zaryczał, wyrwał się im, skoczył w bok i zaczął uciekać, zamiatając koszlawami nogami.

— Łapaj!... Trzymaj!... A to ci hultaj! — krzy czeli żołnierze, ścigając go z obnażonymi mieczami.

Królewna zalewała się łzami. Królewicz Jaś zbladł i szeptał w przerażeniu:

— Nie chcę!... Nie chcę!... Niech go nie zabijają!

Nikt jednak rozkazu nie słyszał. Zagłuszył go wrzask czeladzi, gdyż cała służba wyległa na kuchenne schodki, pokładała się śmiechu, a pośrodku nich trząsał się jak galareta ogromny brzuch kucharza w białym fartuchu i gruby głos jego huczał jak beczka.

— A to uciecha!... Patrzcie go, jak to kluczy, niby zając!... Jakie to wyprawia koziołki!... Oho!... ho!... Nie złapią go nasze niedźwiedzie, nie złapią!...

Istotnie żołnierze rady sobie dać nie mogli z nieznanym, uchodził im coraz dalej w ogród, więc wezwali towarzyszy na pomoc od bramy zamkowej. Wtedy zbieg zwrócił się napowrót pędem do kuchni. Był straszny w rozwiewających się łachmanach, z okiem groźnie błyskającym z pod kudeł baraniej czapy. Służba rzuciła się w popłochu do drzwi, sparła się w nich, skłębiła, wielu upadło na ziemię. Zmartwiały z przerażenia kucharz zakrył jedną dłonią twarz, a drugą żołądek. Zbieg nie miał wszakże zamiaru na nich napadać. Jednym skokiem wdrapał się na sąg drzewa, wyrwał stamtąd jakiś sęk i zaczął nim odbijać ciosy żołnierzy, którzy już go dopadli i próbowali dosięgnąć mieczami. Robił to szybko, zręcznie, postawa mu się wyprostowała, członki nabrały węzowej giętkości. Oprzytomniała ze strachu czeladź piała z radości.

— A to zuch!... Nie daj się!... Pokaż, że i biedni ludzie mają rozum! Oho!... ho...

Królowna za każdym odbitym ciosem klaskała radośnie w ręce.

Od szczęku oręża, od śmiechu i wrzasku ludzi zrobił się taki gwar, tumult, że na balkonie ukazały się z początku służebne Królowej, a następnie sama Królowa, a za nią wysoka ciemna postać rycerza Tatury. Wszystko ucichło, słyhać było jeno szczęk mieczów, uderzających o drzewo, chrzęst zbroi, ciężkie oddechy walczących i dzikie okrzyki nieznajomego. Czas jakiś dwór niewieści przyglądał się ciekawie zapasom, wreszcie królowna krzyknęła z dołu, podnosząc modlitewnie ręce do matki:

— Mamo! Nie daj go zabić!!!

— Stać!... — krzyknął Tatura. — Co to jest?... Co to za człowiek!...

Żołnierze opuścili miecze.

— Nie wiemy, Wielmożny Panie, zjawił się skądciś!... — odpowiedział starszy.

— Ach, tak!... A przecie... ptak tu nie miał przelecieć!... — zauważyła półgłosem Królowa.

Tatura poczerwieniał.

— Zaraz się dowiem, Miłościwa Pani, co to znaczy!... Wasza Królewska Mość pozwoli, że odejdę!...

— Owszem, udam się z panem, panie Strażniku Koronny, gdyż mię to również zaciekawia.

Niedługo cały dwór znalazł się przed sągiem, na którym stał nieszczęśliwy zdyszany jeniec z sękiem w dłoniach. Ale już spokorniał, zgarbił się, nogi wygięły mu się w pałąk, ręce obwisły bezsilnie jak

powróła, a barania czapa przykryła zupełnie czoło i oczy.

Królowa przyglądała mu się ze zdumieniem:

— Taki nędzarz!... Taki brzydak!... I... i... wasi dzielni żołnierze, rycerzu, nie mogli mu dać rady!?

— Obronna pozycja, niezwykle szczęśliwie wybrana... — usprawiedliwiał się Tatura. — Zresztą, jeżeli sobie Wasza Królewska Mość życzy, oni go natychmiast sprzątną!... Hej, chłopcy!... Bierzcie go!...

— Nie trzeba, nie trzeba!... — skinęła Królowa.

— O tak, mamu, nie trzeba!... — prosiła królowna, a królewicz tulił się do matki i ścisnął ją błagalnie za rękę.

Tatura ruszył gniewnie wąsami, ale się wstrzymał.

— Złaz, hultaju!... Łaska królewska nad tobą!... Złaz i gadaj, pociś tu przyszedł i jaką drogą!...

Przybłęda złazł niezgrabnie z sąga i padł plackiem przed Królową.

— Już dosyć!... Wstawaj, wstawaj i gadaj!...

— mruknął Tatura, trącając nędzarza butem. — Niejedenby chciał pozostać w tej pozycji życie całe u stópek Waszej Królewskiej Mości, ale... muszę się dowiedzieć, jaką przedostał się drogą, aby ją zamknąć i straż umyślną tam postawić!... — usprawiedliwiał się Strażnik Koronny, zwracając z uśmiechem do nadąsanej Królowej.

Przybłęda podniósł głowę z ziemi, lecz z kolan nie wstawał.

— On, mamu, niemowa!... — tłumaczyła go królowna.

— Aha, jesteś niemowa!... Zawołajcie ogrodnika, on umie rozmawiać na migi!... — rozkazał Tatura.

Przyszedł ogrodnik, skłonił się nisko, poczem z wielką dumą i powagą począł wyrabiać przed nosem przybłądy rozmaite sztuki rękami. Ten zamruczał i też zamachał rękami, pokazując na głowę, na żołądek, usta szeroko otwierał, kładł głowę na dłoni, chylił się ku ziemi i sztywniał, poczem znowu ożywał i prędko przebierał palcami, nawet pokazywał z palców... figę...

Wielką miały uciechę panny dworskie, śmiała się czeladź w odległości, uśmiechała się nawet Królowa.

— Najjaśniejsza Pani i Matko nasza!... On, ten obdartus, powiada, że miał dawniej dobre ubranie i był, za przeproszeniem... ładny — tłumaczył uroczyście ogrodnik. — Ale że mu, za przeproszeniem, odumarli rodzice, więc głodował... więc pasał, za przeproszeniem... świnie... ale że mu, za przeproszeniem, i świnie odumarły... więc nie miał co jeść!... Więc chodził po świecie... — tu ogrodnik roztworzył szeroko ręce, a przybłąda przytaknął mu głową. — Więc chodził po szerokim świecie, za przeproszeniem, po prośbie... Ale ludzie mówili mu: Idź do Króla, niech on ci, za przeproszeniem, da... Więc on chodził dookoła zamku, aż znalazł, za przeproszeniem, dziurę!...

— Ooo!... — zaszemrali żołnierze.

— I w tę, za przeproszeniem, dziurę... wlaź!...

Królowa dusiła się ze śmiechu i gryzła purpurowe usta, wszystkie panny podniosły fartuszki wyżej oczu, aby zakryć roześmiane buzie.



— Gdzież ta dziura jest?... — spytał Tatura pośpiesznie.

— Ja wiem, mamo, gdzie ta dziura, ja wiem! — wyrwał się niespodzianie królewicz. — Ta dziura jest w kanale, któremi płyną z pałacu pomyje i inne rzeczy!...

Przybłąda kiwnął potakująco głową.

— Ach, co za obrzydliwość!!!

Wszyscy mimowoli zatkali nosy i odwrócili się od przybłądy.

— Cóż mam z nim zrobić!?... — szepnął wtedy do Królowej Tatura. — Według prawa, kto raz wszedł do tego zamku, już wyjść zeń nie może bez osobliwego rozkazu Jego Królewskiej Mości. W dodatku on napewno opowie całemu światu o odkrytym przez siebie przejściu i choć zaraz każe otwór kratami zamknąć i straż tam osobną postawię, ale... niedobrze, gdy zaczną mówić, że do zamku jednak można się pomimo straży dostać!...

Królowa kiwała głową, lecz widać było, że jest znużona całą tą historją.

— Rób, Strażniku Koronny, jak uważasz... Tylko Króla nie odrywaj od jego gwiazd!

— Strażniku, Wielki Strażniku, niech go Wielki Strażnik puści, on będzie grzeczny!... — prosiła miluchno królowna.

Tatura spojrział złagodniałemi oczami na dziewczynkę i pogładził wąsa.

Wybawił wszystkich z kłopotu ogrodnik, który, stojąc na uboczu, słuchał rozmowy z wielką godnością:

— Mógłbym ja, Wielmożny Panie, wziąć go, za przeproszeniem... na ogrodniczka, bo już sobie sam rady dać, za przeproszeniem, nie mogę od czasu, jak mi kazano i pieców w zamku doglądać z powodu choroby starszego stróża...

— Dobrze!... Niech będzie ogrodnikiem!... Zakuć go w łańcuchy i oddać ogrodnikowi!... — rozkazał Tatura i odszedł za Królową do pałacu.

Przybłęda nie bronił się, gdy mu nakładali pęta, i odszedł za swym zwierzchnikiem, brzęcząc żelazem i niezgrabnie stawiając koszlawe nogi.

Dzieci królewskie patrzyły za nim żałośnie, aż znikł na zakręcie za klombem cudnego kwiecia.

A Król tymczasem na wysokiej wieży naradzał się z astrologiem Dydką:

— Jakże odgadnąć planetę wroga, skoro się nie wie ani imienia jego matki, ani jego własnego imienia...

— Zaczniemy od znaków ogólnych, aby przejść do poszczególnych... Napiżemy „Żelazny Wilk“ i zobaczymy, co nam pokaże... A więc Z według tablicy — księżyc — siedem kresiek. E — niedźwiadek — trzy kreski...

Pisał, rachował, mazał; wreszcie oko przymrużył, wydał usta i rzekł:

— Planeta Saturnus... dzień sobota... męskiego przyrodzenia... większego nieszczęścia... łacny, łagodny, zimny suchy... Występnie nie przemijając... zimna planeta... że jaki początek, takie dokończenie... którego roku panuje, daje głód, mór, złe przygody... Ma moc w prawem uchu i w śledzionie, a rządzi oraczy i garbarzy i ludzi wszystkich oso-



bliwie gniewliwych... A ci wszyscy są tegoż przyrodzenia... A jest bardzo czarne i zielone, smaku gorzkiego... Suchy, niezupełnego oka, wielkiego oblizca, a wejrzenia ku ziemi, szkaradny i krzywych zębów...

— On — szepnął Król — on!...

— Poszukamy go na niebie!... — gadał Dydko, uwijając się dokoła rury oszklonej.

Zajrzał i cofnął się pobladły:

— Jest blisko!... — głucho zaszeptał.

Król nachylił się, aby zajrzeć, lecz po chwili namysłu zaniechał tego i... wyprostował się.

— Cóż uczynimy? — spytał posepnie, a gdy astrolog nie odpowiadał, dodał z mocą:

— Każę strażę podwoić!... Śledź pilnie, co będzie dalej, i donoś mi niezwłocznie!

## XII.

Chmurność Króla, niby obłok, przyćmiła całe życie zamkowe.

Nawet przyjęcia i igraszki, które urządzała od czasu do czasu Królowa, nie rozpraszały panoszącej się nudy. Ci sami rycerze okoliczni: Purpurowy, Błękitny, Biały, ze swemi nadętymi żonami, te same wiecznie ukłony, uśmiechy, wyrazy; te same kłamstwa i przechwałki rycerza Rondla, te same surowe napomnienia Strażnika Koronnego Tatury...

Nawet Bączuś stracił na humorze i z żalną miną powtarzał te same żarty:

— Mój dowcip... został za zwodzonym mostem!  
— Pozwólcie mi nos wysunąć za kratę, a zobaczycie, jak poweseleję... Rozsypię wam pod nóżki słoweczka lśniące jak perły, palące jak zamorskie korzenie... Może nawet i prawdę wam powiem!... Tutaj zapomniałem za temi murami, jak prawda wygląda. Wiem tylko, że nie jest podobna... do... gwiazdy! Chciałem powiedzieć... do imci pana Dydki na Słomianych Nóżkach... — poprawił się Bączuś pośpiesznie, widząc, że Król brwi marszczy. — Ani... do rury z kryształami w środku!... Ani do... zamkowej ciszy... Aj!... aj... Boję się!... Ani... do zamkowej wieży!... Ani do... zamkowego kucharza!... Ani... do zamkowego ogrodnika!... Ani do... zamkowego kanału!... — trzepał z płaczącą miną, spoglądając z udanym przerażeniem na coraz silniej zasępiające się czoło królewskie.

— Ani do... rycerza Tatury! — zakończył wreszcie cichutko i beknął jak małe dziecko.

Król się rozśmiał, ale zato Królowa spojrzała gniewnie na wesółka.

— Aha, wiem już! — krzyknął Bączuś radośnie. — Zaraz wszystkim dogodzę. Prawda podobna jest do mojego kołpaka. Oto on! Widzicie: czerwony, ostrokończasty i ma złote dzwoneczki... A teraz wracam go na drugą stronę, jest zupełnie inny, ale tensam!... Może nie!... Kto śmie zaprzeczyć!... A teraz, patrzcie, kłapię go, jest płaski... wydymam go — robi się okrągły... Jest takim, jakim jest, jakim chcę, żeby był!... Więc zgoda! Chodź, prawdo

moja, do rycerza Rondla! On jeden poznał się na tobie!...

Królewicz Jaś bardzo lubił te żarty. Przytulony do kolan matki przysłuchiwał im się pilnie i nieraz długo potem rozpytywał się swego nauczyciela:

— Co to za prawda, co może być podobna do zamkowego kucharza?... Czy ona ma taki sam czerwony nos od piwa i brzydki jak beczułka żołądek!?

— Jak królewicz Jaś dorośnie, to się królewiczowie!... A teraz nie trzeba się wdawać z błaznami!... Prawda to jest to, co jest prawdziwe!... A wszystko co prawdziwe, to dobre, bo prawda jest cnotą!... — pouczał nauczyciel, margrabia Korek, w tabaczkowym stroju. —

Królowna nie lubiła słuchać ani błazna, ani nauczyciela.

— To takie nudne! Wiesz co, pójdźmy lepiej do tego... ogrodniczka. — Widziałam go, że poszedł z ogrodnikiem gracować aleje... Ach, on ogromnie zajmujący... Tak strasznie brzęczy żelaznymi pętami!... Co, braciszku?... Nieprawda?...

Wzięli się za ręce i cichaczem wymknęli z pałacu. Poczem okolnemi ścieżkami przemknęli się w odległą część ogrodu, która leżała tuż koło strasznych murów i dokąd niewolno im było chodzić. Tu z bijącym sercem, schowani za grubym pniem grabu, spoglądali w głąb zielonej alejowej arkady, gdzie monotonnie brzęczały łańcuchy i rozbrzmiewała cicha tęskna piosenka. Ogrodnika nie było. Niewolnik wodził ostro gracą po zachwaszczonej ścieżynie. Wtem zatrzymał się, rozejrzał, zrzucił na chwilę baranią czapę

z głowy, rozprostował ramiona i niespodzianie... odmienił się. Czarne kędziory opadły mu aż na kark, ciało urosło, zmężniało... opuszczona zwykle nad ślepem okiem powieka uniosła się i spojrzenie roz- błysło pogodą!... Rzucił w powietrze głuchy okrzyk, podobny do leśnego wycia!...

Przerażone dzieci prysnęły co tchu ze swej kry- jówki ku pałacowi:

— A co: czy nie ciekawe!? Jaki on zajmujący, prawda? — pytała królowna. — Przyjdziemy jeszcze kiedy, Jaśku! Co?... Czy dobrze!?

— Boję się!... Ty słyszałaś, jak on krzyknął!? On napewno nas zobaczył...

— To i cóż: on przecie na łańcuchu!...

— Ależ, siostrzyczko!... Niewolno tego robić!... Nas jeszcze kto zobaczy i powie matce!...

— Będziemy tak robić, żeby nas nie zobaczyli... Masz przecie dobre oczy, możesz się oglądać!...

— Tak, zapewne... ale... tak mi serce bije!... — wzdychał królewicz.

— Mnie też bije, ale... bez bicia serca to nic nie ciekawe!...

I stało się, że po kilku dniach znowu królowna z królewiczem przemknęli się niepostrzeżenie do czę- ści parku, gdzie pracował „człowiek z za muru“. Tym razem zastali tam i ogrodnika; ośmieleni podkradli się bliżej i zrobili odkrycie, że nieznajomy mówi, wprawdzie niezupełnie płynnie, ale dość zrozumiale.

— Ach, gdyby podsłuchać, co oni tam gadają? — szepnęła królowna.

— Więc podejźmy do nich!... Przecie ogrodnik nie pozwoli nam zrobić nic złego!

— Nie o to chodzi!... Lecz oni zaraz zmieniają rozmowę, jak nas zobaczą... Wiesz przecie, że wszyscy w pałacu zmieniają rozmowę, skoro się do nich zbliżamy... Nic więc się nie dowiemy... Usłyszymy to samo, co codzień powtarzają margrabia Korek i ochmistrzyni Głos-Puszczalska!... A tego już mam dosyć!... Nie, braciszku, my lepiej upatrzmy chwilkę, kiedy nikogo nie będzie, i wy pytamy się tego ogrodniczka o wszystko!... Zaniosę mu kawałek bułki z masłem!...

Tak się też stało.

Raz po obiedzie, kiedy wszyscy w zamku zwyczajem swym drzemali, udało się dzieciom królewskim zastać jeńca samego. Gdy królowna zbliżyła się ku niemu, trzymając bułkę w wyciągniętej ręczce, uśmiechnął się tak radośnie, że aż mu zęby błysnęły pod ciemnymi wąsami. Był okropny. Z baraniej czapy brud aż kapał; dłonie miał czarne od sadzy i ziemi, paznogie krzywe jak szpony zwierza; dokoła chudego ciała zwieszały się niechlujne łachmany, podobne do leniejącego pierza, a przy najmniejszym poruszeniu dzwoniły na nim przeraźliwie łańcuchy. Jadł chciwie bułkę i czekał, co będzie dalej, przykrywszy swe jedyne żywe oko długimi rzęsami sinej powieki.

— My, ogrodniczku, chcielibyśmy się dowiedzieć, co się tam dzieje za murami!?!... — spytała narzeczcie drżącym głosem królowna.



— Oho, za murami... za murami... — westchnął ogrodniczek. — Tam cudownie!...

— Właśnie! Domyślamy się tego, więc możebyś nam opowiedział!

— Dobrze, doskonale!... — krzyknęła radośni królownik. — Ale schowamy się tam za klombem kwiatów, gdyż tutaj mogą nas łatwo spostrzec.

— Dobrze, doskonale!... — krzyknęła radośnie królowna i zatupała z uciechy nóżkami. A wtedy stał się cud: brzydka, sina powieka ogrodniczka podniosła się i pod kosmami baraniej czapy zabłysło jak gwiazda śliczne szare oko. Świeciło ono ledwie krótką chwileczkę, ale zdumiona królowna zarumieniła się jak wisienka i mimowoli poprawiła fartuszek.

— A więc chodźmy!... — bąknął ogrodniczek i ruszył, brzęcząc żelazem i tocząc przed sobą swą taczkę.

Za klombem kwiatów taczkę przewrócił, posadził na niej królownę i królewicza, sam przysiadł na ziemi i jął im opowiadać: o wschodach i zachodach słońca, jakich tu nigdy z poza murów nie widać, o mgłach różowych, tłukących się o świtaniu na perlistych rozłogach, o puszcach nieobeszłych, pełnych drzew niebotycznych, wszelkiego ptastwa i zwierza, o wielkich rzekach, o srebrnych jeziorach, o polach, szumiących zbożem różnorakiem, o wsiach i miastach, o tem, jak ludzie tam żyją, pracują, weselą się, walczą, zwyciężają i giną... o błędnych rycerzach, zmagających się po całym świecie z swym losem i cudzem nieszczęściem, o ludach szczęśliwych, posiada-

jących krainy piękne, i ludach dzikich, ubogich, nie mających ziemi i przytuliska...

— Ty pewnie jesteś dziki lud?... — spytała z przejęciem królowna.

Ogrodniczek nic nie odpowiedział, ino znowu podniósł na królownę swoje śliczne błyszczące oko. Dziewczyna odwróciła głowę, i dobrze, że się to stało, gdyż w sam czas spostrzegła w końcu grabowej alei tabaczkową figurę margrabiego Korca. Rozglądał się na wszystkie strony i, stojąc na jednym miejscu, obracał się jak na łodziach na swych wielkich złotych trzewikach. Trzęsła mu się siwa broda i siwa głowa i migały z pod pół opończy chude starcze nogi.

— Uciekajcie!... Tędy!... — krzyknął ogrodniczek, wskazując dzieciom na krzaki leszczyny.

Gdy znikły, wstał i potoczył taczkę ku zaniepokojonemu nauczycielowi.

— Nie widziałeś gdzie tu dzieci królewskich, smoluchu?

— Uuu!... — zawył ogrodniczek i ukłonił się czapą do ziemi.

Margrabia zatknął czempredzej nos kraciatą chustką i poszedł dalej. Dzieci tymczasem poza grabowym szpalerem przemknęły się szczęśliwie mimo niego i mimo dwunastu służebien, które Naczelną Ochmistrzyni Głos-Puszczalska rozesłała po całym ogrodzie.

Pogoń wróciła z niczem przed ganek, gdzie dzieci spokojnie bawiły się na schodach.

— Gdzieżeście byli? — pytała w rozdrażnieniu Ochmistrzyni.

— Myśmy byli... tutaj!... — odpowiedziała kró-



lewna, robiąc nieokreślony ruch różowym paluszkiem.

— A to ładnie!... Królowa Jejmość chce was widzieć, a was niema! Chodźcie!

Poszła przodem po marmurowych schodach.

— Pewnie matka znowu posprzeczała się z rycerzem Taturą, skoro chce nas widzieć! — szepnęła do brata królowna.

— Słuchaj, ja powiem całą prawdę. Nie mogę, nie mogę utaić!... — bąknął cichutko królewicz.

— Ani mi się waź!

Jaś smutnie kiwał głową i niewiadomo, coby się stało, gdyby nie to, że Królowa już pogodziła się ze Strażnikiem Koronnym i, poklepawszy dzieciaki po buzi, wyprawiała je zaraz do dzieciennego pokoju.

A w parę dni znowu królewicz i królowna siedzieli na ogrodowej taczce, ukryci wśród kwiatów, a przykucnięty u ich nóg ogrodniczek opowiadał im swoje cuda.

I działo się to tak dość długo i królewicz już zaczął marzyć, że zostanie błędnym rycerzem, a królowna ogromną poczuła ochotę doić krowy i pasać na górach barany, gdy oto stało się nieszczęście: złapał ich na rozmowie z ogrodnikiem tabaczkowy margrabia.

Wynikł w całym zamku wielki z tego powodu rwetes, gniewała się bardzo Królowa, mdlała ochmi-strzyni, wreszcie doszło wszystko do samego Króla. Kazał dzieci przywołać do siebie i długo milczał, gładząc złotą brodę. Dzieci stały cichutko przed ojcem, czekając, aż spojrzy na nie, by, według rady

matki, rzucić mu się do kolan. Ale Król nie spojrzął, jeno w roztargnieniu zamiast za brodę, pociągnął się za nos i powiedział:

— Aha, Rak wstępuje w znak Panny!... Zobaczymy, co z tego wyniknie!

Kiwnął ręką, żeby dzieci poszły, i zagłębił się w zapisane zvitki.

Całe szczęście, że Wielki Strażnik Koronny wziął zdarzenie bardzo do serca i wydał odpowiednie rozkazy. Przyjrzał się uważnie królownie i poradził Królowej urządzić dla córki osobny dwór z młodych, szlachetnych dziewcząt. Królewiczowi przydzielił sześciu nowych guwernerów. Ogrodnickowi zaś, za to, że odważył się rozmawiać z księżniczką krwi, kazał dać pięćdziesiąt kijów i zamknąć na miesiąc do lochu.

### XIII.

Popłynęło życie w zamku starem korytem. Królowa Matka przeglądała się w zwierciadle, przymierała pyszne szaty. Damy dworskie kłóciły się między sobą, godziły, obgadywały... Rycerze ze straży grywali po całych dniach i nocach w karty i kości w pałacowym przedsionku, pili miód i wino, a od czasu do czasu dla rozmaitości wszczynali zwady i bijatyki. Żołnierze robili to samo w strażnicy przy bramie. Królowna dostała dłuższą suknię i orszak dziewic. Nakazano jej powagę. Ogrodniczka mogła widywać tylko zdaleka, gdyż nowe towarzyski nie odstępowały jej na krok. Królewicz dostał żywego

konika i mały „prawdziwy“ miecz brązowy. Wolał jednak gęśliki ze srebrnymi strunami. Ukryty w ogrodowej gęstwinie wygrywał sobie nieraz na nich ciche piosenki o tych polnych rozłogach, o lasach nieobeszłych, o wschodach i zachodach słońca, o wiatrach burzliwych, o wolnych zwierzach i płakach, o mrowiach pracującego, rozśpiewanego ludu i o tych wszystkich cudach, o których słyszał od ogrodniczka... Ale zobaczyć się z nim i rozpytać o rozmaite zagadkowe rzeczy, które mu przychodziły na myśl, nie udawało się i królewiczowi. Nowi, przystawieni doń przez Wielkiego Strażnika przyjaciele rychło go odnajdywali w ukryciu i wyciągali stamtąd do zabaw, do tańców, do gier z dworskimi pannami. Nawet z siostrą pogadać mu na osobności bardzo nie dawali, zaraz ktoś się zbliżał. Jedynie miały królewicza wolne od ludzkiej obecności chwile, gdy pieścili pałacowe sarenki, które nie znosiły nikogo prócz nich i starego ogrodnika, umiejącego rozmawiać na migi.

Czasem im się Bączuś ukłonił zdaleka, ale i Bączuś zmienił się, postarzał, posmutniał, zaniedbał się. Już nie sypał dowcipami, jak dawniej, gdyż Król za śmielsze żarty, które dawniej tak lubił, odsyłał teraz wesołka za karę na tydzień albo i więcej do czeładzi. Cały zamek poszarzał, znudniał, choć bogactw i strojów, i jadła, i napitków w nim było jak dawniej bez liku.

O tem, co działo się za murami, zapomniano zupełnie — nikt się o to nie troszczył.

Od czasu do czasu trąbiono głośno za bramą, opu-

szczał się z łoskotem zwodzony most i wjeżdżał, chrzęszcząc zbroją, poczet rycerski. Ograniczał się wszakże zwykle na rozmowie z Wielkim Strażnikiem. Ten dopiero dopuszczał wysłańców do Króla, albo odsyłał ich z powrotem do grodów. Krzywił się bardzo stary Król na te wizyty, gdyż zawsze przynosiły złe nowiny, a odrywały go od roboty gwiazdziarskiej.

— Cóż na to poradzę? Przecież już próbowałem, a gorzej się stało! O mało nie zgubiłem państwa!... Już wy tam sobie sami radźcie, a ja tymczasem wykryję dla was coś takiego, takie znajdę prawa i drogi, że was wszystkich raz na zawsze zbawię!...

I brał się znowu do gwiazd pod przewodnictwem mądrego Dydki. Miał i tam swoje zawody i niespodzianki — to mu gwiazda jaka znikła, to zmyliła drogę, to nie słuchała obrachunku, ale to wszystko było o wiele mniej bolesne niż sprawy ziemskie.

Pozostawił je całkowicie Strażnikowi Koronnemu Taturze. Ten starał się, zabiegał, żeby w zamku na niczem nie zbywało, ściągał daniny, dobierał strażę, wyjeżdżał od czasu do czasu ze wspaniałym orszakiem na zwiedzanie Królestwa.

Wolniał naówczas cokolwiek surowy rygor w zamku, chociaż młodszy brat Strażnika, a jego zastępca, miał również twardą rękę.

Ale raz w cudną noc wiosenną, gdy już wszyscy spali, udało się niepostrzeżenie królownie wymknąć na balkon wysoki na wieży. Stała cichutko w białej szacie z rozpuszczonymi włosami, wsparta o spowitą różami balustradę, i patrzyła na wysrebrzony miesiąc nad ogród zamkowy, na potworne, pilnujące go

mury zębate i dalej na mglącą się poza niemi bezkreślną krainę.

— Kiedy dorosnę, to mię tam przecież puszczą!... — rozmyślała, nie odwodząc wilgotnych oczu od świetlanych przepastnych tumanów, wśród których to tu, to tam błyskały światełka. Co one znaczą?... Może to są owe miasta wspaniałe! Wydało się jej, że jakieś ciche i słodkie wołania dolatują ją stamtąd, wyteżyła więc słuch, aby je lepiej rozróżnić. Ale nie — melodia płynęła gdzieś zbliska, wtedy znowu wzrok zwróciła na zamkowe ogrody i dostrzegła w budce ogrodnika małe czerwone światełko.

— Nie śpi jeszcze niewolnik i on to pewnie tak śpiewa!... — pomyślała. Otuliwszy się w muślinową zasłonę, wróciła z westchnieniem do wonnej, cichej sypialni.

Zdarzyło się jednak raz, że Strażnik Tatura długo nie wracał ze zwykłej wyprawy. Coraz to przylatywały od niego gońce, których na osobności długo badał chmurny brat dostojnika.

Bączuś, spotkawszy królewicza z siostrą, kiwnął im głową i zaśpiewał:

Baba płacze,  
Djabeł skacze,  
Bo kur pieje,  
Że już dnieje!

Tyle tylko zrozumieli z tej piosenki, że się coś stało, ale co, ani odgadnąć, ani się dowiedzieć nie mogli.



Rychło jednak przyszło wyjaśnienie.

Pewnego wieczora, gdy całe niebo pełne było krwawego blasku, przywalała do bramy zamkowej liczna i wrzaskliwa rzesza. Długo trąbili, hałasowali, bili w okucie bramy głowniami mieczy, zanim, po wielu przemowach, krzykach i naradach, kazał młodszy Tatura bramę otworzyć. Wtoczył się oddział rycerzy na pałacowy dziedziniec, aż przytoczył do stopni przed-sionka, na których zebrał się cały dwór, zwabiony niezwykle wrzawą. Wyszedł wreszcie sam Król z Królową.

Orszak składał się z dawno wypędzonych przez Taturę z królewskiego otoczenia rycerzy Błękitnego, Czerwonego, Srebrzystego i wielu innych, wiernych niegdyś towarzyszy królewskich. Król spoglądał na nich trochę zmieszany i zaniepokojony. Ale nie dawał tego po sobie poznać, siwiejącą brodę jedną ręką gładził, a drugą szukał główicy miecza, którego zresztą dawno już nie nosił.

Rycerstwo zsiadło szumnie z koni i rzuciło cugle giermkom. Byli oni oraz ich rumaki i służba zakurzeni, zbryzgani błotem i krwią, piękne ich płaszcze były potargane i podarte, na hełmach, tarczach i zbrojach mieli ślady ciosów i zderzeń.

Przewodził im rycerz Czarny.

Rozstąpili się przed wojownikami dworzanie, Król przestał gładzić brodę.

Rycerz Czarny przykląkł przed królewską parą, Królowę pocałował w łaskawie wyciągniętą rękę, miecz swój ogromny u nóg królewskich położył.

— Przegraliśmy, Królu Panie, wielką bitwę!...  
Rycerz Tatura ranny...

— Ach, ach! ... — jęknęły dworskie damy, a Królowa przyłożyła natychmiast białą chusteczkę do pobladłej twarzy.

— Skowroń zabity...

— Jak to, więc wojna?... — spytał ze zdumieniem Król.

— Tak, Miłościwy Panie! — odparł ze zdziwieniem rycerz Czarny. — Wszak z Twego toczy się rozkazu!

— Ach, tak, tak!... Chociaż Tatura mówił, że wojny już nie będzie, że wszystko wokoło uznało naszą władzę — kiwał Król głową. — Więc o cóż chodzi?

— Ratuj, Miłościwy Panie, królestwo! Cała nieprzyjacielska potęga z Władcą Wschodu i Zachodu na czele ciągnie ku Twemu zamkowi. Rozpuścili zagony po całym państwie... Pałą, rabują... Rzucili popłoch na wszystkich... Grody i zamki obronne poddają im się jeden za drugim... Lud się korzy... Od czasu napadu Wilków nie było takiego pogromu...

Król drgnął i wyprostował się.

— Od czasu napadu Wilków!... — powtórzył.  
— Ale to nie Wilcy?

— Nie. Są to rudzi barbarzyńcy Wschodu i Zachodu, ludy, walczące kamiennym orężem.

Król z lekceważeniem poruszył wargą.

— Ale przez handel i zamianę zaopatrzyli się w nasz oręż. Zdawna już podsylali szpiegów z malo-

wanemi włosami do naszych kuźni i odlewni i teraz podobno wyrabiają u siebie broń nie gorszą, niż nasza... — ciągnął dalej rycerz Czarny, zmęczonym głosem.

— Czegóż oni chcą, skoro wszystko mają?

— Żądają dla swego Władcy... córki Waszej Królewskiej Mości za małżonkę i... pół królestwa na wiano! — cicho odpowiedział rycerz.

Król zmarszczył brwi. Zapanowało takie milczenie, że słychać było wybornie parskanie koni rycerskich, trzymanyh przez giermków daleko u bramy zamkowej.

— Zawołać królowę! — rozkazał wreszcie Król.

Weszła w gronie towarzyszek białych jak lilje, sama biała, w białych szatach powiewnych, w maluchnych złotych trzewiczkach, w rubinowym djademie na ciemnych włosach. Spostrzegłszy naraz tyłu nieznanomyh rycerzy i młodzieńców, zapłonila się cudnym, bladym rumieńcem zorzy wiosennej. Król przyglądał się ze zdziwieniem córce, jakby ją zobaczył raz pierwszy.

— Władca rudych barbarzyńców Wschodu i Zachodu żąda twej ręki! Chcesz iść za niego?... — spytał głuchym głosem.

Zmartwiała królowna, spłynął z gładkich jagód rumieniec, stała się bielsza od własnej sukni, zbiełały usta różowe, przygasły oczy gwiazdziste. Nie mogła mówić, jeno piersi zakołysały się, zatrzepotały jak spłoszone gołębie.

— Nie! Przenigdy! Nie oddam państwa pod obce jarzmo, nie oddam dziecka na poniewierkę... Niech

ją lepiej wilcy zjedzą! — mruknął Król. Wyprostował ramiona, ocknęła się w nim dawna duma i siła.

— Niech mi przygotują oręż i zbroję! Wszystko, co żyje, niech w pole wyrusza... Być może, że chwilami zapomniałem o tobie, narodzie mój, ale zawsze jesteś kością z kości, krwią z krwi mojej i krzywdy twoje bolą mię, gdy je spostrzegę... Ci barbarzyńcy nie pożałują cię, nie ulitują się nigdy nad tobą!

— O tak, Królu Panie! Nie oddamy wolności naszej, nie oddamy królowny, chyba z życiem!...

— Umrzemy raczej! — wołali rycerze i młodzieńcy, wznosząc ręce i szczękając mieczami o tarczę.

— Ojcze, ojcze! Wszak i ja pójdę na wojnę... Chcę bronić siostry — prosił królewicz.

Król obrzucił syna szybkim spojrzeniem.

— Owszem, pójdiesz! — odpowiedział wesoło.

Jęknęła Królowa, zalała się łzami, zarzuciła mężowi ręce na szyję:

— Zostaw chłopaka — on przecie dziecko!

Ale Król był niewzruszony tym razem.

Zaraz zaczęto się gotować do wyprawy. Otwarto szeroko ścieżaje bramy zamkowej. Zadudniły kopyta zbrojnych hufców na zwodzonym moście. Napływały z okolic tłumy wieśniaków i panów. Królowna, w otoczeniu pańien, przyglądała się z balkonu niewidzianemu dotąd ruchowi, wydało jej się, że morze ludzkie wyłom w murach zrobiło i szumnie napływa. Serce jej biło radośnie; Król jednak posępnie okiem wodził po gromadach wojowników...

— Gdzież reszta? — Dlaczego nie idą? — pytał opryskliwie.

— Chwytałeś gwiazdy na niebie, potraciłeś ludzi na ziemi!... — odpowiedział mu głosik cichutki.

Obejrzał się Król. Był to Bączuś. Wypadł z łaski i dawno już nie ośmielał zbliżyć się do Króla. Teraz, schowawszy się za portjerą, żałośnie stamtąd wyglądał.

— Chodź, stary!... — rozśmiał się życzliwie Król.  
— Co powiesz?!

— Niech Miłościwy Pan wszystkich, ale to wszystkich powoła na wojnę!

— Już to zrobiłem!

— To nie tak!... Wszystkich — wszyscyutkich! Nawet ciurów, nawet dworskich kuchcików!... I obiecać każdemu, co się na wojnie odznaczy, rycerski pas i złote ostrogi!

— Ha, już to było, ale można i po raz drugi spróbować!... — odparł Król po chwili namysłu. — Wołać heroldów i kanclerza!

Niedługo potem pojawili się za murami przed wylotem otwartej bramy heroldowie w pióropuszech, w barwnych jedwabiach, pojechali na rozdroża państwa otrąbiać, że Król pozwala wszystkim ciągnąć na wojnę, kto miecz zdolen udźwignąć, i obiecuje walecznym rycerski pas i złote ostrogi... Na wezwanie pociągnął tłumnie lud prosty, ten najuboższy, służebny, niewolniczy... Byli tam parobcy, gospodarscy komornicy, wioskowe podpaski, owczarki, świniarki. Nawet służba dworska wyległa: kucharz ze szpikulcem, kuchciki z rożnami, zamiatacze z mio-

tłami, łaziebnicy ze szczotkami, kominiarze z wiechciami, krawcy z igłami i szewcy z szydłami...

Wszystkim odbierano ich narzędzia i uzbrajano w oręż godny.

Ale Król patrzył jakoś smutno na ich pokrzywione w pracy nadmiernej członki, na pogarbione plecy, kręcił głową i wzdychał.

— Och, nic z tego nie będzie, nic!... A ten czego tu chce jeszcze? — ofuknął ogrodniczka, który też stanął nieśmiało u schodów pałacowego przedsionka.

— To ogrodniczek, ojczy! Pozwól mu, niech i on idzie! — zawołała królowna, która, zdaleka spostrzegłszy przyjaciela, przybiegła mu z pomocą.

— Ogrrodniczek?... Cóż to za ogrodniczek?...

— To ten, co to pobił żołnierzy krzywym sękiem. Każ go rozkuć, a zobaczysz, jaki on zręczny.

Król poglądał z powątpiewaniem na koszlawą pochyloną figurkę brudnego sługusa, dał jednak rozkaz, aby go rozkuto.

— Mówiłem, żeby łańcuchów w moim zamku nie używać! — gniewał się, słysząc, jak brzęczą rozbijane młotami żelaza.

— To z rozkazu Strażnika Koronnego — szepnął ktoś z dworzan.

— Wszyscy teraz na niego, bo leży ciężko ranny w potrzebie Waszej Królewskiej Mości! — bronił brata młodszy Tatura.

Rozgniewany na ogrodniczka przywódca kazał mu dać na pośmiewisko starego osła woziwody, a jako broń — połamaną gracę.

Śmiało się wojsko całe, widząc, jak przerażony

dudnieniem mostu kłapouch nie chce wyjść z bramy zamkowej, jak daremnie ciągnie go za uzdę ogrodniczek, to popycha z tyłu, to nadaremno bije, to głaszcze, to wreszcie namawia. — Wszystko na nic!...

Aj, aj, ludzie, uciekajcie z drogi,  
Bo jedzie rycerz srogi!...

szczydził rycerz Rondel, mijając niefortunnego zaciężnika z orszakami królewskimi. Wtem ogrodnik, który wziął na siebie obronę zamku i przyszedł właśnie wrota zawierać, podkraść się z tyłu do osła, krzyknął nań grubym głosem i uderzył niespodzianie kluczem. Przestraszone zwierzę, usłyszawszy znany okrzyk, pomknęło nagle z kopyta i, porykując jak lew, przeleciało mimo ciągnącego gościańcem wojska. Rycerze aż się pokładali na siodłach ze śmiechu, patrząc na jeźdźca, który cugle i gracę wypuścił, schwycił się natomiast jedną ręką za siodło, a drugą przytrzymał swą baranią czapę. — Aż utknęli obaj w błocie w rowie przydrożnym. Wojsko przeciągnęło mimo nich i zginęło w kłębach kurzu, a śmiech wciąż jeszcze brzmiał w powietrzu.

Taka od tego uczyniła się w całej okolicy wrzawa, że zastanowiła nawet Dydkę na Słomianych Nóżkach. Odwrócił od nieba swą rurę oszkloną, skierował ją na ziemię. Długo ze zdumieniem przyglądał się odchodzącemu wojsku. Poczem podkasał poły i zbiegł po schodach tajemnych do królewskiego pokoju. Nie znalazł Króla, pomknął dalej, aż zatrzymał się u podwoi, za którymi słychać było płacz kobiecy i narze-

kanie. Zląkł się i rozmyślał, co robić dalej, gdy nagle drzwi się otwarły i ukazał na progu pancierz olbrzymi i hełm starożytny z niebotyczną kitą z piór pawich.

— Bądź pochwalon, Duchu wszelki! — bąknął Dydko. — Świat się wali!... Zbroje same chodzić zaczynają... Ludzie znikli! Gdzież jest rycerz?!

— Jestem w środku!... — wybiegł ze zbroi głos stłumiony. — Z rozkazu Jego Królewskiej Mości... dawniej ogrodnik, teraz zastępca Wielkiego Strażnika Koronnego... Właśnie szukam Waszmości, żebyś szedł zaraz nad bramę i z okrągłego okna pełnił dozór nad królewskim gościńcem. Albowiem ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i wszyscy wyruszyli. Muszę więc straż tworzyć z tego, co zostało. Panie i panny dworskie już oblekają zbroje. Waszmość, panie astrologu, dość się już nagapiłeś na jasności niebieskie. Czas na ziemię.

— Bić się? — spytał z przerażeniem Dydko. — Bić się nie będę! To nie moja rzecz. Nie mam wcale ochoty! Od tego są wojewodowie, rycerze... Nie pójdę!

— No, no!... Bez gadania!... Proszę za mną!

Musiał Dydko rad nierad przenieść się nad bramę wjazdową. Pozwolono mu wszakże zabrać ze sobą ukochaną rurę oszkloną. Wytknął ją zaraz z okna na drogę, na ziemię.

#### XIV.

Smutnemi oczami wodził Król po dawno niewidzianych okolicach. Przypomniała mu się młodość



wesoła, burzliwa, której świadkiem były te łąny, te gaje. Przypomniały mu się boje, szczęśliwie staczone na tych polach; przypomniały mu się rozwiane nadzieje świetlane, plany rozległe, zamysły odważne; przypomniały mu czarne zdrady przyjaciół i bolesne zawody... Ale najgorzej bolał go widok wsi i warownych grodów przydrożnych, które miały strzec kraju. Podobne były raczej do kup gruzu, porośłych chwastami, niż do twierdz obronnych. Znikły również wesołe dostatnie siedliska kmieci; wszędzie widniały natomiast nędzne lepianki z maluchnymi okienkami, kryte strzechami ze zgniłej słomy i chrustu. Na zagonach i miedzach pracowały gromadki bab i chłopów, ubogich, oberwanych, chudych którzy, podniósłszy na chwilę opuszczone ku ziemi głowy, śledzili obojętnie tępym wzrokiem za przeciągającym wojskiem.

— Czyje to włości? — spytał wreszcie Król chmurno.

— Strażnika Tatury!

— Aż tak daleko?

— Wszystko wokoło jego, wszystko jak okiem sięgnąć wykupił, aż hen, po te lasy widnokregu i nawet za temi lasami...

Król więcej nie pytał, tylko patrzeć na nic już nie chciał, a że nie miał oczu gdzie podziać, więc skierował je na dalekie, srebrzące się na niebie obłoki. Dopiero gdy u drogi błysnął śliczny pałac z kolorowymi oknami, mieniającymi się w słońcu jak drogic kamienie, gdy w przelotach obszernego jak las parku zabielały niezliczone posągi, kolumnady ganków i

podcieni, gdy nad niemi zamgliły się rzeźbione koronki balkonów, rozwieszonych u wysokich murów, a nad wszystkim jak drogocenna tarcza zagrał niezrównanym blaskiem polewany dach szmaragdowy i gdy wiatr stamtąd przywiał wesołą piosenkę — Król konia zatrzymał i rozradowanemi oczyma popatrzał na cudną zjawę. Jest więc ktoś szczęśliwy w jego państwie!

— Czyj to pałac?

— Strażnika Tatury! — odpowiedziały głosy z orszaku.

Król oczy spuścił na łęk siodła i nie podnosił już głowy, aż zaczęły wracać wysłane podjazdy z wieścią, że widać już przednie straże nieprzyjacielskie.

Na widnokregu tu i tam stały słupy dymów, a drogą uchodziły w bezładzie i trwodze tłumy wieśniaków, pędząc przed sobą bydło i wioząc na wozach i ręcznych taczkach nędzną chudobę.

Król podzielił wojsko na części, rozmieścił na skrzydłach, rozdał dowództwa, sprawił szyk bojowy i, mając za sobą świetny orszak rycerski, pojechał przodem pośrodku. Poza nim w obie strony daleko wyciągnęły się pułki i szły równo, błyskając orężem i szumiąc głosami jak żywa powódź. Dojrzałe zboża, deptane nogami ludzi i koni, chyliły się przed niemi pokornie. Nieprzyjaciel ściagał pośpiesznie swoje zagony i cofał się. Dopiero pod wieczór zamajaczyła w oddali niska, równa jak wał linja wojsk nieprzyjacielskich. Po długiej naradzie z hetmanami i wojewodami postanowił Król bitwę odłożyć do rana i kazał się wojsku na miejscu okopać.

Ale nieprzyjaciel nie czekał. Pod osłoną ciemności tłumy rudobrodych barbarzyńców podkradły się pod obóz królewski, cicho sprzątnęły straże i wdarły się z wrzawą okropną na okopy, rzucając przed siebie chmury strzał i smolne kule płonące, aby oświetlić sobie cel dla pocisków. Z wielkim trudem udało się Królowi i wojewodom powstrzymać popłoch i w zamieszaniu bezładnej bitwy sprawić szyki. Wojsko uratował rycerz Czarny, który rzucił się z garstką swoich na oblegających, sam zginął, ale ich przełamał i wstrzymał. Tymczasem Król kazał zapalić na wysokich tykach przygotowane wiechy smolne i oświetlił w ten sposób plac boju. W krwawym blasku ogni szła dalej rzeź bezładna. Rycerstwo nie mogło użyć koni i kopij, aby nie pognieść i nie poranić swoich. Procarze i łucznicy z obu stron porzucili bezużyteczne łuki i schwycili się z wrogiem za bary i gardła. Więcej teraz znaczyła siła pięści niż sztuka. A że barbarzyńców było więcej, rychło spostrzegł Król, że wojsko jego chwieje się i że niebawem ulegnie. Na domiar smolne wiechy gasnąć zaczęły i wywracały się, potrącane w boju. A choć Król kazał nowe zapalać, rychło nad wyjącem, kotłującym się, szczękającym orężem ludzkim rozlewiskiem zapanował krwawy półzmrok. Nagle z tej krwawej mgły pośrodku bojowiska wyłoniła się olbrzymia postać rudobrodego jeźdźca, w złotej na szyszaku koronie, który, tnąc oburącz wielkim mieczem, przedzierał się przez gąszcze walczących ku Królowi.

— Władca Wschodu i Zachodu!... Zginęliśmy!...  
— krzyknęli rycerze.

— Za mną!... — krzyknął Król, podwiązując drżącymi rękami brodę na bój śmiertelny.

Cały orszak zrobił tosamo, jeno królewicz Jaś patrzył na wszystko osłupiałym wzrokiem, trzymając w ręku bezradnie złote gęśliki.

— Za mną!... — powtórzył Król, podnosząc w górę miecz.

— Rękę księżniczki i połowę królestwa temu, kto zwali tego drapieżcę!

Stały dęba spięte ostrogami konie rycerskie, skoczyły w ciemności, pełne wrzawy i ludzkiego rozruchu. Ciężkie ich kopyta tratowały swoich i obcych. Ci bronili się i wiele rumaków, pchniętych z dołu krótkimi mieczami, padło na ziemię, pociągając za sobą na pewną śmierć jeźdźców. Coraz mniej mieczów jeżyło się dookoła Króla. Zato rudobrody olbrzym wyrastał coraz bliżej. — Król pragnął jeno zginać z chwałą. Wtem stała się rzecz zgoła niezrozumiała. Na tyłach nacierających rozległo się głucho, strasznie wycie, od którego zadrżały konie rycerskie...

— Wilki!... Tego tylko brakowało! — szepnął Król, czując, że mu ramię mdleje.

— Wilki!... — zaszemrał huragan wystraszonych głosów i bój jakby zamarł na chwilę; ustał szcęk broni, jeno głuchy poszum głosów przerażonych leciał nad polem. Zbudziło walkę ponowne wycie przeciągłe, zagłuszone niebawem łoskotem brzeszczotów, kuciem siekier o zbroje i tarcze. Rudobrody olbrzym wstrzymał konia i obejrzał się... Szedł ku niemu z ciemności czarny jak chmura rycerz, migocąc do-

okoła siebie białą błyskawicą żelaznego miecza. Koń czarny, okuty żelaznemi blachami, wspinał się pod nim i szalał, bił kopytami, miotał z ślepi i nozdrzy ogień, rozrzucał pianę i krew...

Poznał Król straszego jeźdźca i wzdrygnął się.

Dostrzegł zwarty poza nim szyk wojowników z futrzanemi szłykami na głowach, z krótkimi, białemi, jak kły mieczami.

Obejrzał się Król, szukając syna, ale królewicz gdzieś się zapodział bez śladu.

Zgasła ostatnia wiecha nad pobojowiskiem. Ciemność zaległa nad wylekłemi tłumami, przycichł szcęk broni. Wielogłosy tupot nóg uciekających, przestrzelony jękiem tratowanych i umierających, leciał ku wyblśnym na niebie gwiazdom. Król, ogarnięty falą zbiegów, porwany przez nią, musiał również uchodzić z rozpaczą w sercu.

Gdy wszakże rozedniało, udało się Królowi dookoła siebie zebrać trochę rycerstwa i z jego pomocą wstrzymać i skupić część rozbitego wojska. Znowu uszykował szeregi, aby stawić czoło pościgowi i uratować resztki swoich sił od ostatecznej porażki. Ale ku powszechnemu zdziwieniu pościgu nie było. Przeciwnie, okoliczni chłopcy rychło przynieśli wieść, że „rudobrodzi“ również uchodzą w popłochu w stronę przeciwną, unosząc ciało swego zabitego Władcy.

Król wysłał niezwłocznie część wojska za uciekającym nieprzyjacielem, a z mniejszą częścią pośpieszył na miejsce wczorajszej walki.

Pobojowisko, zasłane tysiącami trupów, wyglądało jak burzą przeorana rola. Jadąc wśród tych ciał,

wczoraj jeszcze pełnych życia i wesela, a dziś zimnych, nieruchomych, Król zakrył żałośnie twarz dłonią:

— Każdy z nich przecie miał ojca i matkę... Ciężko sprawować rządy świata... Gdzie syn mój!? Szukajcie syna!

Rozjechali się rycerze po poboju, a Król udał się na miejsce, gdzie stał wczoraj i gdzie toczył się bój najgłośniejszy. Z położenia poległych ciał, ich ran, z rodzaju uzbrojenia, starał się Król odgadnąć tajemnicę niespodzianego zwycięstwa.

— Nic nie rozumiem! — wyrzekł wreszcie po wielokrotnem obejrzeniu pola.

— Może Władcę ich trafił wypadkiem pocisk z procy! — odpowiedział rycerz Biały.

— A może zwałił go jaki wojownik, który obecnie jeszcze ściga wrogów, a potem dopiero zgłosi się po obiecaną przez Waszą Królewską Mość nagrodę! — wtrącił rycerz Purpurowy, uśmiechając się zazdrośnie.

— A może... zbawiła nas jaka... gwiazda! — szepnął melancholijnie rycerz Błękitny.

Król nie odpowiadał.

On dobrze zapamiętał obraz żelaznego rycerza, który zjawił mu się nagle w krwawej śródce bojowej, dobrze zapamiętał wycie Wilków, które wzbudziło popłoch w wojsku, a ciała kilku z nich, znalezione na poboju, przekonały go ostatecznie, że wszystko to nie było przywidzeniem...

Daremnie wszakże gubił się w domysłach. Nic nie rozumiał.

— Jeden chyba Dydko mógłby dać wyjaśnienia!...  
— pomyślał z tęsknotą.

Czarowny świat gwiazd, daleki od tego cuchnącego krwią pola, świetlany i czysty, zamajaczył przed nim ponętnie. — Odepchnął go jednak.

— Może przyszedł tu, aby łatwiej porwać mi syna!  
— rozmyślał dalej ze zgrozą. Czekał z drzeniem serca, co będzie dalej, wpatrywał się z bystrem przeżeniem w mgliste widnokregi, skąd coraz przybiegali gońce z wieściami, i rozsyłał na wszystkie strony zbrojne poczty na poszukiwanie zaginionego następcy.

Teraz dopiero ożyła w nim z bolesną potęgą miłość do dziecka. Wspomnił jego jasne włosy i szafirowe przejrzyste oczęta, jego twarz delikatną, pełną przedwczesnego smętku.

Po wielu trudach znaleziono królewicza w nędznej lepiance wieśniaczej, siedzącego na niskim zydelku przed stołem z resztkami lichej strawy. Królewicz wodził zdumionemi, cokolwiek wylękłemi oczyma po czarnych okopconych ścianach, po ubogich siermiężnych szatach, po otaczających twarzach, grubych, opalonych, zwiędłych przed czasem, spoglądał ze wstrętem na brudne, węzłowate, spracowane ręce wieśniaków, wyciągające się ku niemu życzliwie i ciekawie:

— Wy jesteście wszyscy jak nasz... ogrodniczek!  
— rzekł wreszcie.

Chłopi dziwowali się i kręcili głowami. Bączus tłumaczył im powiedzenie królewicza w ich chrapliwym narzeczu, a królewicz w zadumie brząkał na gęśli-

kach ku wielkiej ucieście dziewcząt i dzieci. Wtem zaszczekały na dworze psy i siwobrody chłop, wyrzawszy przez otwarte drzwi, powiedział łagodnie:

— Przyjechali po ciebie, królewiczu, rycerze! Bóg ci zapłać za twoją muzykę... Wracaj do pałacu w spokoju!

Rozpuściwszy na wietrze barwne chorągwie, śpiewając pieśni zwycięskie, ciągnęło radośnie wojsko królewskie do zamku. Tuż u bramy spotkali koszlawego ogrodniczka, pędzącego przed sobą unurzanego po uszy w błocie osielka.

— Oto wraca  
Ogrodowa graca!...

Ej, zuchu, co nowego? Nie przyśnił ci się czasem nieboszczyk Władca Wschodu i Zachodu? I pocios tylko niepokoił swoje szanowne łydeczki!?... Ha! ha! ha! — szydził zeń rycerz Rondel, ku wielkiej ucieście żołnierzy.

## XV.

Wrócił Królowi strach przed Wilkami o tron swój, o państwo, o dzieci... Znowu nie spał po nocach, wykraadał się cichaczem z pałacu, sprawdzał wartujące straże, błędził po olbrzymich murach, oglądał baszty warowne. — I nieraz, patrząc na zębate krawędzie twierdzy, na skaliste załomy granitowych ścian, wydawało mu się, że to nie kamienie i cegły, lecz ogromne wilczysko, — cały wieniec wilków układał się dookoła jego pałacu i czyha na chwilę sposobną...



Czerwone światełka w oknach strażnic wydawały mu się wówczas krwawemi ślepiami bestji, czoła krępych wież — podniesionemi łbami potworów. Chwytał się Król ręką za spotniałe skronie, przysłuchiwał z natężeniem, czy nie usłyszy nagle głuchego wycia, i oglądał bezradnie wokoło, czy nie ujrzy żywego człowieka... Na szczęście zawsze gdzieś w pobliżu zdarzał się w takich chwilach wierny Bączuś.

— Wrócimy już chyba, Miłościwy Panie, do komnat! Zimno. Rosa wilgotna dostaje się pod kubrak wiernego sługi Waszej Królewskiej Mości... a szatni nie chcą mu za nic użyzyć na takie wyprawy grono-stajowego płaszcza! — żartował wesołek, pociągając ze czcią i tkliwością za koniec królewskiego rękawa.

— Pójdziemy. Mury są mocne, a Strażnik Koronny pilnuje ich dobrze... Może nawet... za dobrze!... Możeby lepiej bramy narozcież otworzyć albo... przenieść się gdzieindziej... na otwarte miejsce!

— Dawniej mówiłeś co innego.

Bączuś zwiesił głowę.

— To prawda. Omyliłem się. Ale dawniej było też co innego. Dzieci były małe, Wilki potężne. Od czasu jednak pamiętnej porażki jakoś o nich ucichło. Podobno i w ich dziedzinach źle się dzieje, utracili naczelnika...

Król drgnął.

— Kiedyż to było? — zwrócił się żywo do wesołka.

— Tego niewiem, ale słyszałem niedawno... W do-

datku... — ciągnął dalej cichym głosem — króle-  
więta dorosły...

— Nie mam następcy! — mruknął Król. — Ten  
umie grać jeno na gęślikach!...

— Zato zięć... O dzielnego zięcia będzie nam nie  
trudno... Mamy królowę, że na całym świecie po-  
szukać!... A może zgłosi się ten rycerz, co to zgła-  
dził Władcę Wschodu i Zachodu i pomoc nam przy-  
niósł... Może już się zgłaszał, tylko zastał... bramę  
zamkniętą, bo pan Tatura go dobrowolnie nie wpuści,  
o nie!

— I dobrze zrobi! Za nic na świecie!... Ty nie  
wiesz, że to był On!...

— Kto?

— Wilk Żelazny!... — wyrzekł Król drżącym  
głosem.

Bączuś za głowę się schwycił. Teraz zrozumiał,  
dlaczego Król tak marszczył brwi i chmurzył się przy  
najmniejszym napomknieniu o zbawcy-rycerzu.

Dawno zauważyli to dworacy i rycerstwo, cicha-  
czem więc tylko rozmawiali między sobą o dziwnem  
wydarzeniu, o złych skutkach, jakie może wywołać  
złamanie obietnicy królewskiej. — Czarny rycerz  
w zbroi żelaznej wyrastał w ich opowiadaniach na  
dziw, na cud. Rychło dowiedziała się o nim z półsłów-  
wek panien dworskich królowna.

I nieraz w noc miesięczną, stojąc na pałacowym  
spowitym w róże balkonie, opierała główkę o chłod-  
ny marmur balustrady, patrzyła w złudne tumany  
srebrnej poświaty w dole i rozmyślała o rycerzu,  
którzy zbawił państwo, ale nią pogardził...

Tymczasem poza murami zamku bardzo źle dziać się zaczęło.

Wojna, wyjazd Króla, tajemnicza porażka nieprzyjaciela, obietnica królewska, poruszyły cały naród. Omawiano wypadki po lepiankach, dworkach i zamkach. Wszyscy nic dobrego nie wróżyli ze złamania królewskiego słowa, chociaż byli tacy, co mówili:

— Niech śpi licho!... Niewiadomo, co nas czeka! Może będzie lepiej, niż jest, a może gorzej!

Włóściaństwo wspomniało nagle obiecane i również nie dotrzymane zmiany praw:

— A rycerz to tak pewnie był chłop, bo przecie i prostemu ludowi Król pozwolił ubiegać się o zwycięstwo... Więc pewnie był chłop, ale panowie zataili to i uciskają nas w dalszym ciągu... Onby nas uwolnił!

I zaczęły się znowu tu i owdzie napady na rycerskie zameczki i pożary pańskich dworów i stert i szychlerzy. Rycerze również urządzali karne wyprawy na podejrzone włóści.

W całym państwie powstały rozruchy, mała wojna domowa, o której wieści przedarły się wreszcie i przez pilnie strzeżone przez Taturę mury zamkowe.

Król, trawiony niepokojem i zgryzotą, nie wiedział, co robić. Uciekał więc po dawnemu na wieżę astrologa i szukał wśród gwiazd zapomnienia o rzeczach ziemskich. Ale i tam przerażały go nieoczekiwane zjawiska. Wśród wielkich pędzących w nieskończoności ciał ukazała się nagle jakaś gwiazda nieznaną i gołym okiem niedostrzegalną, która le-

ciała z szaloną szybkością w kierunku wszystkim przeciwnym po drodze niewiadomej, nieobliczalnej i światy całe gasiła w przelocie. Nawet sam Dydko utracił zwykłą pewność siebie.

— Jest to gwiazda szalona i nauka nie ma nad nią władzy. Jej fluidy są w stanie zamętu. Sama nie wie, co robi, i może nawet pęknąć!

— A wtedy co?

— Wtedy świat cały zaleje deszcz ognisty!...

Poruszony Król dnia tego nie jadł wcale wieczerzy. Jego bladeść i zamyślenie zauważyła nawet Królowa:

— Co ci jest? Nie jesz, chudniesz, mizerniejesz!... Poznać cię nie mogę!... Dlaczego nie wezwiesz medyków? Wezwij medyka Frycza, on mi dał wyborne pigułki od otyłości!

Ustąpił Król i kazał wezwać medyka Frycza. Ten długo opukiwał, osłuchiwał Króla, liczył puls, kazał sobie pokazywać język i długo kiwał głową znacząco, wreszcie powiedział, że Król musi się przedewszystkim wyrzec astrologa Dydki i brać proszki trzy razy dziennie, za których skutek on ręczy.

Król na proszki się zgodził, ale Dydki nie chciał się wyrzec, choć Królowa bardzo nań powstawała i wyrzucała mu, że gubi państwo.

Dopiero królowna pogodziła rodziców. Upadła ojcu do nóg i, objąwszy białemi rękami wychudłe jego kolana, zaszepotała:

— Ojczy, niech już będzie co chce... abyś tylko był zdrow, abyś żył i królował... Niech już ten rycerz będzie jaki chce! Dotrzymaj obietnicy!... Ogłoś, niech zjawi się, a wyjdę za niego!

Zadrzał Król, łzy mu napłynęły do oczu i, gładząc ręką ciemną główkę ukochaną, powtarzał:

— Ach, ty nie wiesz, nie wiesz! To niemożliwe!

— Przecież nie jest... trędowaty, boby nie był taki silny! — dowodziła królowna.

Król kiwał głową, aż mu się siwa broda przelewała na piersiach jak woda.

— Dlaczego się nie zgadzasz, jeżeli dziewczyna chce tego... Wiano damy jej przyzwoite... Pewnie jaki chudopacholek... Więc królestwa nie ośmieli się prosić, damy mu, co będziemy uważali za stosowne... — nalegała Królowa.

— Nawet najgorszy potwór, Miłościwy Panie, nie oprze się jej, ułgodzi go ona! Będzie jeździć na nim jak na smoku! — dogadywał wesoło Bączus. — A zresztą co to szkodzi spróbować!

Po długich naradach i namysłach ustąpił wreszcie Król i wysłał na cztery strony świata heroldów, wzywając zbawcę państwa, aby — ktokolwiek jest — stawił się na zamku.

— Niechby to nawet był Żelazny Wilk! — cieszał Króla towarzyszący mu w bezsennych godzinach Bączus. — Postawisz mu za warunek, aby ogłosił... nowe prawa dla ludu! Złamię sobie, Najjaśniejszy Panie, na nich ząb... Oh, złamię!... Bo albo rycerstwo go znienawidzi, albo wieśniacy mu rogów przytrą... Rządzić, to nie tosamo co rabować, jak to robił dotychczas! O nie!... Uspokój się, Miłościwy Królu, wszystko będzie dobrze!

Z porady tegoż Bączusia Król kazał bramy zamku otworzyć, aby każdy miał doń łatwy dostęp. Długo

opierał się temu Tatura i nawet odmówił wykonania rozkazu. Gdy jednak rozgniewany Król zagroził mu sądem rycerstwa, ustąpił Strażnik Koronny, gdyż czuł, że wszędzie ma dużo niechętnych.

Pocichu jednak podwoił załogę zamku, brata wysłał do dóbr swych, aby tam gromadził i uzbrajał na wszelki wypadek poddanych oraz wasali. Sam włóczył się wciąż posepny po zamku, zaglądał do wszystkich zakątków, rozpytywał się podejrzliwie o każdą rzecz, wnikał w każdą sprawę i tak ostro karał najmniejsze naruszenie przepisów, że rzucił postrach na wszystkich, nawet na dworskie panie i panny.

Nieszczęśliwego ogrodniczka, którego przydybał jakiejś nocy w pobliżu pałacu, kazał obić ponownie, zakuć w łańcuchy i rzucić do lochu. Piwniczemu zabronił wydawać więcej dla kucharzy piwa pod pretekstem, że ci mają nosy za czerwone i że zbyt słone dają potrawy...

— A sól pobudza krew, od czego bywają zwady!...

Królewiczowi zrobił uwagę, że za dużo gra na gęślikach, zamiast ćwiczyć się we władaniu orężem. Nawet zadarł z astrologiem Dydką i pogroził mu odebraniem rury oszklonej, jeśli będzie tak często zwracał ją na ziemię.

— Nie rzecz gwiazdździarzy wglądać w to, co się dzieje tutaj. W dodatku to są moje włości, zdobyte w twardej służbie Króla Pana, i nie pozwolę tam nikomu się wtrącać!

W godzinach przedpołudniowych, kiedy największa liczba gości i czołobitników napływała do tak długo niedostępnego zamku, stawał Tatura na dziedzińcu

tuż przed strzelistemi ścieżajami bramy wjazdowej, oparty łokciem na swym długim mieczu, i zjadliwym spojrzeniem ścigał każdego przybysza. A na kim choć na chwilkę spoczęły złośliwe jego źrenice, temu wydało się, że spotkał się z bazyliżkiem.

Mimo to ludzi przybywało z dnia na dzień coraz więcej. Przybywali konno i zbrojno rycerze, panowie, wojownicy najemni, szukając zajęcia albo wyroku w swych zatargach, zajazdach, sporach granicznych; szli chłopci i mieszczenie, niosąc skargi na ucisk, na pobory, na biedę swą odwieczną; przychodzili rzemieślnicy, przekupnie, awanturnicy, komedjanci i arfiarze, ofiarując swoje usługi.

Ożył Król, ożył dwór. Zapelniał się wielki przedsiemek zamkowy ludem orężnym, w salach zawrzała gwar ludzkiego roju, — zaskrzypiały w kancelarjach pióra pisarzy na pergaminach królewskich ukazów. Królowa w gronie pań i kawalerów przechadzała się po alejach ogrodu albo wysiadywała na galerjach pałacu, patrzyła na barwne tłumy, falujące na dziedzińcach, i śmiała się z kawalerskich żartów. Królewicz Jaś ciekawie kręcił się wśród gości, a królowna, ukryta na wysokim balkonie, przytuliwszy ciemną główkę do rzeźbionej kolumny, godzinami nieraz wpatrywała się w ciemną paszczę bramy, czy nie jedzie rycerz...

Dnie mijały, a rycerz nie zjawiał się. Natomiast spostrzegła, że rycerz Tatura często zerka w jej stronę, więc chowała się w cieniu coraz staranniej, gdyż bała się rycerza okrutnie.

Aż pewnego razu zabrzmiały nad bramą trąby mie-

dziane tak przeraźliwie, a potem nastąpiła taka dziwna cisza, że królowna odrazu domyśliła się, co się stało. Pobladała i przycisnęła ręką rozedrgane serce. Ale przewyciężyła się natychmiast, wyprostowała i, nie odpowiadając nic pannom dworskim, które otoczyły ją ze szczebiotaniem, wyszła spokojnie i otwarcie na balkon.

Pośrodku podworca stał na koniu rycerz w czarnej zbroi z złotą gwiazdą nad czołem. Na twarzy miał spuszczoną straszliwą przyłbicę w kształcie paszczy wilczej, goły miecz żelazny w ręku i szarą skórę wilczą, zarzuconą przez plecy, a spięta złotymi pazurami na prawem ramieniu. Dwuch giermków w wilczych szłykach futrzanych na głowach, w wilczych płowych futrach, z krótkimi mieczami, połyskującymi jak srebro, ze skórczanemi okrągłemi tarczami przed piersią, stało poza rycerzem, a przed nim dwaj heraldowie w czerwonych szytych złotem jedwabiach.

— Wilcy... Wilcy! — szemrali dworacy, wylegając tłumnie na pałacowe schody.

— On!... Poznajemy go! — szeptali ci, co widzieli rycerza zbawcę na pobojuwisku.

— Napewno on! — twierdzili ci, co słyszeli o nim od naocznych świadków.

Marszałek dworu podszedł dostojnie do nieznanego i poprosił go grzecznie, aby raczył zsiąść z rumaka, wypocząć z uciążliwej drogi, powiedzieć, kto zacz jest i poco przybywa, a przedewszystkiem, żeby uchylił przyłbicy. — Ale rycerz odpowiedział, że uczyni to tylko przed obliczem królewskim. Wtedy wszyscy domyślili się, o co chodzi.



Kiedy Król i Królowa, odziani w gronostaje, w gronie dworzan, rycerstwa i niewiast ukazali się wreszcie na schodach, ucichł wrzask trąb i szmer głosów. Rycerz uczynił należny ukłon mieczem i położył goły brzeszczot przed sobą na łęku siodła.

Król chwilę przyglądał się rycerzowi.

Tak! To był on!... Ta sama zbroja czarna, ta sama straszna przyłbica, ta sama wyniosła postawa i ta sama złota gwiazda nad czołem!

— Skąd przybywasz, zacny gościu? Dlaczego nie schodzisz z twardego siodła? Chłodne podcienia mego domu czekają na cię życzliwie. Podczaszowie już nalewają kruże miodu i wina, a białogłowy gotują wdzięczne uśmiechy... Cokolwiek sprowadza cię, wypocznij i pokrzep się, zanim powitamy radośnie nowiny, jakie przynosisz!... — zaczął Król drżącym głosem.

— Nie mogę, Potężny i Miłościwy Panie, ani zsiąść z konia, ani miecza mego do pochwy włożyć, ani unieść przyłbicy, aby zażyć z weselem gościnności Twojej, zanim nie potwierdzisz danej mi obietnicy... — zabrzmiał z żelaznej zbroi jak z pustej beczki głos jakiś dziwny, a wszystkim dobrze znany.

Król wyprostował się, Królowa wyduła wargi, a wszyscy ciekawie wyciągnęli szyje.

— Nie powtarzam nigdy dwa razy słów moich i nie cofam moich obietnic! — odpowiedział Król chmurnie, przypominając sobie naraz daną chłopom przysięgę. — Możesz więc śmiało, rycerzu, podnieść swoją przyłbicę. Miecz zaś zachowaj, skoro chcesz... Przedewszystkiem pragnę wraz z memi dworzany

i domownicy ujrzeć twarz mego zbawcy i przyszęgo zięcia!... — dokończył ciszej.

— A wyjdę stąd, jakom przyszedł, bez szkody na zdrowiu i życiu? Przyrzecz mi, wspaniałomyślny Monarcho...

— Ależ tak! Wyjdiesz niezwłocznie, kiedy będziesz chciał... albo zostaniesz z nami dowolnie... — odparł zdziwiony Król.

— Obdarujemy cię, jakieśmy to obiecali! — wtrąciła szybko Królowa. — Nagroda nasza przejdzie twoje oczekiwanie!

— Będzie zgodna z naszym pierwszym postanowieniem! — potwierdził Król.

Rycerz wahał się chwilę; wreszcie szepnął.

— Trzymam za słowo Waszą Królewską Mość! Proszę pamiętać!...

Miecz u boku zawiesił i odsunął zatrząsk przyłbicy. Rozwarła się straszliwa paszczyka i wyjrzały zeń... rumiane policzki i rude wąsiska — rycerza Rondla.

— Rondel!... A to uciecha!... A to psota!... To ci figiel!... — wybuchnęli niewstrzymanym śmiechem dworzanie.

Król wszakże skinął ręką:

— Cóż ta za niewczesny żart, mości panie?! — spytał gniewnie.

— To doprawdy byłem ja... To wcale nie żart... Należy mi się, Miłościwy Monarcho, zgodnie z obietnicą... Przecie każdy... bez względu na stan i pochodzenie... — bąkał zmieszany trochę rycerz.

Wkrótce jednak nabrał znowu ducha i, widząc za-

myślenie i wahanie się pary królewskiej, groźnie nalegał:

— Wasza Królewska Mość po trzykroć obiecała!... Nie godzi się łamać świętego słowa, nawet danego takiemu jak ja chudopachołkowi... głowę nadstawiłem w walce z rudobrodym olbrzymem... Życie łącznie utracić mogłem... Należy mi się... Będę posłusznym i kochającym zięciem i królestwem będę rządził rozumnie! Zresztą już po wszystkim... Wasza Królewska Mość wobec wszystkich stanów potwierdził swoją obietnicę... Któż, jeżeli nie ja, zwałił rudobrodego Władcę Wschodu i Zachodu!... Jeżeli znajdzie się taki, niech wyjdzie, wyzywam go na ostre!

Miecz ogromny z pochwy wyciągnął i podparł się w bok lewą ręką. Król patrzył nań z odrazą, ale wciąż wahał się. Królowa cicho płakała na swoim balkonie, ukrywszy twarz w dłoniach.

Wtem na puste przed rycerzem miejsce wyskoczył... Bączuś. Zrobił ruch swoją grzechotką niby mieczem przed samym pyskiem zakutego w żelazo rumaka, koń potrząsnął głową i parsknął, rycerz ściągnął cugle.

— Kłamiesz, panie Rondel, kłamiesz beczelnie! — wołał tymczasem wesołek. — Jeżeli kto zabił Władcę Wschodu i Zachodu, to prędzej ja, bo obaj przecie w czasie boju leżeliśmy razem dobrze schowani w krzakach!

— Precz, błźnie!... — zawołał z rozdrażnieniem Rondel, najeżdżając koniem na Bączusia. — Żądam sądu... Żądam zadośćuczynienia!

Bączuś z ręcznie uciekał i bił jednocześnie grzechotką konia po chrapach, tak, że ten łeb zadzierał i spinał się.

— Czyż pozwolicie tak hańbić marnemu wesołkowi honor całego rycerstwa?! — zwracał się Rondel do obecnych, daremnie siłąc się dosięgnąć przeciwnika mieczem. Nikt się jednak mu na pomoc nie ruszył; przeciwnie, na znak Strażnika Tatury, straż pociągnęła od bramy i zaczęła samozwańca otaczać...

— Stójcie, stójcie! — zawołał Król. — Niech obaj opowiedzą, jak było!

— A tak, że kiedy zaczęliśmy uciekać, to uciekałem i ja za drugimi, wiodąc królewicza za sobą, aż wpadliśmy w krzaki, gdzie konie nasze potknęły się o jakąś przeszkodę i spadliśmy... Okazało się, że w krzakach leżał imci pan Rondel i to o jego zbroję potknęły się nasze rumaki! Niech królewicz poświadczy...

— Byłem ranny!... Tylcem siekiery dostałem po szyszaku!... — jęknął Rondel.

— Co więc znaczy obecne przebranie!?

— Łaski, Królu Panie!

Już go jednak straż otoczyła i już żołnierze chwytali konia za cugle.

— Łaski!... — bąknął raz jeszcze Rondel. — Już się to nigdy, Królu Panie Miłościwy, nie zdarzy!... Dźwignąć się chciałem z nicestwa, odważyłem się targnąć na pomysł tak srogi. Ale mię niegodnego puść swobodnie, bo słaby jestem i nieudolny... Pacholkiem zostanę ci wiernym do grobowej deski! Wszak darowałeś mi zawczasu bezkarność postęp-

ku... Nie naruszaj dla mnie, marnego robaka, świętego słowa swojego!...

Król zmarszczył brew i machnął ręką.

— Puśćcie go!

Odwrócił się i odszedł w głąb pałacu, a Rondel nawrócił pośpiesznie do bramy wśród szyderstw i śmiechów.

Dopiero za mostem podniósł głowę, odwrócił się i pogroził pięścią żartownisiom.

— Zapamiętajcie sobie! Zapamiętajcie!... Przecież, chamy, o mało nie zostałem waszym panem! Liżalibyście mi wtedy buty, oho!... Nie zapomnę wam tego, nie!... Zaskomlisz jeszcze, Bączusiu obrzydły, zapiszczysz pod mą nogą, jak mysz pod miotłą... Na kolanach wejdiesz, dumna królowno, do mego namiotu... Zobaczysz!... Zapłacę, wszystkim wam zapłacę!

Wtem z murów cisnął ktoś nań mokrą szmatę, trafiła mu w hełm, rozplasnęła się i owinęła dookoła szyszaka i twarzy.

— Witaj, żonkosiu! Oto wianuszek rozmarynowy, godny twej urody i cnoty — szydzili żołnierze.

Rondel raz jeszcze pogroził im pięścią i wolno drogą odjechał.

## XVI.

Skorzystał z tego wydarzenia Strażnik Koronny i zaczął nalegać na Królową i Króla, żeby wprowadzili dawne porządki.

— Rondel jest marne hultajsko i sam nic nie robi,

ale w przemyślnych rękach może się stać szkodnikiem nielada! On tu zna wszystkie kąty! — przekładał cicho i znacząco.

Królową po tych rozmowach zawsze głowa bolała, a Król gniewał się na wszystkich.

— Niech Wasza Królewska Mość pozwoli choć ograniczyć godziny dostępu na zamek, abym mógł rozciągnąć lepszy nad przybywającymi nadzór, inaczej... nie odpowiadam za nic! Wczoraj znowu w rowie zamkowym złapano jakichś nikomu nieznanym, cudzoziemskich przybłądów!

— Ach, rób co chcesz, tylko daj mi święty spokój! — krzyknął nareszcie Król.

Tatura na to tylko czekał. Zaraz wierzeje zamku zawarł i ogłosił, że ino boczną furtką codzien o południu wchodzić mogą do Króla wyborowi czołobitnicy i prosiężce, a ich czeredy pilnować mają osobni ustawnicy.

Wróciło się wszystko do stanu, jaki był przed wojną.

Tatura dopuszczał do Króla, kogo mu się podobało; na zamek wjeżdżali jedynie posłowie z podarunkami, z dziękczynieniami i chwalebniemi pieśniami.

Cieszyła się Królowa Jejmość, że ustały w pałacu hałasy pospólstwa; cieszył się dwór, że się cieszy Królowa, cieszyli się kupcy i właściciele gospód w podzamczu, znowu pełnych przyjezdnych, czekających swej kolei.

Nawet Król uspokoił się z początku, poweselał i zaczął po dawnemu cichutko przemykać się tajem-

nemi drzwiczkami na nadziejską wieżę. Ale trwało to niedługo.

Pewnej nocy gwałtowne szturchnięcie obudziło śpijącego w przedpokoju królewskim Bączusia. Wesołek siadł na posłaniu i przetarł oczy.

— Co to?...

Przed nim stał Król z kagankiem w ręku. Zjeżona siwa broda spadała mu na błękitną w srebrne kwiaty opończę.

— Słyszysz? — szeptał głuchym głosem.

— Nic nie słyszę, Miłościwy Panie! — odparł Bączuś, naciągając pośpiesznie swój kaftan.

— To chodź, z ganku lepiej słyszać!

Wyszli na krużganek, wiszący wysoko nad ziemią w omroczonej nocą powietrzu; z dołu płynęły zapachy róż i ciepła wilgoć wypoczywających ogrodów... W dali nawoływały się co czas jakiś warty zamkowe na niewidzialnych murach. Wtem głos cichy, podobny do płaczu, przepłynął przez mrok. — Król ścisnął znacząco Bączusia za ramię.

— Tak, to ktoś się zali! Może ogrodniczek w lochu?

— Nie, to gdzieś bliżej i wyżej! I to nie jest płacz, raczej... wilcze skomlenie!

— Nic podobnego, Najjaśniejszy Panie, nic podobnego!... — przekładał przełknięty Bączuś.

Ale im usilniej dowodził, tembardziej zawzinał się Król, że to było wilcze skomlenie. — Głos dawno ucichł, spłoszony gniewnym krzykiem Króla. Biedny Bączuś stał przed władcą ze zwieszoną bezradnie głową.

— Wszyscy mię oszukujecie, wszyscy mię zdradza-

cie! Wszystkich was zamknąć każę do lochu! A bo to prawda, żeby w państwie ustały zupełnie niepokoje, nędza i krzywda!... To nieprawda!... Tymczasem do mnie zjawiają się jedynie z dziękczynieniami lub z prośbą, o... zawsze... z prośbą... o jakiejś datki!... Znam ja was, wszystkich widzę na wy-lot!...

Chodził wzburzony, szeroko rozwiewając poły niebieskiej w srebrne kwiaty opończy. Na te krzyki zjawiała się wreszcie i Królowa w białej płóciennaj narzutce. — Król długo jej opowiadał o dziwnych głosach, prześladowających go po nocach, aż wreszcie usnął nad ranem z głową obwiązaną chustą.

Wiść o chorobie Króla rozbiegła się zaraz po zamku, a stamtąd po całym państwie. Zwrócono uwagę na królewicza, domniemanego następcę Króla. Ale królewicz nie był ani poważany, ani lubiany.

— Dobry, bo dobry... Na gęślikach wcale dobrze grywa! Ludu prostego się nie cura! — mówili obrońcy.

— Cóż kiedy nie ma... głowy! — wzdychali przeciwnicy.

Strażnik Koronny milczał, pokręcał węża i wysłuchiwał na pozór obojętnie, co mu dworacy donosili o przyszłym królu.

— Codzień gdzieś znika i z królewskiego stołu resztki jedzenia pod połą unosi!

— Śledzić, pilnie śledzić! — rozkazywał surowo Tatura.

I byliby pewnie królewicza wysledzili, gdyby go nie ostrzegła królowa. Dowiedziała się od swej



panny przybocznej a córki młodszego Tatury, że coś przeciwko królewiczowi knują, i, wypatrzywszy odpowiednią chwilę, zatrzymała brata w ciasnym przejściu zamkowym, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchać.

— Strzeż się! Mają cię na oku... Znikasz gdzieś codzień... Podejrzewają, że masz stosunki nazewnątrz?... Jeżeli to prawda, to powiedz mi, ach, powiedz! Co to są za ludzie i czego chcą od ciebie i gdzie się z nimi widzisz? Ja cię nie zdradzę, ale takbym się chciała dowiedzieć prawdy... całej prawdy...

— Ależ nie, siostrzyczko! To wcale nie nazewnątrz... To ogrodniczek, którego więżą w lochu... On bardzo biedny... Noszę mu okruchy... Ty go pamiętasz, tego ogrodniczka, co to wykradł się na wojnę z gracą, na osielku... on o ciebie zawsze się pyta...

Królewna zmarszczyła brwi sobole.

— Aha, więc to ogrodniczek? W takim razie poco się kryjesz? Nie, nie pójdę do niego... ale powiem ojcu, żeby go kazał puścić!

— Broń Boże!... Prosił, żeby o nim nic nie mówić, żeby go nie wspominać, bo jak go sobie Tatura przypomni, to go jeszcze ściąć kaze... Ale prosił, żeby mu dostarczyć jaką broń starą, to on sam dziurę w murze wyłamie...

— To mi się podoba! Lecz nic z tego nie będzie: mury grube! — odszepnęła w zadumie królewna...

— Niech lepiej zaczeka jeszcze troszeczkę, a wsta-  
wię się za nim przy sposobności do ojca!

Długo musiała królewna czekać na sposobność, na

dobry humor Króla. Mijały dni, mijały tygodnie, a posepny monarcha nie dopuszczał nikogo do siebie: albo siedział na wieży, albo w księżnicy stare pergaminy wertował, albo wreszcie samotny przechadzał się po cichych alejach zamkowego ogrodu. Zdaleka ostrożnie śledzący go dworzanie widzieli, jak staje chwilami, rozkłada ręce i robi niemi ruchy, jakby sam z sobą rozmawiał. I zamkiem i państwem rządził niepodzielnie Tatura.

Coraz skąpiej, coraz rzadziej napływały wieści z zewnątrz i życie w obrębie pałacowych murów pogrążyło się w cichy różano-szary sen.

— Nie wytrzymam! — szeptała królowna, która lubiła jak ojciec błądzić samotnie po alejach parku. — Jaśkowi wystarczają jego gęśliki. Siedzi w swej komnacie i gra... Świata nie widzi, nie widzi stróżów Tatury, śledzących każde nasze słowo i ruch... Oczy utkwi w skrawek nieba i gra... Szczęśliwy!... Ale ja!... Co ja pocznę!?

Zarzuciła cudne jak utoczone z kości słoniowej ręce na gałąź kwitnącej jabłoni i patrzyła na lazurowe stawy z pływającymi po nich łabędziami, na złożone łodzie, pełne rozbawionej, śmiejącej się młodzieży, na piętrzący się poza wodami pałac, jakby z chmur zbudowany... Z otwartych okien leciały dźwięki muzyki, okrzyki wesela, tupot płasających nóg oraz brzęk naczyń biesiadnych.

— Wiecznie tosamo! Ach, co za nuda!... Zginę, zwiędnę, nie poznawszy życia!

Rozmyślała o cudach szerokiego świata, o których opowiadał ogrodniczek, i nagle, jak wówczas, wstrzą-

snął nią dreszcz przejmujący, gdy mimochodem spotkała się wejrzeniem z świecącymi jak gwiazdy, szaremi oczami w zakratowanym okienku więziennego lochu...

— Muszę do ojca koniecznie za nim się wstawić! Zapomniałam zupełnie! Ale i sama też muszę się ratować!... Ale jak, ale jak?!... Nie przyjechał rycerz! Nie przyjechał!...

Zwiesiła głowę, westchnęła i wypuściła z rąk gałąź jabłoni, gdyż doleciały ją zdala skrzeczące rozpytywania Wielkiej Ochmistrzyni Głós-Puszczalskiej i niespokojne wołania panien z jej orszaku. Płatki kwiecia jak śnieg posypały się na jej czarne warkocze i leciuchną jak mgła sukienkę.

## XVII.

Gnuśniał Król, gnuśniał dwór.

Aż niespodzianie uderzył w państwo nowy grom, którego nie mógł już ukryć Tatura.

Nadbiegła wieść, że Władca Północy i Południa na czele niezliczonych hord przekroczył granice królestwa z dwu stron przeciwnych i, zdążając do królewskiego zamczyska, zalewa i zabiera bez najmniejszego oporu włości i całe województwa.

Prowadzić nieprzyjaciela miał chytry rycerz Rondel, który pouczał chłopów, że nie żywi wcale złych zamiarów ani względem narodu, ani względem samego króla Jegomości, ino chce uwolnić wszystkich od złych rządów Strażnika Koronnego Tatury.

— Kiedy jego nie stanie, — głosili rondlowi wysłańce, — wtedy Król spełni swoją obietnicę, da wam ziemię i zburzy mury zamczyska! Sam Miłościwy Pan cichaczem nam sprzyja!

Wieśniacy w dobrej wierze nietylko nie stawiali oporu, lecz owszem pomagali zaborcom, dawali wskazówki i początkowo dostarczali im nawet dobrowolnie żywności i ludzi zaciężnych.

Otoczone ze wszęch stron wrogami, odcięte od wszelkiej komunikacji ze sobą, miasta, zamczki i grody ziem zajętych poddawały się jeden za drugim. Nie miał zresztą Tatura i tam zbyt wielu przyjaciół, a więcej zawistnych i nieprzychylnych. Przeważony Król co chwila odbierał wiadomości o upadku tego lub owego obronnego miejsca, o przejściu pod władzę nieprzyjaciela całych połaci kraju. Dydko na Słomianych Nóżkach miał dużo do roboty, żeby wymiarować wśród zgmatwanych gwiazdnych dróg, co Królowi poradzić, co mu czynić należy... Król żądał jasnej, wyraźnej odpowiedzi, a że sam już dużo w gwiazdach rozumiał, nie dawał się zbyć byle czem.

Właśnie astrolog układał sobie mozolnie horoskopy na dzień jutrzejszy, kiedy schody, wiodące do jego ustronia, zajęczały pod ciężkimi krokami. Dydko nadstawił uszu: nie były to kroki Króla, o nie, ani też pachołka, który mu tu nosił strawę, wodę i drzewo... Któż więc, u licha, śmie go niepokoić w tak ważną dlań nocną porę?

Nie odrywając więc oka od swej rury oszklonej, machnął astrolog i ręką i nogą na natrętnego przyszysza, gdy ten drzwi otworzył.

— Ominie Węża i Lwa, ale wpadnie na Wodo-  
leja... a wtedy wszystko uniosą wzburzone fale,  
o ile nie pomoże nam gwiazdozbiór Łabędzia! Ten  
umie pływać! — mrucał uczony, nie odwracając  
głowy.

Wtem mocna, twarda ręka ujęła go za ramię. Dyd-  
ko krzyknął i obrócił się wartko jak fryga.

— Ach, to Wy, Przemożny Rycerzu! Jakże się  
złakłem, myślałem, że to... już... Władca Północy  
i Południa!

— Przyjdzie, napewno przyjdzie i to niedługo,  
i wszystkich nas wypędzi! — odrzekł z uśmiechem  
Tatura, rozpierając się wygodnie w królewskim fo-  
telu.

— A cóż temu winien biedny uczony? Mówię to,  
co mi każą gwiazdy...

— Tak, ale on napewno ma własnego astrologa!

Dydko zwiesił głowę i w zadumie stukał palcem  
po rozłożonej mapie nieba.

— A... moja gwiazda co porabia? — spytał po  
krótkim milczeniu Tatura.

— Gwiazda Jasnego Pana?... Ach tak, gwiazda!  
— zagadał astrolog i znowu oko do otworu rury  
przyłożył.

— Gwiazda... twoja, rycerzu... blednie!

— Dlaczego blednie! — rozśmiał się Tatura. —  
Niechno mię waść do tej rury puści! Któraż to jest  
moja? Aha, ta, dokoła której jest rozsypany rój  
mniejszych? Słusznie! Nie widzę zgoła, aby ona  
bladła... A zresztą my temu zaradzimy... Ona roz-  
gorzeje jeszcze większym blaskiem, musi mi ino

Waść przedtem wyłożył całe obecne położenie niebieskie...

Przysunął sobie fotel i pochylił się nad stołem, a Dydko jał mu pokornie pokazywać skreślone przez siebie mapy i tłumaczyć położenie i znaczenie rozmaitych znaków... Strażnik koronny słuchał go uważnie, jednocześnie pilnie ku drzwiom nadstawiając uszu.

— Pysznie! Wybornie! To samo chciałem powiedzieć! — wstawiał od czasu do czasu, a gdy zdumiony Dydko umilkł, zaczął mówić sam:

— Stąd płynie, według twego zdania, Przezacny Mędrce, że jedyną przeszkodą do szczęśliwego układu gwiazd jest owa tutaj mgławica!

— Ależ bynajmniej! — protestował Dydko.

— Należy więc ową mgławicę rozproszyć, usunąć jej szkodliwy wpływ przez przeciwdziałanie innych gwiazd! — ciągnął rycerz, puszczając mimo uszu wykrzykniki astrologa.

— Te oto gwiazdy mówią, że najlepiej będzie zawrzeć z napastnikiem przymierze i oddać mu zagarnięte już ziemie! Uważa jegomość?!... Proszę o tem pamiętać!...

— Wcale tego nie mówiłem!

— Mówiłeś, mówiłeś, kochanku, te oto gwiazdy mówiły za ciebie, te oto gwiazdy! — powtarzał Tatura, stukając mocno grubemi palcami po rysunku horoskopu. — Ale najgłośniejsze gwiazdy mówią, że, aby powodzenie było trwałe, należy raz na zawsze usunąć przyczynę napaści i wydać... królownę co rychlej zamążyć... Czy nie tak? Wszak to jasne, jak

gwiazdy na niebie! — rozśmiał się Tatura i wtył na poręcz fotelu odrzucił. Dydko drgnął i osłupiał na chwilę.

— Za kogo? — szepnął pokornie.

— Za mnie, kochanku, za mnie!... Ta gwiazda wyraźnie to mówi, a ty jutro to powiesz Królowi!

— Nie, ja tego nie powiem, ja tego powiedzieć nie mogę!... — odszepnął Dydko.

Strażnik koronny wstał i wyprostował się, aż na nim chrzęstnęła koleczuga.

— Owszem, powiesz, uczony mężu, nie wątpię ani na chwilę, że powiesz! Gwiazdy chcą tego, gwiazdy!... To nie jest wcale ani twoje, ani moje zdanie! A ty z gwiazd żyjesz, więc ich słuchać musisz!

Dydko podniósł na rycerza swoje sowie, zalęknione oczy, lecz zaraz je spuścił.

— Ja... nie mogę! Król nie uwierzy mi i nie... zgodzi się nigdy... Jest Wilk... Wilk Żelazny...

— Tak, był Wilk Żelazny, ale od czasu, jak rozbiłiśmy Wilków w pamiętnej bitwie, nie słyhać o nim. Podobno zginął!

— Otóż nie! Gwiazda jego żyje!... Ona to płacze wszystkie moje obliczenia!... Nie widzę jej, ale ją czuję wszędzie... Ścigam ją, szukam... Król również ją jedną pragnie odnaleźć... Ale znikła nam gdzieś w gwiazd natłoku... W tem właśnie rzecz cała, w tem cała tajemnica! Już ją szukamy tyle nocy... I przerażenie nas ogarnia, co będzie, gdy jej nie znajdziemy, albo odnajdziemy... naprzykład tu, tuż obok naszego gwiazdozbioru... Co będzie!?

— Dosyć gwiazdziarzu! Powiedz mi zaraz, co to

wszystko znaczy? Zaraz, rozumiesz! I bez żadnych kłamstw i zatajeń!

— Król królownę jeszcze w dzieciństwie temu Wilkowi obiecał i królowicza z nią razem... Cała więc nad państwem władza do niego przechodzi!

— Ha!... To więc tak!... Rozumiem! Gadaj, gadaj porządnie, jak było?! — dopytywał się coraz groźniej i chmurniej Tatura.

Drżącym głosem opowiedział mu mędrzec wszystko, co od Króla różnemi czasy usłyszał, i nawet to, czego się sam domyślił.

— Kto więcej wie o tem w zamku?

— Nie wiem. Może Królowa... albo... Bączuś!...

— Dobrze. Już dawno mam tego błazna na oku!

— Co zamýślasz przedsięwziąć, Wielmożny Panie? Drzę cały... Lękam się, że coś uczynisz, co wszystkie nasze zabiegi wniwecz obróci... Rzecz pierwszorzędnej wagi, aby tego Wilka nie ruszać... Wszak na nim i przeciwko niemu wyrósł ten zamek, na nim urosła i twoja, panie, potęga...

— No i twoja! — rozśmiał się Tatura.

— Zapewne, ale co znaczą moje skromne potrzeby wobec twoich mądrych rządów... Skoro Król Wilka bać się przestanie, wszystko się zmieni... Ale czy go można przestać się bać... nie wiem?... Myślę, że on istnieć będzie wiecznie, że naruszenie jego praw wywoła go natychmiast z pomroki... a kto mu się oprze? Jemu, co, niewidzialny, taką jednak władzę posiada!

— Właśnie! Tem prędzej trzeba z tem wszystkim skończyć! — mruknął Tatura. — A więc jutro po-



wiesz Królowi, co ci kazałem, inaczej... za nieposłuszeństwo i za... zdradę tajemnicy stanu pójdiesz do lochu!

Gdy wyszedł, Dydko długo nie ruszał się ze zdumienia, wreszcie uszczypnął się w podbródek, żeby się upewnić, iż nie śpi.

Tak, to nie był sen! Zapomniana przez Taturę na stole rękawica łosiowa świadczyła o tem niezbitcie. Dydko rękawicę obejrzał, powąchał ją i schował ostrożnie do szafy; poczem, na wszelki wypadek, okadził komnatę czarodziejskiem kadzidłem i wypowiedział przeciw złym duchom zaklęcia na cztery świata strony.

Nazajutrz Król wrócił od astrologa wielce zmieszany; kazał zaraz wołać do siebie doktora i żonę.

Doktor puścił Królowi krew i nakazał spokój bezwzględny. Ale Król ani myślał go słuchać i wciąż pytał słabym głosem:

— Gdzież Królowa? Dlaczego nie widzę Królowej?

Weszła wreszcie, napełniając komnatę szelestem jedwabiów i zapachem wonnych olejków.

— Znowu ci gorzej!... Krew ci puszcza! I ja też muszę sobie kazać krew puścić, bo mi humory biją do głowy! — rzekła, siadając obok łoża na zydlu.

Król zrobił znak dworzanom, aby wyszli.

— Ludgardo, wiesz, czego chcą gwiazdy, czego chcą gwiazdy!?... — spytał cicho, biorąc żonę za rękę.

— Czegóż one mogą chcieć znowu?! Wszakże Dydce posyłasz stale prócz zasług rozmaite podarunki i naddatki! — odrzekła kwaśno.

— Wcale nie o to chodzi, ale widzisz... gwiazdy chcą... żebyśmy... córkę naszą... oddali Taturze?

— Oddali?... Jak to... oddali?

— No, zamąż!...

— O, na to się nigdy nie zgodzę! — wybuchnęła Królowa i dźwignęła z zydła swą otyłą postać.

— Na to się nigdy nie zgodzę! — powtórzyła i przyłożyła chusteczkę do nosa, a potem do serca.

Król patrzył na nią z żalnością.

— Ja również zgodzić się nie mogę, choćby ze względu na tego rycerza! Dostyc już złamałem obietnic!

— Rycerz to nic!... Nie przybył na wezwanie, więc zwolnieni jesteśmy od słowa! — wyjęczała przez chusteczkę Królowa. — Ale serce moje nie pozwala na to... Taka młodziutka! A Wilk Żelazny? Co powie Wilk?... Rozszarpie nas oboje!

— Cóż więc robić? Nieprzyjacieli już zajął pół państwa! Gdyby mię teraz Tatura opuścił, nicby mi nie zostało, jak uciekać z państwa albo umrzeć. Co zaś do Wilka... to dawniej innego byłaś o tym zdania!

Królowa bystro przyglądała się Królowi z poza chusteczki.

— Mówiłam i powtarzam znowu, że należy pogadać właśnie z tym... Wilkiem!... Tylko wtedy skończy się raz na zawsze ta wieczna obawa! I o co?... Królowa już duża, niech sama o swoim losie stanowi. Zdejmie z nas odpowiedzialność!

Król opadł na poduszki gnębiony.

— Dawniej mówiłaś co innego! To okropne! Pomyśl: oddać własne dziecko potworowi!

— Ach, wszyscy wy jesteście potworni! Wiem o tem dobrze!

— Już idź! Pomyślę o tem sam! Jakże jestem znę-kany!...

Królowa wstała i popłynęła wspaniale ku podwojom, a otworzyła je tak szybko, że o mało nie rozbiła nosa podglądającej przez dziurkę od klucza Ochmistrzyni Głos-Puszczalskiej.

— Przeprowadź mi zaraz królownę!

Rzuciły się damy dworskie i paziowie szukać królowny i niezadługo powiodły ją z górnych krużgan-ków do kryształowych komnat matki. Ale zaskoczył im drogę Bączuś i powiedział, że Król ją też wzywa i że tam musi udać się przedewszystkim. Potwierdził to z niskim ukłonem przyboczny Króla dworzanin. Drżąca ze wzruszenia królowna weszła do przyćmio-nej zasłonami sypialni ojcowskiej. Na spiętrzonych wysoko poduszkach spostrzegła miłą głowę, okoloną śnieżną brodą, a dobre niebieskie oczy spojrzały na nią z tkliwym niepokojem. Król wskazał jej ręką na zydeł, ale Królowna przypadła do łoża na kola-nach i przytuliła pieszczotliwie policzki do opuszczo-nej bezwładnie dłoni rodzicielskiej.

— Krew ci puszczano, ojczulku!

— Tak, było mi lepiej z początku, ale teraz znowu gorzej. Słabość mię nęka! Tak, tak: słabość we wszystkim!

— Wypoczniesz, przejdzie!... Znowu będziesz jak dawniej, kochany!...

— O, nie! Już ja nigdy jak dawniej nie będę!

— Dlaczego? Wróci spokój w państwie i będzie jak dawniej...

— I spokój nie wróci i nic już nie wróci! Co się stało, to się nie odstanie i życie przeżyte nie wraca... Ale nie o to chodzi, dziecino moja, posłuchaj... tutaj... otc... widzisz...

Król zawahał się i zakaszłał. Królowna podniosła główkę i utkwiała w nim z ufnością śliczne, czarne oczy. — Cień żaloszny przesunął się po twarzy Króla. Czyż mógł ten swój cudny kwiatusek ludzki, tę jasną wiosnę życia, czystą, kryształową, niepokalaną, oddać okrutnemu słuźalcy? Pamiętał dobrze wszystkie podłostki, kłamtwa, wybiegi i podstępny, za pomocą których dorabiał się Tatura fortuny i znaczenia! Wzdrygnęła się w Królu dusza. Tyle lat drżał o to dziecko swoje, dla obrony jego mury dźwignął potężne, oddzielił się od narodu swego, u gwiazd szukał ratunku, aby teraz oddać to wszystko wraz z tronem swoim i dostojęństwem przebiegłemu krętaozowi! Ale wydało mu się, że nie ma wyboru. Dłonią głowę córki pogładził i cicho zaszeptał.

— Słuchaj, Zośko, gwiazdy... mówią... że musisz iść za Taturę...

— Jak to: iść!?

— Zamąż...

Zamarła królowna na posąg.

— A tamten? — szepnęła po długiej chwili.

— Właśnie: tamten! w tem sęk, ale co począc!? Zapewne, on się może zgłosić, a potem może się

mścić... lecz cóżeśmy winni, że się dotychczas nie zjawiał... Teraz za późno! Władca Północy i Południa zajął już pół królestwa... Chcemy mu oddać dobrowolnie zawładnięte ziemie, byle przestał dalej grabić i palić... Być może, że jak się dowie, żeś już zamężna, przyjmie postawione warunki i zawrze pokój! Bo i on o twoją dobija się rękę!

— Nic mu nie dać, ojcze!... Ani mej ręki, ani królestwa! — przerwała królowa. — Jakto, chcesz, Miłościwy Panie, podarować barbarzyńcy pół twego kraju, skazać lud Twój na obce ciemństwo, na ucisk, gwałty, wyzysk... Chcesz sam dobrowolnie na to wszystko przystać? Czyż nie została ci jeszcze połowa królestwa, czego dość przecie, aby długo jeszcze się bronić? Czy w zamku tym mało wojska?... Dlaczego Tatura nie prowadzi go na nieprzyjaciela, a gromadzi tu bez potrzeby i użytku? Widzę codzień z mego ganku, jak przybywają nowe i nowe hufce...

— Właśnie zarzucam mu to samo. Twierdzi, że ma za mało jeszcze sił, aby stawić czoło nieprzyjacielowi w otwartem polu, że czeka, aby sam przyszedł tutaj z całą swą mocą, a wtedy odrazu albo pobije go na głowę i skończy z nim raz na zawsze, albo zginie!

— Niemądry plan! Zginąć mogą ludzie, ale naród zginąć nie może! Słyszałam, ojcze, jakieś mówił to nieraz. Pocóż więc doprowadzać do tego, oddawać bez walki cały kraj nieprzyjacielowi? Po to chyba, aby naszych kmieci uzbroił orężem z naszych skarbów, wcielił do swego wojska i przeciw nam powiodł... Sam również nieraz potępiałeś takie wycekiwanie! Przeciwnie, należy wyruszyć, podnieść

lud, zgromadzić rycerstwo... Zaraz wici rozesłać, jak dawniej!

Król uniósł się na posłaniu i z zachwytem patrzył na córkę, powtarzającą z nową wiarą dawne jego nauki.

— Ach, Zośka, co za szkoda, że nie jesteś Jaśkiem!

— Jasiek też pójdzie z nami i ja pojedę z Tobą... Wszystko się ruszy... Tylko otrząśnij się, ojczy, z niemocy...

— Doprawdy już mi nic nie jest! — wołał Król, ruszając barkami, lecz nagle posmutniał.

— Cała rzecz w tem, jak to zrobić?! Bo Tatura wszystko ma w swoich rękach, i strażę, i skarb, i nasze pieczęcie... Wszystko powoli zagarnął. Do niczego teraz nie dopuści, na nic się nie zgodzi... Nawet wiesz, co ci powiem: podejrzewam, że to on namówił Dydkę, żeby przez gwiazdy... zmusił nas na jego korzyść i nastraszył... O, ten Tatura, to niepoń skończony... przed niczem się nie cofnie!

— I takiemu człowiekowi chciałeś mię oddać, ojczy?

— Daruj, córuś, daruj... ale co robić, co robić! Pozatem widzisz, kryje się jeszcze coś, mój grzech młodości, moja omyłka najdawniejsza, o której dowiesz się zczasem... Nie jesteśmy już panami we własnem gnieździe; kto się boi, ten przestaje panować! Dzięki temu odpędził od nas chytry Tatura wszystkich przychylnych... zostawił jeno Bączusia... Wszyscy go się lękają, wszyscy mu się wysługują... Przez małżeństwo z tobą chciał do reszty nas dobić, a siebie utwierdzić! Bo ja wiem, że tam

w dalekich województwach jest jeszcze i rycerstwo i kmiecie do mnie przywiązani, wiem, że i tu Tatura dużo ma wrogów... Otóż gdyby wprost otwarcie przeciwko mnie wystąpił, wieluby go opuściło, a reszta możeby nawet nań powstała. Przez małżeństwo z tobą uzyskałby prawo do tronu i usta przeciwnikom zamknął... Jasiaby w lochu z byle powodu zgnoił albo mu oczy kazał wyłupić, jak zwykle w takich razach bywa...

— Widzisz, ojczu, widzisz! Należy uwiadomić natychmiast o naszych zamiarach przyjaciół, co pozostali wierni; zebrać ich, rozesłać do włości rozkazy, podnieść lud...

— Już to raz próbowałem... Nie wiem, czy posłuchają raz wtóry... Nie dotrzymałem obietnicy! — szepnął Król ze smutkiem. — Zresztą kogo posłać? Kto się odważy?

— A gdyby tak... Bączusia! — wstawiła nieśmiało królowna.

— Bączuś nie ma należytej powagi wśród rycerstwa, a zresztą stary już jest i sam takiemu zadaniu nie podola, nawet drogi nie zrobi!

— Dla powagi daj mu rozkazy na piśmie... Przecież wola twoja każdego wywyższa? Przecież z ciury możesz zrobić rycerza? Przecież sam Tatura był podobno stajennym chłopakiem!

— Tak, to prawda! Ale kogo mu dodać? Wszędzie ma Tatura swoich zauszniaków... A jak się wyda przed czasem, to będzie gorzej! Utnie głowę Bączusiowi i nas srogo przycisnie!

— Chyba gorzej być nie może!... Ale wiesz co, ojczulku, gdybyśmy mu tak dodali... ogrodniczka?

— Jakiego ogrodniczka?

— A no tego, co teraz... siedzi w lochu!

— Jakże go dodamy, jeżeli siedzi w lochu? W dodatku nie znam go wcale! Nie wiem, czy można nań liczyć!

— O, napewno liczyć na niego można... Wiem to! — upewniała, rumieniąc się, królowna. — To tensam ogrodniczek, co za pierwszej wyprawy ruszył sam dobrowolnie za wojskiem!

— Aha, przypominam sobie... na osiołku... i wszystkich nas naśmieszył! Niedołęga! Jakąż więc z niego może mieć Bącuś pomoc?

— Ależ, ojczulku, on dzielny, tylko wtedy mu się nie powiodło... To prawda! Pamiętam jednak dobrze, jak cała warta nasza nie mogła mu dać rady, choć bronił się zwykłym sękiem!

Król zamyślił się.

— Cóż, rób, co zechcesz! Zgadzam się na wszystko... O ciebie przedewszystkiem chodzi... Myśmy już starzy i niewielka dla nas różnica, czy wcześniej czy później życie zakończyć... Pomyśl jednak, czy nie lepiej?...

Królowna przytuliła usta i policzki do ojcowskich dłoni.

— Nie lepiej, ojcze, nie lepiej! Dla nikogo nie lepiej... Skoro Tatura raz znajdzie się na tronie, nie pożaluje nikogo... Pozwól, ojcze, ja to już wszystko ułożę... A teraz pójdę do matki, lecz, ojcuzi, ja jej nic nie powiem... Ona ma takie słabe... serce, że ten... Tatura... wszystkiego od niej się dowie!





Takiego przed nią zawsze udaje wiernego sługę i przyjaciela...

Król kiwnął głową i, zmęczony, opadł na poduszki, a królowna wyszła niezwłocznie i skierowała się do matczynych pokoi. W przedsionku spotkał ją Tatura. Skłonił jej się uniżenie, ale ostrem spojrzeniem obrzucił jej postać od stóp do głowy. — Przeszła mimo niego pozornie wyniosła i spokojna, choć wszystko w niej pod tym wzrokiem zadrżało.

## XVIII.

— Ty pilne daj na wszystko baczenie! Córce rozkaż, żeby donosiła ci o każdym kroku, każdym słówku królowny! Pamiętaj, że od tego zależy... życie nasze! — pouczał brata starszy Tatura.

— Życie nasze? — powtórzył ten z trwożliwą ciekawością. Nie śmiał się wszakże pytać więcej, gdyż brat samowładnie rządził wszystkimi sprawami rodziny i nikogo do swych planów nie dopuszczał.

Wszyscy na dworze czuli, że się coś niezwykłego dzieje, zauważyli posępne zamyślenie starego Króla, częste i obfite łzy Królowej, błądzenie królowny i narady jej z ojcem, wreszcie srogą chmurność Koronnego Strażnika. Nikt jednak nic napewno nie wiedział i nie śmiał nawet głośno wypowiadać swych domysłów. Tatura ze wścibskimi nie żartował.

Kiedy jednak pewnego ranka gruchnęła po zamku wieść, że więziony oddawna w lochu ogrodniczek przepiłował kraty i uciekł, kiedy z tego powodu Ta-

tura kazał wziąć na tortury klucznika i powiesić żołnierza, koło którego wartowni znaleziono przewieszony przez ścianę sznur, — nic już nie mogło wstrzymać pokątnych szeptów, gawęd i domysłów... Niewytłumaczony popłoch i twoga ogarnęły mieszkańców zamku. Na domiar wyjaśniło się, że i Bączuś znikł gdzieś bez śladu.

Żółty z gniewu Tatura sam z tą nowiną udał się do Króla.

— Najjaśniejszy Panie, błazen Waszej Królewskiej Mości, niegodny Bączuś... uciekł wbrew moim wyraźnym rozkazom, zabraniającym komukolwiek opuszczać mury twierdzy!

Król kiwnął głową.

— Ach, tak! Uciekł, powiadasz? Jabym sam uciekł, gdybym miał gdzie...

— Rozkaz był zatwierdzony przez Waszą Królewską Mość i przypieczętowany przez Wielkiego Kancelerza.

— Cóż, widocznie, że on więcej się bał twego gniewu, Mości Wielki Strażniku, niż naszych podpisów!

Tatura świdrował Króla płonącym wzrokiem, lecz Monarcha, półleżąc w fotelu z przymkniętymi oczami, zdawał się tego nie spostrzegać.

— On mógł uciec do Rondla, on mógł nieprzyjacielowi udzielić wskazówek co do liczebności załogi, naszych zapasów, słabych miejsc obronnych... Żadną miarą nie mogę pozwolić, aby ujawniano podobne rzeczy w chwili tak ważnej! Naród mnie polecił obronę Waszej Królewskiej Mości i za całość Jego osoby ja odpowiadam przed państwem!

— Oho, pierwszy raz słyszę! Przecież to ja, zdaje się, powołałem Cię na służbę i mianowałem Wielkim Strażnikiem!

— Wola Waszej Królewskiej Mości jest zawsze wolą narodu! — wstawił chytrze Tatura.

Król uśmiechnął się.

— Dobrze, dobrze! Nie obawiaj się więc, dzielny wojewodo, ani mego starego wesołka, ani nikogo! Nie może ci tu nikt bardzo zaszkodzić... Upił się pewnie Bączuś i stoczył gdzie do rowu lub śpi w krzaku jak zwykle! Za dni parę przekonasz się, że wróci niebawem!

Rzecz prosta, że spokój Króla, który bardzo lubił i troszczył się o swego Bączusia, podniecił bardziej jeszcze podejrzliwość Tatury. — Kryjąc wściekłość pod fałszywym uśmiechem, wyszedł z niskim ukłonem i niezwłocznie skierował się ku drzwiom, wiodącym na wieżę astrologa. Król w swym pokoju słyszał ciężkie stąpanie rycerza na schodkach i po twarzy monarchy przebiegł bolesny uśmiech.

— Czego Wasza Mość jeszcze chce ode mnie!? Jużem powiedział Królowi! Chwili niema spokoju z waszemi sprawami! — biadał płaczliwie uczony, skoro znowu ujrzał przed sobą posępną figurę Tatury.

Ten przyglądał się leżącym na stole rysunkom i namyślał się.

— Chodzi o to, astrologu! — rzekł wreszcie twardo — abyś przepowiednię swą powtórzył bardziej stanowczo i nie tylko Królowi, lecz... i żołnierzom, którzy do ciebie z zapytaniem przyjdą! Słyszysz!?

— Żołnierzom!? Taką rzecz!? Poco!?! A cóż do

tego żołnierzom! Nie, bez pozwolenia Króla tego nie mogę uczynić! To będzie zdrada... zdrada stanu, jak sam powiedziałeś! Za to głową nałożyć wypadnie!

— Aby tego uniknąć... zobaczysz wcześniej rycerzy niż Króla, zobaczysz ich za chwilę... Co zaś do swej głowy, to uspokój się i spojrzysz tam na mury!

Dydko zerknął lękliwie we wskazanym kierunku i struchlał. Na murach wisiał nieszczęśliwy, skazany z powodu Bączusia wojownik ze związanymi na plecach rękami. Patrząc zawsze na gwiazdy, nie dostrzegł go Dydko dotychczas.

— Dobrze, zrobię, co Wasza Mość każe, ale... ale... za nic nie... nie ręczę!

— Nikt tego od ciebie nie żąda! Proszę zaczekać i zrobić, co mówiłem!

Tatura zszedł do przedsionka i kazał zawołać natychmiast oddanego sobie ciałem i duszą naczelnika straży zamkowej Golenia. Gdy ten zjawił się, kazał mu dobrać dwu sprytniejszych żołnierzy jako świadków i udać się niezwłocznie do astrologa. Jednocześnie miał znowu długą naradę z bratem w ustronnej komnacie, gdzie mu w krótkich słowach cały swój plan wyłuszczył:

— Należy rozpowszechnić wśród żołnierzy i nawet w całym państwie przepowiednię, jaką mi tylko co uczynił słynny astrolog Dydko Na Słomianych Nóżkach. Gwiazdy nakazują poślubić mi królowę, a Władcy Północy i Południa przyznać połowę zagrabionego królestwa! Tego chcą gwiazdy... czy sły-

szysz! Opieranie się ich wyrokom pociągnię za sobą nieobliczone nieszczęścia na cały naród: mory, głody, nieustanne pożogi i wojny... Uciszyć je może jedynie rychłe zamążpójście królowny, która jest tych nieszczęść powodem... Słyszałeś!? Zapamiętaj sobie dobrze!

— ...która jest tych nieszczęść powodem! A więc niby... Królowna?... Ma oddać swą rękę tobie, bracie?... — powtórzył ze zdumieniem, opuszczając ręce, młodszy Tatura.

— No, tak! Dziwi cię to tak bardzo?

— Nie! Wiem, że godzien jesteś największych w państwie zaszczytów, że śmiało sięgać możesz po najwyższe dostojeństwa, ale... ręka królowny!?

— Cóż takiego? Więc uważasz mię za gorszego od byle pacholka, który wypadkiem mógł zwalić w boju rudobrodego Władcę Wschodu i Zachodu! Przecie Król obiecał ją takiemu zuchowi!? Przecież o mało nie oddał jej... Rondlowi? Gdyby nie wszędobylski wesolek, mogło się łatwo stać podobne nieszczęście... Bądź pewien, że gorsze rządy nie będą niż teraz! Bo czyż nie wiesz, kto właściwie rządzi obecnie?

— Tak, to prawda! — uśmiechnął się młodszy Tatura. — O co... O co ci więc chodzi, bracie!? Wy tłumacz wyraźnie, a w lot spełnię!

— Chodzi przedewszystkim o to, aby wszyscy uwierzyli, że grozi im niechybna zguba, jeżeli wyrocznia nie zostanie spełniona — powtórzył stary Tatura.

— O to nietrudno!

— Następnie przygotujesz mi doborowy hufiec ludzi, gdyż w nocy dziś wyjeżdżam...

Tatura pochylił się ku bratu i zaczął szeptać mu do ucha cichutko. Wylatały tylko głośniejsze niektóre wyrazy: Władca Północy i Południa... pół państwa... chętnie podzieli rządy... powinien zaraz cofnąć wojska... Rondel dostanie włości i przebaczenie...

— Rozumiesz? — pytał brata co chwila Strażnik Koronny.

— Rozumiem! — odpowiadał ten z rozgorzałymi oczyma.

Bił okutą rękawicą po miedzianych nagolennikach i wąsy ręką od czasu do czasu pokręcał.

— Och, mądry! Okrutnie mądry jesteś, bracie! Aby się tylko udało!

— Musi się udać! Każdy krok przewidziany! Co zrobią? Czy nie są zupełnie w naszej mocy?

— Ależ są, o ile nie drapną!

— Bądź spokojny — nie drapną!

— Szczęśliwyś! Królowa bardzo piękna... Prawdziwy kwiat!

Tatura uśmiechnął się dumnie i również wąsa pogładził. Poczem zacni braciszczkowie uściskali się i rozstali niezwłocznie.

Młodszy udał się do strażnicy oraz koszar wojskowych, starszy poszedł pisać rozkazy i powiadomienia do swojej komnaty. Przez otwarte okno widział rój panien, przechadzających się z młodzieńcami po alejach ogrodu, a wśród nich śliczną, jak kwiat, wyniosłą, jak palma, królową.

Nazajutrz zrana obudził Króla hałas, szcęk oręża, krzyki. Siadł na łożu, wysoko zasłanem, odsunął ręką złotem dzierzganą zasłonę i nasłuchiwał. Zgiełk wzrastał, więc już chciał wezwać pokojowego, żeby się zapytać, gdy ten sam wpadł do komnaty błady, zmieszany, a widząc, że Król już nie śpi, padł na kolana na stopnie łożnicy.

— Miłościwy Panie! Bunt!...

— Jaki bunt? Ubieraj mię! — rozkazał Król, czując, że zbliża się ważna chwila i zbierając resztkę sił i zimnej krwi.

O nic już nie pytał sługi i nie zdradzał zbytniego pośpiechu, ale spoglądał od czasu do czasu w okno, skąd dobiegały go wśród wrzawy oderwane okrzyki.

— Niech żyje nasz Pan! Niech żyje Wielki Strażnik Królewski Tatura!... Nie chcemy ginąć!... Królowna... Królowna!... Wołać Króla... Chcemy widzieć Króla!

W przyległej sali zatupotały wreszcie nogi, zaszemrały głosy i przez otwarte drzwi wtoczyła się przedewszystkiem nawpół ubrana, owinięta w jakiś płaszcz jedwabny Królowa, za nią również nieubrane i wystraszone niewiasty. Widząc męża, spokojnie rozczesującego brodę, Królowa podniosła ze zgrozą pulchne ramiona:

— Ty zajmujesz się swoją urodą, a tam żołdactwo już wdziera się na schody!

— Ach, ach!... — wołały damy. — Oni już... tutaj idą!...

— Czegóż chcą?

— Mówiłam ci: dawno już należało ustąpić! Chcą,



żebyś oddał Taturze królową i w ten sposób ocalił państwo i siebie!

— Zapominasz, żeśmy uradzili inaczej... Sama mówiłaś, że nigdy...

— Ale zmieniłam zdanie, gdyż inaczej nie można!

— Ach, ach, już są! — wołały damy i, zakrywając oczy rękami, otoczyły Królową.

Mnogie ciężkie kroki zadudniły na schodach, zachrząsały u podwoi oręża. Król zmarszczył brwi.

— Idź, powiedz im, żeby zeszli do przedsionka, że przyjdę tam zaraz! Jednocześnie znaleźć i przyprowadź mi Taturę!

— Strażnik Koronny wyjechał dziś w nocy z hufcem rycerzy! Niema go! — odpowiedział dworzanin.

— Dokąd wyjechał?

— Niewiadomo!

— W takim razie... niech zaczekają! — odrzekł z namysłem Król.

Nieza długo potem, stojąc na stopniach przedsionka, przyjmował starszyznę wojskową. Cały dziedziniec aż po bramę wjazdową zalegał ciemny tłum wojowników, jeżyły się nad nim dzidy, błyskały miecze i habardy, chwiałały się na szyszakach białe, czarne i purpurowe kity z piór oraz końskiej grzywy. Wszyscy w skupieniu czekali końca królewskiej rozmowy. Poza Królem w pewnej odległości stała Królowa, królewicz i dwór; z góry ze swego balkonu, spowitego różami, przyglądała się im królowna. Wiedziała, że o nią chodzi, i smutne oczy od czasu do czasu wznosiła i zapuszczała za mury w dalekie mgliste widokregi.

— Więc życzyście sobie, żeby wódz wasz, Wielki Strażnik Koronny Tatura, za żonę pojął moją córkę, królowną Zofję? czy tak? — spytał Król ostrym głosem.

— Tak! tak!... Chcemy! — potoczyło się głuchym grzmotem po tłumach.

— Ale Tatury niema! Pojmujecie, że tej sprawy nie można zaocznie załatwiać.

— Mój brat napewno się zgodzi! — odpowiedział młodszy Tatura, kryjący się w ostatnich szeregach wojskowej starszyny.

— Tak, tak! Tatura! Niech żyje Tatura!... Niech żyje Królowna-zbawczyni!... Musi się zgodzić Tatura! Władca Północy i Południa idzie wprost na zamek! Wojska niema... nas mała garść! Co poczyniemy wobec takiej potęgi? Zginiemy bez śladu my i żony i dzieci nasze!... Gdzie przejdą barbarzyńcy, nie zostaje nic prócz dymu i popiołu! Używają czarów, przeciw którym nic nie pomoże prócz czarów... Gwiazdziarz gadał, że gwiazdy... Innej rady niema! — zawrzało znowu wśród wojska.

Król czekał, aż się uciszy, poczem skinął głową.

— Dobrze!... Stanie się, jak tego wymaga bezpieczeństwo państwa i wasze! Wracajcie do koszar i na strażnice!

— Niech żyje Król! Niech żyje Królowna, wybawicielka nasza! Niech żyje pan nasz, Wielki Tatura!... — wrzasnęła część tłumów, ale reszta rozchodziła się w milczeniu, widocznie oszołomiona zbyt łatwym zwycięstwem.

— Należało żądać jeszcze zdwojenia żołdu — ga-

dali, zbierając się w małe gromadki. Ale Goleń i młodszy Tatura kazali dziesiętnikom rozpędzać skupionych i prowadzić zaraz do koszar.

Wieczorem przemknęła się cichutko królowna do sypialni ojca.

— Cóż będzie, ojcze? — spytała.

— A nic, będziemy zwlekać. Zobaczymy, co nam Bączuś przyniesie. Na porozumienie się z Władcą Północy i Południa zawsze dość mamy czasu. Tatury na szczęście niema, wyjechał!

— Wróci, ojczulku, wróci! To wybieg! — wyszeptała królowna.

— Myślę, że nie. Myślę, że on na swoją rękę pojechał umawiać się z najezdcami...

— Jak udzielný monarcha! — uśmiechnęła się królowna.

Król w milczeniu głowę opuścił.

— Czyby nie można dowiedzieć się od Dydki, jak to się stało? Przecież on dotychczas nie był naszym wrogiem i łask tyle od ciebie, ojcze, doświadczył...

— Stary dudek zupełnie widać zmądry postradał! Bredzi ni w pięć ni w dziewięć, bełkoce nazwy gwiazd i płacze!

— Niechby odwołał swoją nieszczęśliwą przepowiednię! Gdyby się w dodatku udało dowieść, że to wszystko wybieg, fałszerstwo... Niepodobna, aby wśród wojska i dworzan nie było ludzi uczciwych, którychby to nie oburzyło!? Poszukamy ich, ojcze! Dobrze?

— Rób, córko, jak uważasz! O ciebie chodzi... Ja i matka starzy jesteśmy... niewiele nam się należy...

A zresztą mam już tego dość! Wątpię wszakże, żeby ci się udało... Tatura takim strachem wszystkich przejmuję, że nawet uczciwi nie odważą się na nic!... I nic, nic z tego nie będzie, jeżeli Bączuś nie przywiedzie w porę odsieczu... Ale i tam na kresach ma Tatura napewno swych popleczników, a na przeciwników rozstawił dawno sieci... On swe zamysły pewnie już lata knuje!

— Ojczy, niech ojciec jutro każe sprawić ucztę na dworze!

— Co?... Ucztę? Matka chora, ja ledwie żyję... Jaka uczta? Wszyscy powarzeni i smutni!

— Właśnie dlatego, ojczy! Żeby dodać ducha, żeby było znowu wesoło! Wszak to moje ostatnie dni dziewczęce! A może... ja też knuję zamysł!... Proszę cię, ojczy, zgódź się! Proszę cię bardzo!

Pochyliła się i objęła Króla w pół ciała, śliczne czoło mu na piersiach oparła.

Król spoglądał na ciemną, przetowłosą jej główkę i uśmiechał się dobrotliwie oraz żałośnie.

— A no, niech będzie, jak chcesz! Ale obiecaj mi, że bez mego przyzwolenia nic nie przedsięwzięmiesz!

— Rozumie się, ojczy, przecież tu o nas wszystkich chodzi. Zresztą ja nic sama jeszcze nie wiem. Zobaczę, pomyślę... Może się uda... a może nie... a wtedy... — śliczne usta jej drgnęły i stuliły się jak u płaczącego dziecka.

— Nic nie stracone, nic! Jeszcze Bączuś... Powinien niedługo choć znak jaki przysłać... A może Tatura dowiedział się, że ciągnie do zamku rycerstwo, i wyruszył na ich spotkanie, żeby ich przekupić, zma-

cić, pokłócić, a potem napaść na nich z nienacka...  
Wszystko z tym szatanem możliwe!

— Dowiemy się o wszystkim na uczcie... na uczcie, kochany Królu i Panie nasz! — odszepnęła królowna, całując rękę ojcowską.

Narzuciła ciemny płaszczyk z kapturkiem na głowę i wymknęła się tajnymi schodami astrologa na górę do siebie.

## XIX.

Zajaśniał pałac królewski od światła, jak za dawnych wesołych czasów. W przedsionku, w ogromnej sali rycerskiej płonęły u ścian pod okapami dymników smolne pochodnie, gorzały wielkie lampy olejne, zawieszane u sklepień w barwnych baniach szklanych. Zastawiano długie stoły do uczy. Kręciła się służba, roznosząc dzbany, misy, puhary. W cieniu widać było małe gromadki rycerzy i dworzan, rozmawiających ze sobą pocichu.

Wszystek gwar i wszystka jasność skupiały się tymczasem w sali głównej. Tysiące grubych świec woskowych jarzyło się wzdłuż strzelistych kolumn. Na wysokiej galerji grała muzyka, a różnobarwny tłum kobiet i mężczyzn płaśał na dole po gładkiej posadzce.

Dużo tu było urodziwych młodzieńców i panien. Świetne stroje, kolorowe kaftany, wstęgi, hafty, narzutki, pióra, perły, naszyjniki z drogich kamieni, złote i srebrne zapięcia, gdziegdzie zbroje błyszczące, wszystko przesnute niby mgłą przejrzystymi,

powiewnemi sukniami kobiet, przelewało się z końca w koniec po sali, pędzone, niby wietrzykiem, głosem słodkiej muzyki.

A ponad wszystko górowała ochotą i urodą królowna, cała ubrana biało i srebrno z ponsową jeno różą na piersiach. Oczy wszystkich goniły za nią, a na kogo padł uśmiech jej i spojrzenie, robiło mu się błogo na sercu, jakby musnął go ciepły promyk słońca.

— Widać, że zaloty mego brata nie są już tak wstrętne ni dla Króla Jegomości, ani nawet dla Królowny, skoro może się tak bawić! — mruknął młodszy Tatura do otaczającej go starszyny wojskowej.

— Albo to nasz pan nie wspaniały mężczyzna, nie znakomity rycerz i dostojnik, nie pan nad pany, nie pierwszy w królestwie mocarz i bogacz?! Czegóż to mu brak!? — podchwycił głośno Goleń.

— Rozumie się! — przywótzili inni. — A jacy to teraz wszyscy dla nas grzeczni!

— Podchodzą, kłaniają się, uśmiechają!

— Pytają o zdrowie, częstują!

— Przedtem to nas nie widzieli!

— Dopiero kiedy bieda, kiedy z wrogiem walczyć i krew przelewać, to przypomnieli nas sobie!... — robili uwagi setnicy i tysięcznicy oddziałów w posrebrzanych hełmach i pancierzach, kiwając głowami na pokojowych dworzan, którzy co chwila podchodzili do nich i próbowali zawiązać z nimi rozmowę.

Jeden tylko z setników, młodziuchny, smukły wojownik, nie wtrącał się do rozmów i nawet pytany

nie odpowiadał towarzyszom, jakby ich nie słyszał. Urzeczone oczy jego szły wciąż za królowną, gasły jak przysute chmurą gwiazdy, kiedy ona znikiała, i rozbłyskały, gdy się zbliżała. Aż towarzysze zaczęli się z niego wyśmiewać:

— Hej, Czarnolas, strzeż się!... Żołd ci przestaną wypłacać, będą pokazywać ino zdaleka królownę i dosyć!

— Zobaczycie: on się jeszcze w tan puści, aby się jej przypodobać...

— Co to, to nie! Skacze jak niedźwiedź!...

Wtem umilkli, gdyż w pobliżu znalazła się królowna i szła wprost ku nim, prowadzona przez wystrojonego jak lala dworaka.

— Kto to jest? — spytała cicho, wskazując na rumieniącego się jak wiśnia pod jej wzrokiem Czarnolasa.

— Jeden z setników zamkowych. Chłopiec niezgorszy, ale...

— Właśnie jego wybieram! Rycerzu, — zwróciła się z czarującym uśmiechem do Czarnolasa — chcę cię prosić, abyś został na czas jakiś... moim przewodnikiem. Zabawa daje nam, kobietom, przez krótką chwilę... prawo wyboru!

Czarnolas poblądł i zrobił ruch, jakby się chciał schować za towarzyszy, ale ci rozstąpili się właśnie i zmieszany rycerz znalazł się tuż naprzeciw cudnego zjawiska.

— Według rozkazu! — mruczał, posuwając się naprzód ze spuszczoną głową.

W tej chwili twardej ręki jego dotknęła mała, ciepła rączka i srebrny rozśmiany głosik zaszeptał:  
— Odwagi, rycerzu!... Doprawdy nie jestem znów tak straszna!

— Nie umiem płaszać! Wasza księżęca Mość wybaczy!

— Nic trudnego! Proszę iść posuwać i słuchać rozmiaru muzyki, który wskazywać będę naciskaniem ręki!

I popłynęła, lekka i śpiewna w swych ruchach jak pogłos na wiosennych rozłogach. Ciężko sunął za nią wojownik, ale z wolna ożywał się, nabierał wprawy i otuchy, gdyż płas podobny był trochę do wiejskich korowodów.

— A skąd jesteś, rycerzu?

— Zdała. Z leśnych okolic. Od Wilczej Granicy jestem...

— To ciekawe!

— Kraj dziki. Mieszkańcy wciąż muszą walczyć ze zwierzem i nieprzyjaciółmi, z rozmaitemi drapieżnikami... Nie mają ogłady i wiedzy, nie znają wygód, mieszkają w prostych izbach drewnianych, używają naczyń glinianych, a broń mają kamienną oraz kościaną. Jedynie najzamożniejsi posiadają miecze i zbroje bronzowe albo żelazne, zdobyte u Wilków... Zato serca mają szczerze i wierne! — dodał cicho.

— Zawróć, rycerzu, zawróć i obróć mną dokoła siebie! Tego wymaga układ płasów! Widzisz, wszyscy to robią! — przerwała mu królowna.

Znowu Czarnolas stanął zmieszany i bezradny, wydało mu się, że wszyscy nań patrzą, że wszyscy z nie-



go się śmieją. Na domiar królowna oparła mu dłoń na ramieniu i znalazła się tak blisko, że rycerz zupełnie stracił głowę. Ślicznej kibici królowny dotknął ostrożnie, jakby to był kruchy kwiat lilji, poczem zrobił na lewo wtył jak na mustrze. Białe obłok opłynął dokoła niego, a powłóczysty ogon sukni oplątał mu nogi... Wylekły zrobił krok naprzód, aby się wyswobodzić, lecz w tej chwili rozległ się cichy trzask rozdieranej tkaniny, królowna z lekka przysiadła i powiedziała śmiejącym się głosem:

— Nic!... nic!... odprowadź mię, rycerzu, w tamten kąć sali!...

Panny i panie dworskie biegły już ku niej z zafrasowanymi minami, ale zatrzymała je skinieniem ręki.

— Więc mówisz, rycerzu, że serca w waszych okolicach są szczerze i wierne? — zapytała znowu królowna, obchodząc ogromną salę wsparta na ramieniu Czarnolasa.

— O tak, Wasza Książęca Mość!

— Dlaczego więc zmuszacie mię... wychodzić za mąż... wbrew woli?

— Wbrew woli! Nie wiedziałem! My, żołnierze, nie znamy się na tem!...

— Jednakże krzyczeliście na dziedzińcu, żądaliście tego od ojca!

— Gwiazdy tego chciały! — Tak mówiono...

— Gwiazdy? Wasz Tatura jest niecnym kłamcą! Kazał astrologowi tak gadać, aby podburzyć na Króla ciemny tłum! Ja nie chcę go... Powiedz, rycerzu, czy gotów jesteś mi służyć i pomóc mi wybawić się z tych sideł... Ja nie chcę go... On wstrętny, stary,

obrzydliwy, on żołnierza kazał powiesić przed memi oknami...

Czarnolas milczał ze spuszczoną głową i pragnął jedynie, aby co rychlej skończyła się ta jego wspólna wędrówka z cudną dziewczyną. Ale nie śmiał przyspieszyć kroku, a królowa ociągała się widocznie.

— Wielki Strażnik Koronny jest nie tylko moim wodzem ale i panem. Ojciec mój siedzi lennem na jego ziemi... Obowiązany jestem za to służyć mu wiernie... Jeżeli pan źle czyni, to na to jest Król, żeby go sądził, a nie biedny wasal!

— Dobrze! — rzekła smutno królowa. — Więc przynajmniej... nie zdradz mię! Nie mów nikomu...

Puściła jego rękę, gdyż już stali przed drzwiami komnaty, z której głębi wybiegły zaraz panny i panie służebne i powiodły królową dalej, poglądając z ubolewaniem to na rozdarty ogon cennej sukni, to na ciemnego od zbroi i smutku rycerza.

— Odeszła, nie spojrzawszy na mnie! — pomyślał z bólem Czarnolas.

Tymczasem już go otoczyli dworzanie i rycerze, winszując mu powodzenia i wychwalając złośliwie zręczność.

— Po dwu, trzech próbach będziecie tańczyli jak motyl!

— W tak ciężkich butach i bojowym rynsztunku plasać sztuka niezmierna!... Jaby, wyznaje, nie potrafił!

— Należy co rychlej zamówić sobie dworskie ubranie.

— O czem to rozmawialiście tak żarliwie z królowną... — wypytywał na stronie nieco podejrzliwie młodszy Tatura.

— Pytała się o mój kraj, o lasy, o ich mieszkańców... O moją rodzinę!

— Oho, oho!... Daleko zajedziesz, chłopcze! Nie bądź tylko głupi!

— Nietyle może daleko, co wysoko!... — szepnął znacząco Goleń. — Naszemu panu starczy dla wszystkich postronków. Pamiętaj chłopcze, że nasz Pan nie żałuje złota, ale ma i... postronki!

Tępy ból w piersiach Czarnolasa rozrastał się i robił dlań pobyt wśród tych ludzi nieznośnym. Niepostrzeżenie wymknął się młodzieniec z sali, a następnie z pałacu i wracał do siebie, do małego ciemnego pokoiku w koszarach. Przechodząc, zajrzał do wielkiej wspólnej sypialni żołnierskiej. Było tam ciemno; na ziemi leżały pokotem ciemne postacie wojowników, przykrytych płaszczami. Stojąca pod ścianami rzędem broń połyskiwała niewyraźnie w półmroku, ledwie roznieconym lichym kagańcem olejnym, palącym się w kącie. Przy nim dwu z warty grało w kości.

Gdy Czarnolas wchodził do swego mieszkania, dobiegły go zdala dźwięki trąb i hałas spuszczanego mostu. — To dostojny Strażnik Koronny wracał do zamku. Chłopak poczuł coś jakby pchnięcie zimnego sztyletu w obolałe serce. Przypomniał sobie nagle ledwie dostrzegalny bolesny skurcz ust królowny, gdy mówiła mu żartobliwie o „prawie wolnego wyboru“, i głos jej cichy, srebrny i przejmujący zaszeptał mu

znowu: „dlaczego... zmuszacie mnie... wychodzić  
wbrew... woli... Ja go nie chcę... on wstrętny...  
on żołnierza kazał powiesić przed memi oknami...”

„... Starczy... postronka... dla wszystkich!” —  
syknął nagle wężowy głos Golenia.

Czarnolas drgnął i obejrzał się, ale był sam; zimny  
dreszcz przebiegł mu wzdłuż grzbietu, pośpiesznie  
spuścił matę na otwór wejścia i rzucił się na posłanie  
ze skóry wołowej.

## XX.

Nazajutrz miał Król długą rozmowę ze swoim  
Wielkim Strażnikiem, po której zamknął się w kom-  
natach i nikogo nie chciał do siebie dopuścić.

Królowna zrozumiała, że wieści są niepomyślne,  
że sprawa zły bierze obrót, w alejach ogrodu odszu-  
kała samotnie spacerującego brata i wzięła go pod  
rękę.

— Słuchaj, Janku, czy ty zastanawiałeś się nad  
tem, co się dokoła nas dzieje!?

— Zawsze się dzieje to samo: zawiście, kłótnie,  
ścieranie się pychy, nienawiści i chciwości... niena-  
syconej chciwości! Ach, mam dość tego wszystkiego!  
Nie zmuszaj mnie o tem myśleć!...

— Cóż zrobić, bracie! My musimy jednak żyć  
z tymi ludźmi i w tych nieszczęśliwych warunkach...

Królewicz westchnął.

— Istotnie... nieszczęsnych!... Niech więc tego  
nieszczęścia będzie jak najmniej... Nie chcę się do  
tego wtrącać, nie chcę nieść za to odpowiedzialności!

— Chyba nie zdajesz sprawy sobie, o co chodzi!

— powiedziała gorąco królowna. — Nas chcą wydziedziczyć, nam chcą wydrzeć to, co wyroki losu i wola narodu w nasze ręce...

— Nie rozumiem, w jaki sposób można wydrzeć komukolwiek to co mu się należy... Bo, albo wyroki losu i wola narodu nie pozwolą nam tego wyrwać, albo posiadamy to niesłusznie, przez nieporozumienie...

— Ależ, bracie, ty nie wiesz, jakich sztuczek używają źli ludzie w celu wywłaszczenia nas... Jest to gwałt, prosty, zwykły gwałt i wybieg... Nie widzę, dlaczego mamy pozwalać wyzuć się z władzy i mieńia innym, tembardziej, że to są ludzie od nas gorsi, zbrodniarze... Ten Tatura naprzykład żąda teraz ni-by pół królestwa jako moje wiano, ale w istocie on dąży do zupełnego wyzucia Ciebie z tronu... Ja zostanę jego ślubną niewolnicą, to jasne... Po śmierci rodziców niewiadomo, co z nami zrobi... Wszystkich on oplątał, otumaniał, otoczył sieciami swych zdradliwych pomysłów!

Zaczęła opowiadać szczegółowo bratu o zabiegach Tatury, o chytre, obliczonem z dawien dawna dążeniu jego do władzy, do bogactw i wkońcu korony... Opowiedziała mu o wybiegu z przepowiednią astrologa, o buncie wojska...

— Lecz cóż mamy czynić, co czynić, jeżeli człowiek ten wszystko przewidział, wszystko obliczył i zapobiegł wszystkiemu? Albo on jest tak mądry, że walka z nim niemożliwa, albo wypadki obrócą się wreszcie same przeciwko niemu! — spokojnie rozważał królewicz.

— Bracie, bracie!... Nic się nie dzieje samo! W rzeczach ludzkich wszystko się staje przez człowieka... Bądź więc człowiekiem!... Jeżeli nie chcesz swej i mej zguby, mej rychłej śmierci, bo ja nie chcę być żoną tego nicponia... pomóż mi... Chodzi o to, żebyś niepostrzeżenie doręczył... pismo... wojownikowi zamkowej załogi, Czarnolasowi... pismo przygotuję niedługo... Idą już... Milcz! pamiętaj! — kończyła pośpiesznie, gdyż jeden z ochmistrzów królewicza, dawno już rozglądający się po ogrodzie, spostrzegł ich nareszcie i skierował skwapliwie w tę stronę. Gawędząca opodal z panami młodzież również gromadą podążyła ku królewicom. Królewicz nie mógł ukryć swego wzruszenia, tkliwa prośba siostry zapadła mu w serce ciężkim kamieniem, a jednocześnie nie wiedział, jak ją spełnić. Szereg kłamstw, wykrętów, wybiegów, koniecznych dla osiągnięcia nawet tego błahego celu, napętniał go wstrętem.

Milczał zaszępiiony, choć ochmistrz kilkakroć ostrożnie próbował wybadać go o treść rozmowy z siostrą. Nie odpowiadał również na żarty równieśników i ich zaproszenia do gry w piłkę, albo do wyprawy łodziami na stawy zamkowe.

— Zachmurzyło się nasze słońce złote!... — śpiewali pochlebniemi, miękiemi głosami.

Królewicz rad byłby uciec od tych głosów i spojrzeń, pełnych udanej troski, gdyż wiedział, iż nawet ci, co go szczerze lubili, opuściliby go w chwili stanowczej, gdyż strach przed Taturą pozbawiał ich wszelkiej woli, był silniejszy nad wszystko...

Czas płynął — płynął czas!

Płynęło życie koleją, wytkniętą, zdało się, raz na zawsze żelazną ręką Wielkiego Strażnika.

Jedynie okoliczność, że dworzanie szeptali ciszej, chodzili ostrożniej, wskazywała, że ważą się i gotują jakieś zmiany i niezwykle zdarzenia. Król nie pokazywał się, Królowa zamknęła się w swojej kryształowej klatce, królownę można było widzieć tylko na wysokim balkonie.

Zwarzony królewicz wałęsał się po pokojach i ogrodzie w towarzystwie nieodstępnych ochmistrzów. Nigdy mu jeszcze tak nie ciążyła ich obecność.

Tymczasem z zewnątrz gęsto przylatywali gońce, grały tajemniczo trąby przed zwodzonym mostem, tętniały kopyta i zakurzeni rycerze zsiadali z koni pod potężnymi sklepieniami bramy. Prowadzono ich natychmiast na górę, na posłuchanie do Wielkiego Strażnika, który wysłuchiwał ich osobiście w cztery oczy, poczem kazał im wyjeżdżać niezwłocznie.

Król dowiadywał się z tych nowin jedynie to, co mu powiedzieć raczył Tatura. Ale do dworzan i wojska przesiąkało i coś więcej, i rozchodziło się po zamku w kształcie mętnych pogłosek, plotek i domysłów.

— Powiadają, że rycerze Błękitny, Biały i Purpurowy przyłączyli się do wrogów i ciągną na zamek...

— Są już niedaleko, a z nimi... Wilk Żelazny!

— Wilk Żelazny? Rzecz niesłychana!

— Wręcz przeciwnie!... Słyszałem, że rycerze idą na odsiecz Królowi, a z nimi część pospolitego ruszenia i chłopstwa!

— Tacy sprzymierzeńcy nielepsi od hordy najezd-  
ców!

— Cóż znowu? Skądże takie porównanie!?

— Odbiorą nam ziemię! Byłem młody, ale pamię-  
tam dobrze wojnę chłopską... Od tego czasu zaczął  
się upadek państwa.

— A może znowu chłopci pobiją się z Wilkami, jak  
wtedy? Bądź-co-bądź, oni są naszymi braćmi i wolę,  
żeby oni objęli dziedzictwo nasze, niż cudzo-  
ziemcy!

— A cóż będzie z królowną?

— Wesele pewnie zostanie odłożone... Nie ma na  
to Wielki Strażnik czasu!

— A może wcale go nie będzie!?!... Tatura się coś  
nie śpieszy!

Gawędzili po kątach dworzanie, wojskowi, panie,  
panowie, służba. Nawet młodzież mocno była zajęta  
wojną i losem królowny.

Ale trwało to niedługo. Pewnego wieczora wezwał  
Król do siebie królownę.

— Córko moja! Dziewczyno kochana, musisz iść  
za niego! Nic nie poradzę!... Jest to człowiek srogi  
i nieustępliwy! Grozi nam buntem żołnierzy i napo-  
myka nawet na możliwość rzezi! Doprawdy nie wiem,  
dlaczego tego nie robi, co go wstrzymuje!?

— Pewnie boi się oburzenia rycerstwa i całego  
narodu. Władza jego nietrwała, wczorajsza, istnieje  
tylko przez ciebie, ojczule!... W twojem imieniu!...

— Właśnie, właśnie! Zapewne! Ale widziałas sama,  
co mogę!...

Królowna spojrzała na ojca żałośnie.



— A czyżby... nie można... zwlec jeszcze trochę? Może Bączus... nareszcie przyprowdzi... odsiecz?...

— Nie słyhać o nim! Przeciwnie, ci rycerze i wojewodowie, na których liczyłem, przeszli na stronę Rondla i poddali się Władcy Północy i Południa. W ten sposób zachowali swe włości... Mówił mi to Tatura... Wyliczał wszystkich... Zamków im nie popalono!... Niema rady, córko, niema!...

Królowna zwiesiła głowę.

— Pozwól, ojcze — szepnęła. — Jeszcze parę dni! Spróbuję co innego!...

— Więc dobrze! Niech będzie... jeszcze dwa dni, choć Tatura na to się wścieknie!... On żądał, żeby ślub był jutro!

Królowna drgnęła.

— Nie, nigdy!... Dwa dni... ojcze, dwa dni!...

Odeszła zgnębiona, przejęta odrazą do samej siebie, jak gdyby tem jej ślicznem ciałem, temi rękami wytoczonymi z marmuru, tą smukłą szyją, jak kielich lilji tą jej głowę, kształtną jak pąk czarnej róży, temi oczami, jasnymi jak gwiazdy, już zawładnął jakiś obrzydliwy potwór, owinał je zimnemi skrętami, splugawił, obrzydził...

— Zostanę jego wieczną niewolnicą, będzie śledził chytrze każdy mój krok, każde słowo, każdą myśl!... Nie chcę, nie chcę!...

Wyprostowała się i spojrzała z pietra w dół schodów do przedsionka, gdzie rycerze z pałacowej straży grali w kości i gawędzili, popijając wino.

— Czy Wasza książećca Mość życzy sobie kogo zo-

haczyć? — spytała słodziuchno jedna z dam dworskich, zbliżając się z ukłonem.

— Nikogo, nikogo nie potrzebuję! proszę mię zostawić w spokoju!

Pobiegła na górę i, zamknawszy się w swoim pokoju, napisała słów kilka do Bączusia. Opowiedziała pokrótce przebieg wypadków, bunt żołnierzy, groźby Tatury, żądanie jej ręki i połowy państwa na wiano...

„... Sam weźmie pół, połowę oddać zamierza Władcy Północy i Południa... Co więc uczyni z rodzicami i bratem — niewiadomo. Pośpieszajcie, gdyż każda godzina ma znaczenie!... Uratujcie mię, och, uratujcie, gdyż czuję, że umrę — nienawidzę go, brzydzę się nim, boję się go i gardzę nim!... Przybywajcie!“

Podpisała, zawinęła w drugi papier i zapieczętowała własną pieczęcią na wosku. Poczem narzuciła ciemny płaszcz, ostrożnie przemknęła się na dół i poszła szukać brata. Udało się jej w zmroku szczęśliwie ominąć wszystkie honorowe stráže, wszystkie służebne i dworaków. Ale brata w pokoju nie zastała, a pytać się, gdzie jest, nie chciała. Zostawiła mu więc tylko karteczkę, że czeka na niego w ogrodzie, przy „klombie zdradzieckim“ — tak nazywali miejsce, gdzie w swoim czasie złapano ich z ogrodniczką.

Było ciemno i chmurno, kropił deszcz. Królowna przytuliła się do drzewa i utkwiała oczy w przeblask alei, skąd przypuszczała, że przyjdzie brat. Nigdy jeszcze nie była sama w nocy w ogrodzie i serce jej biło niespokojnie. Porywy wiatru rwały garściami

odurzające zapachy z kwietników i rzucały je wraz z rosą deszczową w zmartwiałe oblicze królowny. Gałęzie szumiały nad nią porywczo, przeszkadzając skupiać myśli trwożne. Niecierpliwie liczyła chwile, wyteżała i wzrok i słuch, przejęta obawą, że odkryją w pałacu jej nieobecność, zaczęła szukać, uniemożliwia widzenie się z bratem.

— Wtedy... co?

Wszystko w niej stygło z bólu, gdyż ostatnia wtedy ginęła nadzieja!

Ogarnęła więc ją radość niezmierna, gdy w przeczuciu alei dostrzegła niedaleko ciemną postać mężczyzny w płaszczu. Zatrzymał się i, obróciwszy w stronę pałacu, zdawał się patrzeć na oświetlone okna jej pokoju. Podeszła więc ostrożnie ku niemu i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Jasiu, tutaj jestem!

Mężczyzna odskoczył i rękę opuścił na rękojeść miecza.

— Kto tu? — spytał głucho.

Królowna zlodowaciała — to nie był królewicz. Zapanowała jednak nad przerażeniem i spytała rozkazująco:

— A kto ty jesteś, rycerzu? I co tu robisz? Czy nie wiesz, że ta część ogrodu wzbroniona dla osób, nie należących do rodziny królewskiej?

Poznał ją, oręż z ręki wypuścił i głowę pochylił:

— Czegóż nie odpowiadasz? Nie lękaj się! Nie zdradzę cię... Powiedz tylko, kto jesteś i czego tu szukasz?... — pytała głosem łagodnym.

Nieokreślona słodka nadzieja wstąpiła jej w serce.

— Jestem... Czarnolas... setnik załogi zamkowej... — wybąkał cichutko.

Ledwie mogła wstrzymać okrzyk radości.

— Ach pamiętam, pamiętam cię, rycerzu! Czegóż więc szukasz, może będę mogła ci dopomóc!?

Młodzieniec milczał i nie podnosił głowy.

— W takim razie powiem ci, że traf szczęśliwy chyba cię tu sprowadza... Mam wielką prośbę do ciebie... Chodzi o moje życie... Czy mogę ci ufać, rycerzu!?

— O tak, królewno, o tak!

— Oto tutaj jest pismo... Należy go doręczyć co prędzej wesołkowi Bączusiowi... On powinien się znajdować w województwach wschodnich. Może zresztą już przybył w okolice zamku... Niewiadomo... Trzeba się od chłopów dowiedzieć... Miał przywieść rycerzy Purpurowych, Białych i Błękitnych... Zginął jak kamień w wodę... Nic niewiadomo... Muszę mieć od niego znak jaki i odpowiedź, aby wiedzieć, czy mam umrzeć, czy opierać się? Czy więc zgodzisz się, rycerzu, pismo to doręczyć?...

Głos jej drżał, gdy mówiła, i drżała ręka rycerza, gdy list odbierał.

— Bądź pewną, królewno, że uczynię wszystko, co leży w mej mocy... Bez względu czy... bez względu na wszystko... — Głos mu się załamał.

— Liczę na ciebie, rycerzu! — Wyciągnęła doń rękę, a on złożył na niej lekki, miły pocałunek.

— Muszę iść! Już mię pewnie szukają!... Bywaj zdrów, szlachetny rycerzu!

Znikła, a Czarnolas długo stał, nie mogąc ovladnąć

wzruszeniem; wreszcie westchnął, schował pismo w zanadrze i ruszył w głąb ogrodu, aby zdała ominąć straż pałacowe.

## XXI.

Dostojnicy i dworzanie nalegali na Króla; panie dworskie straszły Królową, a wszyscy nieznacznemi półsłówkami, powiedzeniami, spojrzeniami wciąż dawali królowie do poznania, że jej nierozamny upór wywoła ponownie straszny bunt żołnierzy, grabieże, pożary i mordy...

— Będiesz musiała ulec sile, więc lepiej zrób, czego żąda, dobrowolnie!... Zgódź się, córuś, zgódź!  
— prosiła z płaczem Królowa-matka.

Król nic nie mówił, ale był bardzo — bardzo przygnębiony. Biedaczysko nie mógł nawet szukać pociechy i wytchnienia wśród gwiazd, gdyż od czasu zdrady Dydka znienawidził jego teleskopy. Siedział więc samotny w swej bibliotece, albo błądził po alejach ogrodu, nasłuchując, czy czasem nie dojdzie go z za murów granie trąb przywiedzionych przez Bączusia stronników. Nic jednak słychać nie było za murami; natomiast tu i tam na dziedzińcach rozbrzmiewał chrapliwy głos Tatury, podobny do grzmotu.

Srogi Strażnik Koronny — czujny i czynny — był wszędzie, we wszystko wglądał, wszystko wiedział i ciążył nad wszystkimi, jak zmora.

Radość więc była powszechna, gdy nareszcie królowa ustąpiła i zgodziła się na zaręczyny.

— Może złagodnieje... smoczysko!... — szeptali po kątach dworzanie.

Istotnie, Tatura trochę się rozpogodził, mniej krążył po zamku, a częściej przesiadywał w sali bawialnej, gdzie królowna z towarzyszkami zabawiała się nieraz oglądaniem klejnotów i drogich ubiorów, szykowanych na wyprawę oraz zaręczynowe i weselne uroczystości. Tatura nalegał na pośpiech, gdyż mówił, że musi wyruszyć coprędzej z wojskiem na nieprzyjaciela. Ale królownie nie śpieszyło się wcale, owszem, coraz to znajdowała nowe przeszkody, nowe powody do zwłoki. I za każdym razem Tatura hucał w zamku, rzucał do lochu żołnierzy, karał za byle co dworzan. Co się stało z Czarnolasem, nie mogła się królowna dowiedzieć, gdyż nieporadny królewicz nie umiał się o to wypytać, jej zaś strzeżono teraz pilniej, niż kiedykolwiek. Dopiero w czasie obrzędu zaręczynowego, gdy, pod rękę z narzeczoną, miała przejść pod sklepieniem skrzyżowanych rycerskich mieczy, spostrzegła wśród wojowników Czarnolasą. Stał z ostrzem wzniesionem do góry, cały zakuty w blachy miedziane, jak brązowy nieruchomy posąg.

— Zdradził, nie poszedł, nie oddał... — pomyślała z bólem królowna. Spojrzała mu w twarz, chcąc, choć wzrokiem, wyrazić swą wzdrgę i wyrzut, ale spotkała się z takim pełnym smutku i przywiązania spojrzeniem, że serce jej się ścisnęło ze słodkiej udręki.

— Pewnie nie mógł! — pomyślała. — Biedny!... Cóż robić!... Zginęłam!

Zbielała jej twarzyczka naraz jak ta suknia, którą miała na sobie. Słuchała składanych życzeń, uśmiechała się, odpowiadała i robiła, co wymagały ob-rzędy, jak przez sen, nawpół nieprzytomna.

A Tatura, ubrany w pyszny, niemal królewski strój, kręcił dumnie wąsa i z góry spoglądał na groma-dzących się koło niego i mówiących mu pochlebstwa dworaków. Od czasu do czasu ostrym wzrokiem prze-szywał królownę.

— Czemuś niewesoła, królowno? . . . Powinnaś cie-szyć się, gdyż niebawem szczęście, jakie nas spotkało, siły nasze pomnoży i zwyciężymy napewno nieprzy-jaciela!

— Czyżby nie lepiej było już po zwycięstwie spra-wić wesele? — ostrożnie zapytała królowna.

Tatura zmarszczył brwi.

— O nie! Położenie państwa wymaga, abym wy-ruszył do walki już jako mąż Waszej książęcej Mości!

— W każdym razie wątpię, abym mogła tak rychło zebrać się z siłami i dostojnie wypełnić obrządki, przygotować wyprawę.

— Znajdziemy na to radę, zwołamy lekarzy i zna-chorów, spędzimy wszystkie szwaczki — odpowie-dział Tatura.

Płomienie gniewu zatliły się w czarnych oczach królowny; już miała obrzucić narzeczonego gradem wyrzutów, że ją traktuje jak niewolnicę, gdy na szczęście podszedł setnik od bramy wjazdowej i ci-chym głosem ją opowiadać Taturze nowiny. Straż-nik Koronny uprowadził go zaraz za sobą, do bocznej sali, a królownę obsta-piły towarzyszeki.

Ciężka była ta noc zaręczynowa dla królowej. Wróciła do swych pokoi zmęczona, rozbita. Źle spała, a we śnie dręczyły ją zmyły okropne i jakieś niezwykłe hałasy z zewnątrz. Gdy rano wyszła na ganek, aby oświeżyć cokolwiek ociężałą głowę i rozweselić oczy widokiem zalanych słońcem kwietników oraz ogrodowych alei, straszny widok uderzył ją w oczy: na murach na tem samem miejscu, gdzie ongi wisiał nieszczęśliwy żołnierz, znowu białł wisielec, zaczepiony o zębiec ściany. Tknięta straszliwem przecuciem, zbiegła tylnem zejściem do ogrodu i, nie zważając na nic, skierowała się ku murom.

Tak, to był on, Czarnolas!... Miał ranę w piersiach i ręce związane na plecach!...

— Umarł!... umarł!... — szeptała jak obłąkana.

Ziemia zawirowała pod nią i zdawało się jej, że leci w przepaść. Ale po krótkiej walce ze wzruszeniem otrząsnęła się:

— Nie, nie zobaczy mych łez i mojej słabości!

Wyprostowana, spokojnym krokiem wróciła do zamku, odrzuciwszy z twarzy zasłonę.

Już jej szukano; dworzanie i panny przyboczne rozbiegły się po parku; rychło spotkała ich całą gromadę.

— Król wzywa Waszą księżącą Mość! Czeka już dawno! — gadali jeden przez drugiego, patrząc okrągłemi z przerażenia oczami na bladą jak śmierć a wyniosłą jak władczyni dziewczynę.

W przedpokoju Króla spotkała Taturę czarnego od złości, z oczami gorejącemi jak dwie pochodnie. Minęła go, nawet nie raczywszy nań spojrzeć.



— Coś ty, nieszczęśliwa dziewczyno, zrobiła!...

— jęknął Król, spostrzegłszy córkę.

Siedział w fotelu, chory z przygnębienia, i trzymał w opuszczonej bezwładnie ręce zapisany zwitek pergaminu. Podał go królownie, poznała go odrazu, nie potrzebowała czytać.

— Chciałam, ojcze, ratować nas!

— Tak, a zamiast tego zgubiłaś nas ostatecznie... Ten niegodziwiec już żadnych sobie z nami ceremonij nie robi. Już nie prosi, a rozkazuje... Żąda, żeby ślub odbył się pojutrze!

— Nie mam wcale zamiaru wychodzić za niego!

— Co?...

Król spróbował wstać, ale siły go opuściły.

— Sama to mu powiedz! — szepnął złamanym głosem, — ja już nic nie mogę!

Klasnął w dłonie na służącego.

— Prosić Koronnego Strażnika!

Wszedł Tatura i stanął naprzeciw królowny.

— Dostojniku, córka nasza powiedziała nam przed chwilą, że nie ma wcale zamiaru wstępować obecnie w związki małżeńskie!

Tatura podniósł głowę i wyprostował się.

— Aha, coś nowego! Niech królowna sama raczy to powtórzyć!

— Tak, Wielki Strażniku królewski, nigdy nie zostanę twoją żoną!...

Przez mgnienie oka mierzyli się oczyma, królowna nie ustępowała.

— Nie mam zamiaru ani obowiązku zrzekać się swych praw, Wasza Królewska Mość! Wola narodu,

a co ważniejsza, wola wojska chce tego związku, który wczoraj wszak został już publicznie ogłoszony i zatwierdzony... Może mię królowna nie kochać, ale pójść za mnie musi, choćby siłą przyszło mi dobijać się tego...

Królowna zlekka odwróciła się od niego i, szepcąc, nachyliła do ojca.

— Więc to... taka, więc to taka nagroda!... Nie tylko, że tutaj spiskują z mymi wrogami, że ślą buntownicze wieści przez moich podkupionych żołnierzy... — wybuchnął wtedy rycerz.

— Milczeć! Jak śmiesz, oprawco, kalać imię swych ofiar!... — krzyknęła królowna.

Tatura nasepił się jak zwierzę, z pod nastroszonych wąsów błysnęły mu białe zęby.

— Dobrze!... Proszę się gotować do ślubu... za dwa dni... Za dwa dni! Niech Wasza Królewska Mość zabroni do tego czasu wychodzić królownie ze swoich pokoi; inaczej nie odpowiadam za spokój w zamku! Będę zmuszony postawić przy drzwiach warty!

Skłonił się nisko i wyszedł.

Królowna spojrzała pytająco na ojca. Siedział na fotelu blady, z głową bezwładnie odrzuconą w tył, z rękami spływającymi wzdłuż ciała.

— Wilk... Wilk żelazny!... — szepnął przez zacisnięte zęby.

— Co za wilk?

— Żelazny Wilk, któremu sprzedałem cię jeszcze w niemowlęctwie. Już raz o mało nas nie zgubił, potem nas zbawił, a teraz okazał się... Taturą! Pół człowiek — pół zwierzę!... Nic nie rozumiem!

— Więc jemu zaprzedałeś mię, ojcze? — spytała z bolesną ciekawością.

— Tak, zaprzedałem was oboje...

— I brata?

— I brata!...

Zaczął cichym głosem opowiadać całą historję. Wsparta główką o poręcz fotelu słuchała uważnie królowna, a gdy głos Królowi rwał się, gładziła pieścizotliwie dłonią jego wychudłe ręce.

— Nic z tego! — rzekła wkońcu stanowczo. — Nie będzie mię miał!...

— Cóż poczniesz? Jesteśmy zupełnie w jego mocy... Oplątał nas zdradliwie... chyba cud!...

— Nie będzie mię miał! — powtórzyła królowna, prostując się i wstrząsając główką.

Król patrzył na nią z zachwytem i bólem zarazem. Wtem zastukano do drzwi. Król zmarszczył brwi, ale zapytał:

— Kto tam?

— Ochmistrzyni... Głos-Puszczalska!

— Proszę wejść! Cóż znowu za sprawy tak ważne... Z dzieckiem spokojnie pogadać nie mogę!

— Przychodzę z rozkazu Waszej Królewskiej Mości, aby towarzyszyć Królownie do jej pokojów... Tak mi powiedział Jaśnie Wielmożny Wielki Strażnik Koronny.

Luna przeszła po królewskiej twarzy, próbował się podnieść i odpowiedzieć, ale królowna kiwnęła mu znacząco głową, poczem objęła serdecznie za szyję, przycisnęła się do piersi i wyszła dumnie, dawszy ręką znak zacnej damie, że może iść za nią.

Król patrzył, jak nikła w ciemnych podwojach, wysmukła, biała i wiotka, jak gałązka rozkwitłego bzu; strugi srebrnych łez potoczyły się nagle po jego policzkach i wsiąkły w zwichrzoną, siwą brodę.

## XXII.

Już minęło dwa dni, jak królowna została zamknięta w swoich pokojach. Podwoi strzegli dzień i noc dwaj uzbrojeni rycerze z najbliższego otoczenia Tatury. Nikt nie miał do królowny dostępu, prócz niezbędnej służby i ochmistrzyni Głos-Puszczalskiej, która zgodziła się dzielić więzienie ze swą dostojną wychowanką. Królowna nie znosiła jednak jej obecności i wołała przebywać sama w swojej sypialni. Co zaś do zbliżającego się wesela, to zdawało się, że pogodziła się ze swym losem; przynajmniej nie zdradzała niczem nazewnątrz ani swego żalu, ani zamierzonego oporu. Zachowywała się niezmiernie skromnie i spełniała w milczeniu wszystko, czego od niej żądano. W młodem jej sercu przelewała się jednak rozpacz i gorycz... Nikt, nikt nie ujął się za nią! A tylu było, tylu, co ubiegali się o jej uśmiech, szeptali jej pochlebstwa!...

Widziała ze swego balkonu, na który pozwolono jej wychodzić, jak przychodzą i odchodzą oddziały wojsk, jak przybywają rycerze i dostojnicy, jak krąży po dziedzińcach i ogrodzie służba pałacowa i dworzanie. Czasem któryś z nich podnosił ukradkiem głowę i spoglądał ku niej, lecz spuszczał oczy natychmiast i oglądał się wokoło trwożliwie, czy go

kto aby nie spostrzegł. Widziała, jak na wózkach i noszach zwożą do pałacu skrzynie, kwiaty, drogie naczynia, jak uwijają się w składach skarbowych stolnicy i szatnicy... Domyślała się, że robiono przygotowania do weselnych uroczystości i serce jej ścisnęło się wciąż z bólu, przerażenia i gniewu.

Widziała też parę razy ciemną figurę nienawistnego Tatury, jak zstępował ze schodów pałacowych w otoczeniu dworaków, dumny, groźny, samowładny.

Tegoż dnia odwiedziła ją matka.

— Ach, córko moja, tegom dożyła, że jesteś jak więzień! Nigdy nie przypuszczałam... Choć, co prawda, sama zawiniłaś... Poco było powierzać sprawy tak ważne młokosowi... jakiemuś tam setnikowi... Ach! ach! Los prześladowuje nas... Już od samego urodzenia miałam z tobą kłopot... Głos-Puszczalska, podaj mi, proszę, czystą chusteczkę, gdyż ta już mokra od łez... Wylałam już ich morze całe przez Was, moje dzieci...

— A ojciec czy zdrow? Co porabia? — spytała drżącym głosem królowna...

— Król?... Ach, Król uspokoił się również... Wszyscy uspokoił się, dowiedziawszy, że pogodziłaś się ze swym losem... Cóż robić, taka to już kolej rzeczy na świecie, że my, kobiety, musimy się dla wszystkich poświęcać. Bierz przykład ze mnie... Daj mi, Głos-Puszczalska, jeszcze jedną chusteczkę, bo i ta już mokra... Ach dzieci, dzieci, co wy nas kosztujecie! Jedyna pociecha, że wyprawa będzie wprost niezrównana! Jakie suknie, hafty, jedwabie, płótna cieniuchne, koronki... Jakie na-

szynki z drogich kamieni i pereł, zapięcia, kolczyki, manele... Sześć koni białych do kolasy i kolasa złocona... Wszystko niezwykle piękności, warte córy królewskiej. A wszystko przysłał Tatura w upominku weselnym... Widocznie chce zgody, bo sama pomyśl, co mógł uczynić ponad to, co zrobił... On sam był zmuszony... On mądrze nas i siebie zbawił... Wszystkim groził bunt załogi... On ostatnia nasza opora... A czemu się zaburzenia skończyły, niewiedomo... Musielibyśmy albo część załogi wyciąć, co osłabiłoby obronność zamku, albo żołdactwo zwyciężyłoby nas... Co wtedyby się stało, trudno przewidzieć... Należy przypuszczać, że zostałyby tylko gruzy i trupy... Nasby wymordowali wszystkich, a skarb zrabowali... Musiał więc Tatura udać srogość, musiał ciebie kazać uwięzić! Ale, w gruncie rzeczy, przecież źle ci się nie dzieje? Co? I do prawdy nie wiem, co ty masz przeciw Taturze? Dawniej, w dzieciństwie, lubiłaś go przecie?

— Nigdy go nie lubiłam! — ostro odrzekła królowa i spojrzała w oczy matce.

Królowa mrugnęła powiekami i spuściła je na dół.

— Żałuję bardzo... W takim razie... cóż robić? Nic ci poradzić nie mogę! — mruzczała niewyraźnie.

— Nic ci nie brak, nic... powiadasz?! W takim razie ja już pójdę, a ty jak będziesz czego potrzebowała, to poślij służbę... Tatura pozwolił.

— Już więc rozporządza mną jak swoją własnością! — rozśmiała się królowa.

— Ach, jaka ja jestem nieszczęśliwa!... — znów

wybuchnęła ze łzami Królowa i przyłożyła chusteczkę do oczu.

Królowna jednak nie kwapiła się ją pocieszać; opuściła więc niezadługo córkę, szeleszcząc długim ogonem jedwabnej sukni i zostawiając po sobie zapach drogich zamorskich pachnidłał.

Królowna objęła rękami drogi stół jaspisowy i przycisnęła rozpalone czoło do zimnego kamienia.

— Nie!... Nigdy, przenigdy! — szepnęła wreszcie, podnosząc głowę. — Ale co przedsięwziąć? Jak postąpić?

Wichura myśli, zmaconych wzruszeniem, omroczyła ją jak gorący podmuch burzy. Otworzyła drzwi na balkon i wyszła, aby się ochłodzić.

Jedyny to był kął, skąd mogła jeszcze spoglądać na wolny świat.

Tam wszędzie... poza nią i dookoła — dręczyciele! Sliczne, bogate komnaty pełne wystrojonych, uśmiechniętych fałszywców albo niedołęgów... Podwoi zaś strzegą szorstcy żołdacy w twardych zbrojach!...

Spuściła głowę i patrzyła w zadumie na znane kwietniki i gaje ogrodu, tonące w ciepłym wieczornym zmierzchu. W dali z poza drzew przeświecały potężne mury warowni, rubinowe od zorzy. Na nich gęste straże świeciły miedzią oręża jak ogniami. U posępnej bramy wjazdowej zwykły ruch; przeciągają oddziały wojskowe do pobliskich koszar, przybywają i odchodzą poczty rycerskie. Nowością było to, że znikła nareszcie okropna biała plamka, zwisająca na sznurze z zębicy muru, a natomiast pojawiły się

w ogrodzie ciemne figury wojowników, rozstawionych dwoma szeregami dookoła pałacu.

— O tak! Pilnują mię dobrze! Mało ich tutaj...

— pomyślała z goryczą.

I znowu, na krótko, rozpacz ścisnęła jej mężne serce, znowu mignęła jej w wyobraźni włochata, zwierzęca postać z białymi kłami, świecącymi w rozśmianych ustach.

— Mam cię, zjem cię!

— Przenigdy!... Lepiej zgniję w lochu! A może... a może... zjawi się nagle tamten rycerz, piękny i dobry, i wybawi mię!... Nie, nie!... Niema nadziei! Przecież to był on, tosamo obrzydliwe Żelazne Wilczysko. Przecież ojciec widział go wyraźnie i poznał obecnie! On mnie pewnie zbawił wtedy, żeby dziś sobie łatwiej przywłaszczyć... Nie chciał oddać innemu, bo za swoją własność uważał... Aha!... Ale dlaczego Tatura nie zgłosił się zaraz, jeżeli to był on? Tego nie rozumiem! Nic nie rozumiem, wiem tylko, że nikt mi nie pomoże, że jeżeli mu się oprę, do lochu mię zamkną, a potem powloką mię do niego za rękę żołnierze...

Krążyła coraz szybciej, coraz szybciej po swoim pokoju, niespokojnie przebiegała z kąta w kąt, jak uwięziona w klatce ptaszyna. Wreszcie zatrzymała się.

— Bracie! Jaśku drogi! Ratuń mię! Czyż i ty mię opuścisz?! Nie pomyślisz o mnie!?

Wsluchiwała się w ciszę nasiąkłego już nocą ogrodu, ale stamtąd dobiegały jeno stłumione, miarowe wołania straży.



— Warta!... Czujj!... War-taaa!...

Czarny pas murów zakrywał widnokrąg, a ponad niemi migwały jeno złociste gwiazdy.

— Uciec! Ujść!... Nic gorszego już się stać nie może!

Zastukano do drzwi, drgnęła i obróciła ku nim oszalałe z przerażenia oczy.

— Zapóźno, już idą!... Już zaraz powloką mię!

Milczała i podwoje rozwarły się bez jej rozkazu. Służba wniosła płonące świeczniki i sutą wieczerzę na srebrnych półmiskach.

— Najjaśniejsza Pani przysłała suknię ślubną. Każała ją tu rozłożyć, aby Wasza Księżęca Mość mogła ją dobrze obejrzeć i zrobić swoje uwagi... Jeszcze dziś w nocy krawcowe poprawią, co trzeba! — oznajmiła, przysiadając z niskim ukłonem, szatna.

Królowna odwróciła głowę.

— Zostawcie mię samą! — szepnęła.

Znowu cicho i pusto wokoło, jeno płoną potrzaskując grube woskowe świece, oraz ze srebrnych półmisków dymi się smaczny opar. A w sąsiedniej komnacie na stole bieleje rozłożona śliczna, srebrem tkana suknia. Królowna zerknęła na nią i oczu już oderwać nie mogła, wydała jej się jakimś strasznym grobowym całunem...

— Już! Więc już jutro! Ach, rycerzu! Gdzież jesteś, rycerzu? Zjaw się!... Wybawienia!... Przecież raz tylko życie nam dano... Skoro zginę, zgnieciona nogą tego okrutnika, już mię nigdy, nigdy nie znajdziesz! Darmo szukać będziesz, darmo tęsknić! Przeżyte nie wraca! Nie niknie... Życie nie zaczyna się nigdy od nowa... Rycerzu, rycerzu!

Zacząła znowu chodzić szybkim krokiem po komnacie i za każdym razem, gdy oczy jej dostrzegały przez otwarte drzwi łagodny, srebrzysty poblask cudnej sukni weselnej, mróz przejmował ją, jakby tam leżał lodowy grobowiec. Nareszcie zatrzymała się, wyprostowała i głowę uniosła. Na zmarszczonem czole zarysowało się zimne postanowienie i choć wszystko w niej wewnątrz dygotało z wzruszenia, zaczęła wolno i spokojnie wywlekać z kątów pokoju wszystko, co można było zamienić na sznury. Ręce jej dygotały, usta jej drgały, ale pracowała wytrwale. Podarła przez pół i poskręcała lniane prześcieradła, przywiązała do nich ręczniki, przywiązała taśmy i sznury od zasłon i same zasłony, również podarte i skręcone... Drzwi, już przedtem na zasuwę zaparte, zastawiła jeszcze krzesłami, zydlami i stołami, poczem uwiązała koniec skręconych sznurów do balkonu i siadła na balustradzie. Czarna przepaść otwarła się pod nią. Nie pozwoliła sobie ani o niej rozmyślać, ani zbytnio jej się przyglądać, aby nie stracić odwagi. Gdy zawisła w powietrzu, było jej przyjemnie, że ogarnęły ją sploty ukochanych róż. Choć kolce ich chwyciły ją za włosy, darły odzież i raniły ręce, ale zawsze nie była samą; kochane kwiaty pachniały wokoło i jak gdyby podtrzymywały w trudnej podróży. Nagle zabrakło ich, a następnie zabrakło i sznura. Czuła jego koniec na piersiach, podczas gdy nogi wisiały jeszcze w powietrzu. Widocznie był za krótki, a czy daleko ziemia — nie wiedziała. Opuściły ją siły, zrozumiała, że już do góry z powrotem dźwignąć się nie zdoła.

— Puszczę!... Niech będzie co chce!

Wyciągnęła ręce i otworzyła dłonie. Mignęły przed nią szkła okien i opadła na miękką ziemię. Było niewysoko i nie stłukła się wcale; natomiast przestraszyła się bardzo, czy aby odgłosu upadku nie usłyszały strażę.

Pozostała chwilę bez ruchu, przytulona do ziemi. Ale kroki i głosy chodzących opodal wojowników nie zbliżały się; wtedy popelzła na kolanach ku ciemniejącemu w pobliżu kwietnikowi. Wtem zadrzała i z trudem wstrzymała krzyk przerażenia: z za węgła wypłynęła ciemna postać, zupełnie podobna do nieszczęśliwego Czarnolasa. Zbliżała się ku niej z głową, jak ongi u niego, zadartą... I nagle trwoga królowny zamieniła się w szaloną radość:

— Więc to nieprawda! Więc on żyje! Więc ludzie tylko udają złych? Więc Tatura chciał ją jedynie nastrościć!? Więc nie wszystko stracone? On ją obroni i wywiedzie i... pomoże odszukać... rycerza!

Chciała już zawołać na wojownika po imieniu, gdy cień obrócił się do niej bokiem i po ruchach poznała... brata.

— Jasiu, Jaśku! Co tu robisz? — spytała cichutko, chwytając go za ramię.

Królewicz szarpnął się dziko.

— Co to? Kto! Nie tykaj się mnie! Zabraniam ci! — krzyknął.

— Cicho! To ja... siostra! Usłyszają nas. Jakże dobrze, że cię spotkałam. Co robisz tutaj, braciszku?

— Chodzę i patrzę na twoje okna! Cóż więcej zrobić mogę!? Żal mi cię! Ach, tak mi cię żal!...

Chciałem ci nawet zagrać, ale... rozstawili warty i te usłyszałyby zaraz... A ty, co tu robisz i jak się tutaj dostałaś?

— Spuściłam się po sznurze! Chcę uciekać!

— Tak, tak... uciekać... od tych kłamców, złodźników, plotkarzy, złodziei i gwałtowników!... Ach, jakże mi obrzydł cały ten świat, to ciągle udawanie, przymus, wykręty, ciągły lęk, aby nie zaczepić tego, nie potraścić owego... Tak, tak, uciekać! Ale jak, siostrze? W tem sztuka cała? — szeptał gorąco królewicz.

— Przedewszystkiem uciekajmy teraz stąd od pałacowych straży! — odrzekła królowna, biorąc go za rękę. — Prowadź mię, ty znasz lepiej ogród i wiesz, gdzie rozstawiono warty!

Okrył ją płaszczem i, chyląc się wśród cieni drzew, przemknęli się ku odległym, zapuszczonym częściom parku w pobliżu murów zamkowych. Tu zaszyli się w gęstwinie i zaczęli radzić. Nad nimi wysoko w miarowych odstępach czasu przelatały głucho i przeciągle wołania dozorców:

— Warty!...

— Wartyaaa!... — odpowiadały echem głosy coraz cichsze, coraz dalsze, tocząc się po grzbiecie obwarowań, jak rzucony głaz.

— Słyszysz? Jakże się tu na tamtą stronę przedostać!? — spytał mdlejącym głosem królewicz.

— Nic nie wiem! Ale nie chcę!... Nie wrócę! Za nic w świecie!... Jeżeli ty mi nie pomożesz, pójdę sama! Niech mię zabiją!

— Jakże pójdziesz? Jak się wdrapiesz?

— Mur stary. Czyż nie znajdzie się gdzie jaka mała szczelinka, jakie pęknięcie, szparka, za które zaczepić się można... Paznokciami, zębami, czem chcesz?...

Królewicz chwilkę się namyślał.

— Nie, niema takiej szczelinki. Otwór, przez który dostał się wówczas ogrodniczek, teraz zakratowany. Dostać się na mury można jedynie po schodach dla wojsk. Schodów takich jest kilka, ale wszędzie stoją strażę...

— Spróbujmy, może gdzie usnęły?!

— Dobrze, chodźmy. Jak jednak spuścimy się z murów? Tam wysoko i fosa pełna wody...

— Wszakże uczono cię pływać!?

— Ale tam napewno błoto na dnie, ugrzęźniemy!... Skakać niedobrze! W dno powbijane ostre pale...

— Czyż istotnie nikt, nikt nie znajdzie się w całym zamku, kto zgodziłby się nam dopomóc!?

Królewicz pokręcił głową.

— Nikt! Był Bączuś, ale i ten... zdradził!

— Nie mów tak: on może zginął, może nie udało mu się... My nie wiemy, co się z nim stało!

— Uciekł po prostu!

— Czy nie poprosić starego ogrodnika?

— Oho, on umrze ze strachu! Tchórz straszny!

— Przecież dzielnie bronił zamku w czasie wojny!

— To było co innego; w takich chwilach wszyscy jacyś inni... Wiesz co? Lepiej sami spróbujemy. Ty tu zaczekaj, a ja pójdę do starej drwalni, tam widziałem przed kilku dniami porzuconą drabinę...

A jak jej nie znajdę, to wezmę z pralni sznur od suszenia bielizny... Teraz wszyscy śpią, z wyjątkiem żołnierzy na murach!

Królowna przysiadła w zaroślach pod murem, przytuliła się do kamienisk, naciągnęła szczelnie na siebie ciemny płaszcz, aby przykryć białość twarzy i odzieży, mogących ją zdradzić. Królewicz oddalił się cichymi krokami. W głębokich ciemnościach słabo rozbłyskiwała czerwona łuna pochodni, płonących u pałacowego wejścia i bramy wjazdowej. Ciszę naruszały jedynie znane wołania straży. Królowna zamknęła oczy i zapadła na chwilkę w senne odrętwienie...

...Oto ogród, zalany słońcem, kwiaty, zapachy wołożo...

...Oto ona siedzi z bratem na wywróconej taczce, a ogrodniczek opowiada o cudach życia za murem zamkowym...

...Oto błyszcząca od świateł, od strojów, złota i drogich kamieni sala balowa... Świecą się po bokach kolumny z szafiru i koralu. Wiedzie ją za rękę w skocznym tańcu rycerz Czarnolas i szepcze:

— Jeśli on źle czyni, to na to jest Król, aby go sądził, a nie ja, biedny wasal...

Nagle twarz rycerza wydłużyła się, ciemnieje, pokrywa włosem, białe kły szczerzą się z otwartej paszczyki, która bliźniuchno pochyła się nad głową królowny:

— Nie ujdziesz! Zjem cię teraz!...

Ktoś dotknął jej ramienia. Z głuchym okrzykiem odrzuciła płaszcz.



— Chodź, siostró! Mam sznur, ale nie znalazłem drabiny... Pójdziemy szukać wyłomu!

Poszli ostrożnie wzdłuż ciemnych, wysokich murów. Wszędzie, gdzie wydawało im się, że może być jakieś pęknięcie, jakaś szczelina, jakaś nareszcie nierówność, o którą możnaby się było zaczepić i wdrapać na górę, zatrzymywali się i rękami obmacywali starannie spojenia olbrzymich głazów. Ale dobrze budował stary Król, starannie budował, złomy piętrzyły się twardo, wiązały równo, jakby wiszar skalny, samorzutnie z ziemi wyrosły. Przy wejściach wszędzie czuwały lub spały, leżąc wpoprzek na stopniach, warty. Ani marzyć można było o prześlizgnięciu się tędy niepostrzeżenie. Znużeni i zniechęceni, brat i siostra wlekli się ścieżyną wśród gęstych jak las zarośli, smutnie spoglądając na niebotyczną zaporę. Zabrnęli w kąt tak dziki i odległy, że nie domyślali się nawet jego istnienia. Nawet strażę tu stały na murach niezwykle rzadko, a wreszcie znikły. Za murami coś głucho i monotownie szumiało jak wicher.

— To rzeka! — powiedział królewicz. — Tędy nie uciekniemy — bardzo szeroka i burzliwa woda!

— Więc wróćmy, spróbujmy przekonać ogrodnika. Może da nam drabinę. Już świtać będzie niedługo... — szepnęła królowna.

Królewicz stał ze zwieszoną głową i nie odpowiadał.

— Pójdźmy jeszcze troszkę! — odszepnął po chwili. — Ogródnik... Ogródnik zdradzi nas na pewno! — rozważał w milczeniu. — Nie pójdę do niego! Nie chcę doświadczyć jeszcze jednej podłości



i to nadaremno!... Będziemy lepiej chodzić tutaj do rana, niech nas sami schwytają! Bo znowu powiedziec siostrze, że niema dla niej ratunku, żeby się dobrowolnie poddała, nie mogę, nie zrobię, choćby mię mieli zabić na miejscu! — Spojrzał w bok na ciemną postać królowny, ociężała idącą po nierównej ścieżce, i serce mu ścisnął ból niewysłowiony...

— Chodź, chodź! Nie odstąpię cię nigdy, przynigdy, w żadnej potrzebie!

— Co mówisz, bracie?

— Nic, tylko chodźmy...

— Do ogrodnika?

— Tak, tak...

— Może dostaniemy od niego drabinę... — powtórzyła. — Oddam mu moje zapięścia!

— Istotnie — dobra myśl! Albo wiesz co? Przystawimy do muru długi drąg z sękami, który widziałem koło gołębnika!

Wzięli się za ręce i rażno nawrócili z powrotem. Ale gdy już byli niedaleko pałacowych podwórzy, wyskoczyła z cienia i zastąpiła im drogę mała, zakapturzona figurka. Odskoczyli wtył i chcieli w popłochu uciekać, ale nieznajomy wstrzymał ich rozkazującym okrzykiem:

— Stójcie! Co wy tu robicie? Nie bójcie się, to ja! Poznali głos i figurę.

— Bączuś... Bączuś! Jesteśmy uratowani! — krzyknęła królowna, przypadając do starego.

— Skądżeś się zjawił? pocios nas śledził? — spytał chłodno królewicz.

— Długo o tem gadać! Przyszedłem... Potrze-

buję wiadomości! Co słyhać w zamku? Już od kilku godzin krążę, żeby kogo złapać... Wszyscy śpią... A tymczasem noc uchodzi... Gadajcie prędko, co się stało przez ten czas? Czy Król zdrow? Dlaczego tu chodzicie po nocy? — Pociągnął ich w zarośla, usadowił na rozpostartym płaszczu i ukląkł przed nimi.

— Mówcie, a prędko... bo każda chwila tu waży...

Królowna zaczęła pośpiesznie opowiadać o rządach Tatury, o strasznej władzy, jaką sobie przywłaszczył, o niemocy Króla, o przepowiedni Dydki, o buncie wojska, o przymusowem swoim zamęściu... o śmierci Czarnolasa... wreszcie o swoim uwięzieniu i ucieczce...

— Właśnie szliśmy do ogrodnika po drabinę...

Bączuś słuchał ze zwieszoną głową, wreszcie podniósł ją, spojrział na gwiazdy i zerwał się:

— Chodźcie, chodźcie! Niema czasu do stracenia... Wszystko dobrze! A raczej — wszystko źle... Niech hańba spadnie na głowę krzywdziciela... Niema innej rady! Spróbujemy!... Ależ chodźcie!

Schwycił księżniczkę za rękę i pociągnął znowu w głąb parku. Królewicz podążał za nimi i wypytywał się półgłosem:

— Więc przynosisz nam zbawienie, Bączusiu?

— Czy odsiecz? A dużo wojska? — pytała królowna.

— Tak, tak!. Zobaczycie... Ale przedewszystkiem musicie się ukryć, uchodzić stąd... Niewiadomo, co jeszcze wyniknie... Tatura tak się nie podda... bez oporu... Ale może się powiedzie załatwić wszystko bez rozlewu krwi, bez pożogi... A zresztą nie

wiem... Nigdy nie można być pewnym, gdy się ma takiego sojusznika... Biedna ojczyzna! Nieszczęśliwe państwo... Cóż robić, spróbujemy walczyć! Może nie będzie lepiej, ale będzie inaczej... W czasie tych zmian i niepewności coś się zmieni w prawach... Może ruszy się lud! Prędko, prędko! Śpieszcie się! — mówił gorączkowo Bączuś, wyprzedzając królewskich zbiegów.

— Ale skądże ta trwoga, skoro masz wojsko? — zauważył spokojnie królewicz.

— A co to są za ludzie, ci... nasi sprzymierzeńcy?

— dopytywała się królowna.

— Wilcy, złota Królowno, Wilcy... Żelazny Wilk!

— Żelazny Wilk? — szepnęła królowna, zatrzymując się.

— Cóż to znaczy? Więc Tatura nie jest Żelaznym Wilkiem? Więc kto on jest?... Więc tam to też jest Wilk i ty nas do niego prowadzisz?

Stała. Zatrzymali się wszyscy.

— Tak, tak, Wilk! Żelazny Wilk... Cóż robić! Niebyśmy nie zrobili bez niego... On wprawdzie milczek i nigdy niewiadomo, co zamierza, ale wydaje się niezłym chłopakiem... Ależ chodźcie nareszcie, bo zginiemy wszyscy! Ja was mu nie oddam, o nie, nie bójcie się. Taki znowu głupi nie jestem... Zupełniebym wtedy władzę nad nim utracił... Lecz chodźcie nareszcie, bo wszystko przepadnie... Już świta!

Wskazał ręką na ciemną krawędź mostu, z poza której blada wykwiatała poświata.

Porwał królownę za rękę i pociągnął ją.

— Już niedaleko!

Za chwilę znaleźli się przed małemi okutemi poziomienią miedzią drzewczkami, ukrytymi w niszy muru. Kupy listopadu i gęstwa splątanych krzewów zasłaniały je przed ludzkimi oczami. Bączus odczepił klucz od pasa, rozchylił gałęzie i z wielkim wysiłkiem odemknął zgrzytające rygle. Ukazał się przed nimi ciemny, wąski korytarzyk. Bączus popchnął ku niemu zdumiałych zbiegów i drzwi za nimi i sobą natychmiast zatrząsał...

— Gdzie jesteś, Bączusiu? — zapytała królowna drżącym głosem.

— Tu jestem! Idźcie, idźcie, nie zatrzymujcie się! Sunęli chyłkiem, macając spleśniały mur rękami.

— Dlaczego wtedy uciekliście nie tędy, a przez mur? — pytała szeptem królowna.

— Nie chciałem drogi pokazywać obcemu. Nikt o niej nie wie, oprócz mnie i Króla.

— Za to, wiesz pewnie... powiesili żołnierza! — wtrącił szorstko królewicz.

Bączus milczał chwilę.

— Cóż robić! Gdyby nas schwytano, nasby powieszono... Wojna! A gdybym ja się tu teraz nie znalazł... to zginęłaby... królowna! Spieszcie się, się, śpieszcie! Ostrożnie, tutaj dalej schody! Zaczekajcie, dzieci, pójdę przodem!

Głucho zadudniły grube buty wesołka na kamiennych stopniach, zazgrzytały znowu rygle, otwarły się ciężkie wrzeciędzie bronzowe. Buchnęły im w twarze świeże, rzeźkie powiewy. Siwa jasność wczesnego poranku oświeciła omszałe przejście, w którym stali,

i omszałe pod nimi schody, co spuszczały się i tonęły w wodzie, której blado-srebrna wstęga sunęła tuż przed otworem i wypełniała wygięcie sklepienia swym drgającym blaskiem. Do miedzianego pierścienia, wmurowanego w gład ostatniego stopnia, przyczepiony był pozieleniały od starości łańcuch, zwisający na ukos i uchodzący wraz z prądem za framugę drzwi. Przykucnięty u wody Bączuś ciągnął zań z całej siły i tak gadał:

— Słuchajcie, tu jest łódź, którą ja przybyłem... Nie mogę was im pokazać... W was siła i cała moja nadzieja! Może ocalejecie!... Siadajcie do łodzi... Tam jest wszystko... Wszak umiecie trochę wiosłować? Odpłyniecie cokolwiek, zawsze trzymając się w pobliżu muru... żeby was z góry strażę przed czasem nie dostrzegły. Gdy będziecie blisko już końca zamczyska, niech królewicz uczepi się bosakiem za jaki występ albo szparę w ścianie i niech zaczeka... Dopiero, gdy tu wojsko przybędzie z tamtego brzegu, ruszajcie dalej... Wtedy możecie się już nie obawiać pogoni... Będą mieli posiepaki Tatury tutaj dużo roboty... Płynicie wprost, środkiem rzeki, nie zatrzymujcie się nigdzie, gdyż na brzegach grasuje żołdactwo, zbiegi i zbóje... Aż wypłyniecie nad brzeg morza. Tam na ostatnim cyplu ziemi odszukacie chatę rybaka... Poproście go o gościnność. Tam was znajdę... jeśli nie zginę!

Głos mu zadrział. — Przyciągnięta przez niego łódź uderzyła dziobem o kamienny stopień.

— Śpieszcie się, śpieszcie, siadajcie... — naglił wciąż stary.

Królewna, przeciskając się mimo niego, objęła go rękami za szyję; królewicz ucałował w policzki.

— Bywajcie zdrowi! Strzeżcie się, bądźcie ostrożni... W was złożona cała państwa nadzieja!... Pamiętaj, Królewno, i ty, Królewiczu... Pamiętajcie o chłopach... Jam z chłopów...

Gdy usiedli w łódce i założyli wiosła na miejsca, Bączuś łódź z lekka odepchnął i, pochylony nad wodą, długo śledził, jak płynęli, ocierając się o kąpiące się w nurtach mury warowni. Poczem pochylił się jeszcze niżej i świsnął przeciągle. Ostry dźwięk przeciął srebrne, drżące powietrze i obił się przenikliwym echem o dalekie brzegi. W przeciwległych zamkowi szuwarach poruszyły się ciemne plamy i dwie duże łodzie wysunęły się na zaróżowioną blaskiem zorzy lśnienie wody. Bystre oko królewny rozpoznało na statkach postacie wojowników. Płynęli cicho, równo, bez szmeru, niby chmurne widziadło, ku zamglonym zrębom ciemnego zamczyska. Groty ich dzid grały w rozświcie jak blade płomyki. Wreszcie znikli w cieniu twierdzy. Wtedy królewna dała znak bratu i ten trzymane w pogotowiu wiosła za siebie zarzucił. Łódeczka wartko pomknęła z biegiem rzeki na ukos, ku jej środkowi.

Wkrótce znaleźli się daleko pośrodku koryta. Dookoła błękitniało szemrzące roztocze; wilgotne powiewy chłodziły im rozpalone lica, a cisza i jasność przestworza łagodziły trwożne bicie serc. Wtem królewicz znieruchomiał, wiosła z rąk wypuścił i osłupiałe oczy wdał utkwiał:

— Gore! Zamek płonie! — zawołał.

Królowna, która siedziała u steru, obejrzała się porywczo za siebie.

Istotnie kłęby rudego dymu miały się nad czarnym czworobokiem zamczyska. Jednocześnie urywane wrzaski i łaskoty rozleciały się nad wodami.

— Biją się! Wracajmy! — zawołała królowna.

— Poco? Co im pomożemy? Przeciwnie, będą mieli z nami kłopot... Przecież dlatego nas wysłali!... — oparł się królewicz.

— A ojciec? a... rodzice?!

— Nic im nie zrobią! Nie ośmielą się! Zresztą tam Bączuś!

— To prawda, że tam Bączuś. To prawda. On mówił — przypominam sobie — że lepiej, gdy nas nie będzie... że niedługo da nam znać... Bierz się więc bracie, do wiosła, bierz się do wiosła, gdyż mogą nas wyprzedzić jego gońce, mogą przecie posłać wieści konno lądem i wtedy nie znajdą nas! Ach, żeby to się już raz skończyło!

Królewicz ujął znowu rękojeści wiosła, oczu jednak z zamczyska nie odrywał, a i królowna co chwila oglądała się za siebie. Raz jeszcze na zakręcie rzeki wypłynęło przed nimi gniazdo rodzinne z wieńcem dymu i płomieni nad czołem, opłynięte jak posoką purpurą wschodzącego słońca.

Potem wszystko znikło i mieli już przed sobą tylko chłodny błękit wody, poorany srebrnymi poblaskami prądów, z coraz bledszymi brzegami po bokach.

### XXIII.

Dwa dni płynęli, nie zatrzymując się nigdzie. Śpieszyli się, gdyż mało mieli jedzenia. W dodatku znów ogarnął ich lęk pościgu. W nocy, gdy jedno z nich spało, drugie pilnowało steru. Potężna rzeka, szemrząc dobrotliwie, niosła ich łódeczkę, chybotając z lekka niby kołyskę. Nareszcie wypłynęli na brzeg sinego morza. Rozwarły się przed nimi czeluście błękitu, w których tu i tam ciemniały plamy wysp, a nad którymi srebrzyły się obłoki. Pożłota słońca skrzyła się na falach; stada białych rybitw polatywały nad wodami. Poza tem było pusto, bezludnie, przestronno. Nawet szmer fal i pisk ptaków topniał do szczytu w nieobjętym milczeniu przestworzy.

Długo szukali chatki rybaka: wreszcie dostrzegli nikły dymek na długim, płaskim przylądku, który niby ogromny palec ziemi wysuwał się daleko w morze. Tam skierowali coprędzej swój stateczek i po wielkich trudach przybili do brzegu. Wydma żółtego piasku wznosiła się nad nadwodną chylizną i tworzyła wzgórek. Na wzgórkę rosła rzadka trawa i małe krzaczki, a w połowie jego zbocza tuliła się nisko u ziemi ubożuchna chałupka o płaskim dachu. Dookoła na żerdziach suszyły się sieci oraz wiązanki popłatanych ryb, a troje dziwnych istot stało przed progiem domku i przyglądało się w milczeniu przybyszom. Jedna z nich zlekka pochylona przytrzymała za skórzane obroże dwa tęgie, czarne psy. Gdy królewicz nie mógł dać sobie rady z łódeczką, którą zabrać mu chciała fala morskiego przypływu, ta



trzecia postać puściła psy i ze śmiechem skoczyła ku niemu.

— Coście za tacy, że statku na brzeg wydzwignąć nie umiecie!? — spytała w szorstkiem, północnem narzeczu i silnemi rękami wyciągnęła z wody łódczkę.

Królewicz ze zdziwieniem zauważył, że była to młoda dziewczyna, z jasnymi, jak len, włosami i chabrowemi wesołemi oczami.

Jednocześnie zbliżyły się i dwie pozostałe postacie. Byli to staruszkowie, mali wzrostem i zgarbieni od wieku i pracy. Mieli na sobie dziwną, żółtą, lśniąca odzież z rybich skór i twarze ciemne, pomarszczone, jak wędzona ryba, oczy też rybie, wyblakłe i wytrzeszczone. Duże nosy i wystające podbródki schodziły im się prawie nad zapadłemi ustami. Staruszkowi mszyła policzki twarda, biała szczecina, której pęczki wyrastały nietylko z uszu i nozdrzy, ale nawet z koniuszeczka grubego nosa. Staruszka była do niego podobna, ale nie miała zarostu. Milczeli i przyglądali się gościom. Zato dziewczyna żwawo krzątała się koło łódki, wciągnęła ją wyżej na piaski i podłożyła pod nią drewniane stojaki, aby nie stoczyła się na dół. Potem zajrzała do środka, zabrała stamtąd rzeczy i zawołała na przybyłych:

— Chodźcie do chaty! Gośćmi będziecie!

— Tak, tak! Gościjcie sobie! — zaszemrali staruszkowie, drepząc za nimi.

Królewicz i królewna poszli, spoglądając z pewnym niepokojem na czarne ostromorde psy.

— Nie bójcie się, nie ugryzą: widzą, że nie jesteście

ani źli ludzie, ani zbóje! — pocieszała gości dziewczyna.

Chatka była mała, ciemna i wydała się królowi strasznie brudną; śmierdziała rybim tłuszczem i dymem. Ale co było robić? Radzi byli, że po trzech dniach mieli nareszcie dach nad głową, ukrycie przed wiatrem i komarami... Na ulepionym z dyli i gliny kominku palił się dawno niewidziany ogienek, a przy nim w garnku bulkała zupa z ryby, przyprawiona dziką cebulą. Rybacy wytarli połamami ubrania ławy za stołem i posadzili na nich gości. Pokładzono przed nimi zaraz drewniane łyżki, a rychło pojawiła się i misa dymiącej zupy i doskonała gotowana ryba.

— He, he!... W górze rzeki, to pewnie już ciepło, a tu u nas wciąż z wody dmucha... wciąż zimno! — zauważył staruszek.

Widać było, że rad byłby dowiedzieć się, skąd przybysze przybywają, lecz grzeczność zabraniała mu wprost pytać.

Królewicz i królowa nie śpieszyli z odpowiedzią. Nieszczęścia nauczyły ich ostrożności. A co będzie, jeżeli wiadomość o ich przybyciu tutaj gruchnie zaraz po okolicy? Nie, lepiej milczeć, aż odnajdzie ich Bączuś, a wtedy się wszystko wyjaśni. Tak umówili się jeszcze na łodzi i dlatego królowa spojrzeniem wstrzymała królewicza, gdy zaczął mówić:

— Tak, tak! zapewne, w górze już ciepło... kwiaty kwitną!

— O! Nie dziwo! U nas też kwitną! Tylko nie tu, bo tutaj wydmuch, wichura wszystko wymiata, ale opodal w lesie! Onegdaj, kiedyś chodziła po drze-

wo, to już wiele jaskrów, widziałam, żółciło się na mokradłach... Jużem chciała rwać, i brać, i nieść, alem pożałowała... Poczekam, aż będzie więcej... Bo ich tu, u nas, pleni się, niby blasku słońca... Czy i u was tam, w górze wody, po ciepłych deszczach bywa tosamo? — spytała wesoło dziewczyna.

— U nas kwiaty wciąż są, ogrodnik je sadzi! — zaczął królewicz, ale ugryzł się w język, gdyż z jednej strony szarpnęła go za rękaw królowna, a z drugiej dostrzegł, jak ciekawie zwrócił się ku niemu włochoaty nos i rybie oczy staruszka.

— Darujcie, mili gospodarze! — wmieszała się królowna. — Zmęczeni jesteśmy bardzo, zdrożeni i senni... Już wam jutro opowiemy wszystko, a dziś pozwólcie nam położyć się wcześniej i wypocząć!

Poruszyli się staruszkowie, zamruczeli:

— A juści! a juści! rozumie się! Hej, Hanka, ciągnij skóry, niech się układają, niech spoczną z ustątku... Małe to jeszcze i słabe! Dzieciny!

Dziewczyna patrzyła zdziwiona na nieznajomych, którzy chcą spać w biały dzień, poczem rozśmiała się, błysnęła białymi zębami, poprawiła białą na głowie chustkę i wymknęła się za drzwi. Po chwili wróciła ze zwitkiem skór bydlęcych, rozesłała je w kącie na szerokiej pryczy i wyszła, powiedziawszy uprzejmie:

— Legnijcie!... My tu mamy na dworzu robotę, to się do wieczora spokojnie prześpicie!

— Jak będziemy spać, to nie będą nas o nic pytać, a tymczasem może Bączuś przybędzie! — szepnęła bratu królowna, gdy zostali sami.

Obudzono ich na odwieczerzu. Była noc; gwiazdy,

płonące na dalekiem niebie, zagłędały przez otwarte drzwi do wnętrza chatki, rozświetlonej czerwonym blaskiem ognia. Na stole dymiły się już misy ze strawą i koło nich uwijała się wesoła Hania z łyżkami. Jednocześnie spoglądała ciekawie na przybyszów, którzy podnosili się ociężale z pościeli i poprawiali na sobie dziwną, zamorską odzież.

— To nie płótno? — spytała, biorąc do ręki róg szaty królowy, gdy ta usiadła koło niej wieczerzać.

— Nie, to... jedwab!

— Tak, tak! słyszałem! — zakiwał głową stary rybak. — Brat starej przysyła jej czasem coś takiego. Ale to nam nic po tem! Nie nadaje się w stanie rybackim, nie nadaje — za słabe! Więc chowamy to w komorze dla uciechy tej oto sroki! Przynieś, Hanka, pochwał się!

Uradowana dziewczyna żywo skoczyła na dwór i wróciła stamtąd, niosąc strój czerwony, suto haftowany. Ale wdziac go wzdragala się, choć stary nalegał.

— Włóż, czego się wstydzisz!? Bo to widzicie: mój pokrewnik, a wuj rodzony tej oto małej, został u Króla na dworze wielkim panem...

Drgnęła królowa i spojrzala na starą rybaczkę, czerpiącą niezmiernie poważnie łyżką zupę z misy. Istotnie w wyschłych jej rysach dostrzegła coś znajomego, ale co takiego — przypomnieć sobie nie mogła.

— A jak się zwie wasz pokrewnik? — spytała, wstrzymując drżenie ust.

— Zwie się Zawala... Maciej Zawala.

— Zawała? Nie słyszałam o takim!

— Nie słyszeliście? On króla bawi. Od królewskiego jest bawienia! A to wy też z królewskiego dworu jesteście?

— Nie, niezupełnie... my... my... uciekliśmy... od wojny!

— My też uciekliśmy od wojny... Sadybę nam ongiś spalili, syna, ojca Hanki, ubili... synową, żonę jego, gdzieś uwiedli, że przepadła kobieta bez śladu... Dawno było... Wzięliśmy więc niemowlę, statku trochę, co zostało, i przywlekliśmy aż tutaj, na kraj świata... Tutaj to już chyba nie przyjdą! Nie mają poco! Niema tu dla nich nijakiej przyneży...

— A ten wasz krewny? czy to czasem nie... Bączuś?...

— Bączuś? Żaden Bączuś... ino powiadam: Maciej Zawała... Łacno go poznać, bo jest mały, trochę garbaty i nos ma duży, jak ogórek!

— Bączuś! Bączuś! — krzyknęły radośnie królewicęta. — On tu przyjdzie, gospodarzu, on przyjdzie napewno, on obiecał...

Zdumiał się rybak, Hanka przestała się uśmiechać, a stara, głuchawa rybaczka spytała ze zdumieniem:

— Co się stało?

— Nie wiem! Cieszą się czegoś, biedulki!...

— Przytulcie nas na ten czas, na te kilka dni ukryjcie, dobrzy ludzie! — mówiła pośpiesznie królowna. — Nie mamy się gdzie podziać... Po nas przyjadą... Wtedy... my... wam wszystko... wynagrodzimy!

— A no, zostańcie, jak się wam tu u nas podoba! Nie żal nam tej trocha ryby i kąta... Na rody to niewarte, a i co wy nam dać możecie, kiej mamy wszystko... Rok dobry — dziewczyna z łatwością strawę zdobywa; reszta jest... Juści źle, że do lasu daleko, opał źle nosić! Ale wy mi tu lasu nie dostawicie, nawet te panowie, co po was przyjadą, tego nie zrobią... He!?! A jeżeli po was przyjechać ma mój krewniak Zawała, tem ci lepiej! Z chęcią go uścisknę, dawnośmy się nie widzieli... Zawsze i to dobrze, że to jakby znajomość jest! — gawędził stary rybak, przysuwając się z zydlem do komina i podstawiając to plecy, to bok pod ciepło ognia.

Królewicz słuchał go w milczeniu, już znowu senny po dwudniowym wyczerpaniu i tyłu trwogach. Królewna wzięła Hankę za rękę i wyszły przed chatę popatrzeć na morze, na niebo, pogadać o swoich sprawach dziewczęcych.

Księżyc już wszedł i morze łuszczyło drobno, przypływ uderzał o piaski nadbrzeżne, wzdychał i szemrał.

— Kto was żywi? Skąd dostajecie wszystko? — pytała królewna.

— Sami się żywimy. Sieci oglądam ja rano i wieczór, dziaduś chodzą po drzewo, babka w domu porządkuje...

— Tak. Nikt więcej? Nikt wam nie pomaga? Nie przychodzi tutaj?

— Nie. A co ma być? Kto ma przychodzić?

— I tak całe życie?

— Pewnie, że całe życie, bo tu nikogo po bliskości

niema... Chyba stary sąsiad przypłyynie z tamtego brzegu, ale rzadko, bo nieczasowy...

— I nie nudzi ci się?

— Nie. Też niema czasu!

— Nie tęsknisz?

— Poco będę tęsknić! Czasem to chciałabym, ot, tam pojechać... Ale to daleko, tam tylko na dużej łodzi i z żaglem dostać się można... A z żaglem nie umiem, ino dziaduś!...

— A co tam jest?

— A powiadają, że tam jest ziemia, gdzie wieczny dzień!

Spojrzała królewna we wskazaną stronę i dostrzegła nisko na mlecznym nieboskłonie coś, jakby przyziemną chmurniawę.

— Zresztą teraz to i tego nieciekawam! — rozśmiała się dziewczyna. — Odkąd wyście przyjechali, zrobiło się wesoło. Dobrze, że zostajecie. Tutaj też można się weselić, skakać, dowodzić!... Pokażę wam wszystko, zobaczycie, ile tu kwiatów, ile jagód... jakie tu ptaki i zwierzęta żyją w lesie! Będziemy je łapać, dobrze!?

Ujęła królową za rękę i, bawiąc się jej delikatnymi palcami, ciągnęła w zamyśleniu:

— Jakie to masz ręce miękkie, białe jak lilije... I brat twój ma takie same ręce, nie do roboty, a do całowania!

Stara rybaczka wołała na nie już kilkakroć, żeby szły spać, że już późno, że jutro rano wstać muszą.

Wreszcie dziewczęta szepcząc i chichocząc poło-

żyły się razem na pryczy w kącie za zasłoną z wyprawnej skóry łośiowej.

Gdy królewicz i królewna obudzili się nazajutrz, nikogo już w chacie nie było. Przy dogorywającym ogniu znaleźli garnek z warzą gorącą, a na stole przygotowaną czystą miskę, dwie łyżki i wiązeczkę suchego mchu do wytarcia rąk.

Bączusia nie było — nie przybył w czasie nocy.

Naradzili się cicho, co począć.

— Nie pozostaje nic, jak czekać... — szepnęła królewna.

— A jeśli tamci zwyciężyli? Co wtedy?

— Wtedy zobaczymy. Poco zawczasu głowę sobie zaprzatać. Może Tatura uciekł i ścigają go; może wynikły jakie zamieszki wewnętrzne i ojciec nie chce nas wzywać lub nie ma na to czasu? Odkłada, dopóki ostatecznie nie uśmierzy, nie uporządkuje wszystkiego... Chodźmy lepiej zobaczyć, gdzie się nasi gospodarze podzieli.

Wyszli przed izbę i rozglądali się po chybottliwych wokół błękitach. Przylądek był tak wąski, ziemi było tu tak mało, że czarna jej plama nikła, niby skaza w kryształach szafiru. Na południu jedynie chmurzył się łąd posepny, ku któremu biegł grubiejący stopniowo łańcuch wzgórz, lasem porośłych. Niedługo królewicz, który miał wzrok bystrzejszy, dostrzegł idące stamtąd dwie małe postacie.

— Może to wysłańcy?

Poszli pośpiesznie w tę stronę, ale rychło przekonali się, że był to stary rybak i rybaczka. Szli bardzo wolno, uginając się pod ciężarem ogromnych



wiązek chróstu, zatrzymując co krok i opierając na grubych koszturach. Stary sapał i dyszał, jak zapalony koń; pot ciurkiem płynął mu po twarzy i kapał na ziemię dużemi kroplami z koniuszeczka wielkiego nosa. Stara dyszała cicho, lecz wylupiaste jej oczy nabiegły krwią i stapała małemi, jak dziecko, kroczkami.

Królewicz nie mógł patrzeć na tę mękę wiekowych ludzi i chciał od starego noszę odebrać; królowna prosiła o tosamo starej. Ale odmówili im żartobliwie, a nawet z pewnym gniewem:

— Ej, panięta, nie płaczcie się! Od harmidru i szarpania ino gorzej ustaniem!... Bez was też musimy chodzić!

— Dłaczegóż mniejszych nie bierzecie wiązek?

— He!... Bo nie starczy!

— Widzicie: jutro pójdziemy z wami, to będzie wszystkim lżej!

— A juści — będzie lżej! Żeby ino was nie trzeba było nieść!... Nie godzimy się, nie! — śmiał się stary.

— Wypocznijcie sobie, pobawcie się! — wystękała stara.

Wrócili razem ze starcami zmieszani i zawstyżeni. Zastali już w chacie Hankę, pochyloną nad koszem ryb, które zręcznie płatała i czyściła.

— Jakże tam? — spytał stary, zaglądając do kosza.

— Niegorzej, ino wiatr jedną sieć oderwał od pływaka, skrzył i pomotał. Przyniosłam ją, trza będzie naprawić!

Rybak głową pokiwał i poszedł oglądać suszącą

się na żerdziach sieć. Stara zajęła się zaraz przyrządzeniem obiadu. Młodzi goście osamotnieni usiedli skromnie opodal. Zawołano ich dopiero na obiad.

Po obiedzie stary naprawiał sieci, stara przędła mu nici z grubych konopi, a potem wzięła się do szycia. Hanka siadła znowu do maluchnego czółenka i popłynęła oglądać ponownie sieci, zastawione w ujściu rzeki. — Jedyłą robotą, którą królewiczowi udało się wykonać, było porąbanie gałęzi na opał. Królowna spróbowała szyc, ale ukłuła się rychło bardzo boleśnie w palec i stara odebrała jej z gderaniem grubą odzież z ręki. Wszyscy jednak umieli ocenić dobre chęci gości i byli bardzo o nich troskliwi. Hanka wieczorem wyśpiewała im wszystkie swoje piosenki. — Królewicz zaraz ich się nauczył, przerobił i nazajutrz już bardzo pięknie sam śpiewał, brzdąkając do taktu na prostych, sporządzonych z deseczki i włosia gęślikach:

Płynie rybka, płynie  
Po morskiej głębinie,  
Co nam los przeznaczył,  
To nas nie ominie!

Płynie rybka, płynie,  
Myśli, że nie zginie,  
Wprost w zielone trawy,  
Gdzie skryte zastawy!...

Uwięzła rybeńka, darmo się trzepocze,  
Chwyciły ją sieci za serce ochocze...

Pochyliła Hanka jasną głowę na mocne ręce, oczy chabrowe w morską posłała dal i słucha królewskich pieśni, nie tchnie, nie ruszy się.

— Jakież to śliczności! Niby krew z serca uchodzi! Słuchałabym was, słuchała dzień i noc... Śpiewajcie jeszcze, śpiewajcie! — prosiła, gdy królewicz przestał.

Królewicz pomyślał i zaśpiewał jedną z pieśni, wuczonych na dworze. Już jej z mniejszą uwagą słuchali rybacy, gdyż wielu rzeczy nie rozumieli i musiała im królowna tłumaczyć.

— Dziękujemy wam! A widzicie, że i wy na coś się przydać możecie! — dziękowali gościom starzy po skończonej muzyce.

Nie mógł się jednak ani królewicz, ani królowna pogodzić z losem śpiewaków, ciążyła im beczynność, męczył widok staruszków, zziąjanych, strudzonych codzień po powrocie z lasu. Ponieważ ci nie chcieli ich brać ze sobą, pod pozorem, że tam bagna, młaki i ostre kolce, że nie mają odpowiedniego ubrania i obuwia — postanowili sami wymknąć się pewnego ranka wcześniej od staruszków, przynieść drzewa i przekonać wszystkich, że nie są już takimi nie-dolegami, za jakich ich uważają.

Tak też zrobili.

Wymknęli się z chatki o samym świcie, gdy ziemia cała była jeszcze perlowa od rosy, gdy wokoło jeszcze było zupełnie cicho i jedynie blade morze szumiało pod muślinem mgieł. Poszli wesoło w stronę lasu, ale dobrze się namęczyli, zanim dotarli tam przez zasy lotnego piachu, ledwie porośłego kępami ostrej

trawy i kołtuniastych krzaków. Musieli się zagłębić dość daleko w zarośla, gdyż w pobliżu suszniak już był do szczytu wybierany. Dopiero tam, gdzie zaczynał się zwarty, ciemny bór, gdzie się wielkie drzewa gromadą wznosiły, leżało na ziemi dużo opadłego chróstu. Udało im się też obciąć kilka grubszych wyschłych na pniu gałęzi. — Ani spostrzegli, jak, zbierając paliwo, gawędząc i skubiąc po drodze jagody, zaszli w głuchy bór. Zebrali już porządne wiązki, które ciężyły im bardzo, chociaż ułożyli je na zabranych z izby nosidłach, tak samo, jak widzieli, że układał je stary rybak. Gorzej było to, że nie pamiętali dobrze, skąd przyszli. Słońca w ciemnym borze nie mogli dostrzec, czy też dzień był chmurny. Dość, że zabłądzili.

Długo krążyli po lesie, krwawiąc nogi o korzenie i sęki, lgnąc po kolana nieraz w moczarach. Siły ich opuściły zupełnie. Dawno już porzucili zebrany suszniak. Królowna ledwie się wlokła. Nareszcie wybrnęli na brzeg morza, ale poznać nie mogli, gdzie są: czy nad rzeką, czy po drugiej stronie przylądka, gdyż ciemniejące w dali wyspy dawały pozór brzegów rzecznych, woda zaś była słona. Dodała im otuchy ścieżynka, której ślad wykryli tuż u piachów nadwodnych. Poszli ścieżynką na chybił trafił.

— Ujdziemy tak ze trzy stajania, a skoro okaże się, że nie widać otwartego morza, to zawrócimy... Najlepiej zostań tu, siostró, a ja sam pójdę, jestem silniejszy... poco masz się męczyć?

Nie zgodziła się jednak królowna, poszła z bratem. I dobrze się stało, gdyż niezadługo dosłyszeli głosy

ludzkie w borze i brzęk oręża, a na ścieżce pokazali się jacyś jeźdźcy.

— Bączuś! — krzyknął radośnie królewicz.

Królewna jednak zatkała mu usta ręką.

— A jeżeli nie on... jeżeli to oni!... — szepnęła przejmującym głosem — cicho! Ukryjmy się!... Śpiesz się, bracie!

Szukali w pośpiechu kryjówki, cofając się przed zbliżającymi głosami. W ostatniej prawie chwili trafili na dół pod korzeniami wywróconego wichurą drzewa; ledwie się tam wcisnęli, gdy tuż, tuż zabrzmiała znana mowa i zaświeciły i zachrobotwały bronie... Poznali jeźdźców i setników Tatury. Szli długą ławicą przez las i pilnie przeglądali krzaki i drzewa.

Zastygli bez ruchu w swej kryjówce królewscy zbiegowie, przejęci rozpaczą i zgrozą. Stuk kopyt dawno ustał, ucichły nawoływania żołdaków, a oni wciąż jeszcze nie odważali się opuścić nory. Wypłószył ich wąż, który przypełznął na brzeg jamy z widocznym zamiarem wślizgnięcia się doń, lecz, spostrzegłszy gości, zasyczał groźnie i cofnął się, garbiąc cętkowany kadłub.

— Widać wszystko przepadło, szukają nas! — szepnął pośpiesnie królewicz.

Królewna nie odpowiedziała. Dopiero po długiej chwili, widząc straszne przygnębienie brata, wzięła go za rękę i rzekła:

— Chodźmy! Dowiemy się od rybaków, poco oni przychodzili! Może to są przyjaciele, może wojsko Tatury przeszło na stronę Króla!

— Ale... Skąd wnosisz, że w tej stronie mieszkają rybacy? Może właśnie w przeciwną i żołnierze nie wracali od nich, lecz szli do nich!

— W każdym razie pójdziemy w stronę przeciwną żołnierzom. Zawsze lepiej być od nich jak najdalej. Jeżeli idą po nas, zaczekają. Jeżeli zaś wracają od rybaków, dowiemy się szybko, poco przychodzili, Musieli przecież coś im mówić, o coś się pytać?!

Po ścieżce podróż była o wiele łatwiejsza i szybko ukazała się krawędź lasu oraz wybiegający daleko w morze cypel piaszczysty.

Ze ściśniętym sercem zbliżali się do miejsca, gdzie stała chatka, gdyż wiał się tam jakiś dym dziwny i czuć było przykrą spaleniznę. Nie przypuszczali jednak, że znajdują, co dostrzegli. Kupa zgorzeliny tłała na miejscu domku, a obok leżały psy, które zerwały się na ich widok, dziko warknęły i uciekły... Na wzgórkcu opodał przysiadły i zawyły przeciagle. Jednocześnie królewicz zauważył dwa ciała rozpostarte na piasku, tuż koło domu: był to stary rybak i stara rybaczka. Niedaleko od nich leżała wesola niegdyś Hania, rozrzuciwszy szeroko włosy i ręce, jak rozrzuca gałęzie powalona siekierą jodełka...

Już nie żyli. Szarpano ich pewnie przed śmiercią, a może nawet bito gdyż mieli podarte, potargane odzienie.

Królewicz przysiadł na piasku i zakrył twarz rękami.

— Zaco?... Zaco?

— Widocznie nie powiedzieli im, gdzie jesteśmy!

Wykopali dół i pochowali rybaków. Była to ich pierwsza cięższa praca.

Poczem królewicz zabrał sieci, parę siekier kamiennych i brązowych, jakie znalazł w małym, trafem widać ocalałym śpichlerzyku; wziął łuk, strzały, sidła i potrzaski na zwierzynę, trochę naczyń i odzieży. Wszystko to umieścił w dużej łodzi, wstawił doń też cebrzyk i napełnił go słodką wodą, naładował skórzane wory suszonymi rybami, psy zwabił i uwiązał na smyczy, poczem łódź przy pomocy siostry zepchnął po toczakach na wodę, a gdy odbili już dobrze od brzegu, podniósł ostrożnie rogożany żagiel, który wiatr natychmiast wydał wspaniale.

Niedługo znaleźli się daleko od ziemi, wśród morderj chybotliwej roztoczy. Nie mówili wcale prawie ze sobą, ale bez słów rozumieli się wybornie i królewna, trzymając rękę na rękoności steru, nie spuszczała oczu z majaczącej w oddali tajemniczej wyspy, „Krainy Wiecznego Dnia“.

#### XXIV.

Była to maluchna wysepka, ale miała wszystko, co człowiekowi potrzeba: bujne lasy, kwieciste łąki, góry, skały i jary, błota, gdzie rósł dziki ryż, i słoneczne halizny na zboczach pagórków, gdzie dojrzewała dzika pszenica. Środkiem płynęła bystra rzeczulka.

Nieprawdą wszelako było, że świecił tu wieczny dzień. Po dniu następowały tu gwiazdne noce, jak wszędzie. Zato było wciąż przedziwnie ciepło, gdyż

wielki prąd morski przynosił z odległych stref zwrotnikowych masy ogrzanych wód, które miarkowały chłody jesieni i zimy.

Nabiedzili się jednak niemało królewicz z królową, natrudzili się do krwawego potu, zanim nauczyli się korzystać z darów przyrody, poznali, jako używać narzędzi, i przyzwyczaili się do ciężkiej pracy fizycznej.

Ale z wolna pokonali wszystkie trudności.

Przy ujściu rzeczki na wzgórku wybudowali sobie nieduży domek z dwóch izb, przedzielonych wąską sionką: w jednej zamieszkał królewicz, a w drugiej królowa.

Pożywienia mieli pod dostatkiem: rzeczka obfitowała w ryby, w lasach pobliskich rosły słodkie kasztany, rozmaitego gatunku orzechy, jabłka, śliwki, wyśmienity dereń, drobne, ale słodkie winogrona i moc jagód. Królewicz, włócząc się po kniei, odkrył niebawem ryż i pszenicę. Zaraz poogradzał te pólka kolczastymi płotami od jeleni i dzików, oczyścił je z chwastów i kamieni, okopał... Tegoż jeszcze roku dały obfity zbiór. Mieli więc dosyć wszystkiego na swe skromne potrzeby, tembardziej, że królewicz nie przestawał zapuszczać się w lasy i coraz nowe przynosił z nich łupy: to miodu plaster, to dziesiątek jaj, to snop dzikiego lnu na nici. Wszystko sobie przypominał, co w książkach wyczytał, co usłyszał od ludzi lub zobaczył w czasie pobytu u starych rybaków, i ze wszystkiego teraz wyciągał pożytek. Jednej rzeczy nie mógł tylko robić, nie był w stanie zabijać żywych stworzeń, nie mógł polować — na



samo wspomnienie krwi bladł, mienił się na twarzy i zakrywał oczy rękoma.

— Nie!... Za nic!

Zato bardzo lubił chować ptaki i zwierzęta obla-skawiać. Przynosił do domu gniazda z piskletami, chwycił młode sarny oraz dzikie prosięta. Wkrótce zaroilo się koło ich domu od oswojonych gołębi, bażantów, kaczek. Z lasu na świst królewicza przybiegały kózki i jelenie, a z pod ziemi wylażyły króliki. Królewicz znał je wszystkie, opiekował się nimi, karmił, gdy brakło im paszy w czasie słót zimowych. Nawet czarne psy swoje, rozżarte i groźne, nauczył rozpoznawać domowych przyjaciół i one broniły zwierzątek przed drapieżnikami. Zresztą wielkich drapieżników na wyspie nie było; kryły się tylko gdzieś niegdzie po norach lisy, a w kamienistych osypiskach kuny. Z nimi psy łatwo sobie dawały radę bez pomocy królewicza.

Był więc zawsze królewicz wesoły, uśmiechnięty, pogodny. Rozrósł się, zmężniał. Złocista, jak u ojca, broda zaczęła mu obrastać opalone jagody, jasne loki spadały mu na rozłożyste ramiona, ręce i nogi stały się podobne do tęgich dębowych konarów. Jedynie oczy błękitne patrzyły po dawnemu łagodnie i marząco z pod ciemnych rzęs.

Królowna zmieniła się znacznie mniej, gdyż brat oszczędzał ją, trudniejsze rzeczy sam robił, na słoty, wichry i spiekotę słoneczną zbytnio nie narażał. Ale i ona opaliła się i zmężniała, a ręce i rysy jej zgrubiały. Pomimo to zachowała w kształtnej postawie królewski majestat, a w czarnych oczach wyniosłość.

Brat ogromnie ją kochał i cenił: nie lubił jednak jej... smutku. Dla tego kryła się z nim i wtedy jedynie, kiedy wiedziała, że brat z lasu prędko nie wróci, siadała z kądzielą u okna i, odsunawszy ramę z rybią błoną, zastępującą szkło, patrzyła na chmurniejącą za dalekiem morzem ojczyznę.

Furczało wrzeciono, snuła się cienka nitka w drobnych paluszkach, a królowna myślała — myślała o tem, co było... I od tych myśli bladły jej jagody, zapadały się w ciemne doły oczy gwiazdziste, więdły, zacinały się wilgotne koralowe usta...

Królewicz po powrocie zaraz poznawał, o czem myślała siostra, i dąsał się, ale częściej próbował ją rozerwać:

— Zośka, dwie barcie pszczół wyrąbałem w lesie. Pójdziemy po nie jutro! Dobrze? Postawimy koło domu, urządzimy pasiekę!

— Poco?

— Jak to: poco? Żeby miód podbierać, wosk topić... Świec naodlewamy... Zawsze to lepiej się pali, niż łuczywo!... Jakie to oczy masz czerwone od kopcia smolnego, jak królik!

Królowna odwracała głowę, aby schować oczy, które robiły się jeszcze czerwiejsze, bo przed niemi stała nagle sala zamkowa, jarzącemi gorejąca światły.

...To kraj dziki! Mieszkańcy wciąż muszą walczyć... Nie mają ogłady... Mieszkają w prostych izbach... Używają naczyń glinianych, broń mają kamienną i kościaną... — szeptało widmo rycerza w mglistej zbroi.

Wzdrygnęła się. Brat spojrział na nią żałośnie.

— Albo wiesz co, zamkniemy chatę i pójdziemy w góry, na ten szczyt lodowy, co z pośrodką wyspy wysterka...

— Poco?!

— Znowu: poco?! A po to, że tam ładnie pewnie, że stamtąd całą wyspę widać...

— W takim razie... czy nie lepiej...

Królewna zająknęła się i poczerwieniała, poczem zaczęła mówić szybko i porywczo:

— Spuścimy łódź i popłynemy na ląd... Tak... na chwilkę... na parę godzin... może tam kogo spotkamy, może tam znowu... są rybacy... Ale nawet jeżeli nikogo nie będzie... to chwileczkę... pochodzimy po tych samych miejscach... Zresztą kto wie, co tam znajdziemy. Czyś ty, Jaśku, nie ciekaw... co się stało z rodzicami? z Bączusiem? Czy żyją? Czy zamek stoi jeszcze? Kto rządzi państwem? Ja bo nawet... losu Tatury jestem ciekawa!?

Królewicz zatkał uszy gniewnym ruchem.

— Nie chcę, nie chcę! — wołał. — Nie przypominaj mi... Nienawidzę! Nigdy, nigdy!... I nie waz się myśleć...

— Przecież mówiłam, że na chwilkę tylko! — broniła się królewna.

— Wiem ja dobrze, co to znaczy! Zobaczą nas, wysledzą tutaj, dościgną, dosięgną! Przyjdą ze swoją krwią, ze swym fałszem, chciwością, kłamstwem, zawiścią, ze swemi okropnościami... Nie chcę! Mam tego dosyć!

— Nie wszyscy są tacy. Pamiętasz Bączusia?

— Tak, ale dobrzy nic nie mogą i nic nie robią!

— A cóż my robimy?

— My... chociaż ręki do złego nie przykładamy! Choć jesteście zdaleka od tego wszystkiego, ale patrzeć na to i nic nie móc, to okropne!

— Zawsze choć trochę, choć kruszyneczkę można tam zrobić dobrego... Tutaj nic! Pamiętasz chłopów, u których na gęślikach grałeś, śpiewałeś? Jak ci dziękowali...

Królewicz uśmiechnął się gorzko.

— No i cóż?

— Wielkiego nic, ale zawsze nabrali pewnie trochę otuchy, zobaczyli, że tam, w górze, wśród władców jest ktoś, co im dobrze życzy!...

Królewicz trząsł kędziorami, oczy ręką przysłaniał i szepnął boleśnie:

— Nic z tego, nic!... Okropności! Najlepiej spaść łódź, żeby nie było pokusy!

Wyskoczył z izby, jak obłąkany. Pobiegł nad brzeg, gdzie, przykryta deskami, stała stara łódka. Silnymi uderzeniami siekiery przebił jej dno, poczem podgarnął chróstu i wiórów, skrzesał ognia i podpalił.

Błada jak płótno, królowna patrzyła ze zgrozą na pożar z progu chaty. Królewicz nie spojrział nawet w jej stronę, siekiereę na ramieniu położył i poszedł wprost w las.

## XXV.

Długo go nie było.

Już królowna myślała, że nie wróci; już strach ją ogarnął, że go nigdy nie ujrzy, już żałowała, że za-

gadała z nim o ojczyźnie, gdy dnia pewnego doleciało ją z oddala wesołe szczekanie psów. A ponieważ królewicz je z sobą zabrał, zrozumiała, że zbliża się, że jest niedaleko. Z bijącym sercem wyszła na próg. Istotnie, królewicz już był na ścieżce, dwa czarne psy skakały przed nim, jak szalone, obok szedł jelen i machał rogatą głową, z drugiej strony przemykała się para zajęczków, a z tyłu biegł, chrząkając, czarny odyniec. — Bazanty, gołębie, kaczki, spostrzegłszy go, poleciały ku niemu chmarą i, krążąc wokół, przysiadły na głowie, na ramionach, na wyciągniętych rękach, na zwisającym za plecami worze myśliwskim.

Królewicz szedł, opędzając się im zniechcenia, z oczami utkwionemi w siostrze. Szukał jej wzroku, ale ona nie podnosiła spuszczonej powiek. Aż przypadł jej do nóg, objął kolana rękami i głowę do nich przytulił:

— Siostró... siostró!... — szeptał. — Siostrzyczko!...

Wtedy królowna położyła mu rękę na złotych kędziorach i wymówiła przez łyzy:

— Gdzieżeś był?

— W górach byłem, ale na szczyt śniegów nie wszedłem! Jak tam zimno! Jak tam pusto!

— Chodź do chaty, głodny pewnie jesteś!?

— Bynajmniej! Jeszcze ci z lasu przyniosłem słodkich korzeni i bukowych orzechów ze dwa garnce!

Weszli do izby.

— A tu, co się działo beze mnie?

Opowiedziała jak zwykle bratu bez opuszczeń o naj-

drobniejszych wypadkach, jakie zaszły w jego nieobecności. Słuchał chciwie i wypytywał dokładnie, gdyż zdarzeń w ich życiu bywało tak mało!

Więc mówiła mu o połowie ryb, o gołębiach, o zniknięciu pary najładniejszych bażantów.

— Pewnie kuna! — zauważył z niechęcią. — Znowu trzeba będzie potrzask nastawić!

Poczem sam zaczął opowiadać o swojej wyprawie i wyjął z worka garść mieniących się szafirowo kamieni.

— Patrz, co tam w skałach znalazłem! To dla ciebie!

— Ametysty! — szepnęła królowna, pochylając się nad świecidlami.

Brat zauważył, że twarz jej odrazu pobladła i ściągnęła się, więc zagadał o czym innym i kamienie niepostrzeżenie na bok odsunął.

Nie wróciła już jednak nigdy dawna pogodna ufność i wesołość w ich stosunku. Królewicz czuł, że wciąż między nimi mgli się jakiś cień nieuchwytny i choć królowna nigdy słowem nie wspomniała o tem, co się stało, królewicz sam nie mógł tego zapomnieć.

— Jakże łatwo zburzyć w jednej chwili to, na co się życie całe składało! — rozmyślał ze smutkiem.

A że rozmyślać nie lubił, więc chwycił w takich chwilach za siekiere, za oszczep i ruszał w las albo szedł do swych ukochanych zwierząt i ptaków.

Królowna częściej niż przedtem pozostawała sama; zwolna jej usta odwykły od słów i od uśmiechów. Milczała nawet, gdy brat był w domu. Milczała, smutniała, bladła... A była taka cudna w tem swoim

zamysleniu i smutku, że brat oczu od niej oderwać nie mógł, padał przed nią na kolana, chwycił ją za nogi, za rąbek szaty, prosił o przebaczenie:

— Co ci jest? Uśmiechnij się! Przebacz! Pójdźmy w lasy...

— POCO?... Ach, wszystko tam już widziałam! Ja się nie gniewam, tylko... tak trudno, tak bardzo trudno mi... uśmiechać się teraz!

— Możesz ty chora?

— Ależ nie! Tak trochę, czasami... głowa mię boli — odpowiadała, aby go uspokoić.

Więc królewicz biegł znowu w knieje, szukał ziół, o których słyszał, że pomagają na serce, na głowę, znosił siostrze ptaszki cudnie upierzone, albo inne, śpiewające słodko, jak jaworowe flety. Znosił kwiaty przedziwnej barwy i woni. Dziękowała mu zawsze serdecznie i nawet uśmiechała się, ale bratu wciąż się wydawało, że ten uśmiech spływa ino po wierzchu jej smutnej i rozżalanej duszy...

I tak było.

Gdy królewna zostawała sama z sobą, opadał zaraz ją smutek, ćmił wszystko, jak welon żałobny, obstępowały myśli dokuczliwe, bolesne. — Spoglądała w małe zwierciadelko, spuściznę po nieszczęśliwej Hani, i, przyglądając się swym podkrążonym oczom i twarzy pobladłej, mówiła sobie:

— Więdnę... Życie uchodzi! I poco?

W takich chwilach wszystko wydawało się jej ciekawie, pięknie, ponętne w tej chmurnej, ojczyściej ziemi, widniejącej w dali za morzem! Nawet ci dręczyciele i okrutnicy zajmowali ją teraz, rozważała

drobiazgowo ich uczucia i postęпки, szukała ich źródeł i powodów:

— Walczyć z nimi należy, owszem — walczyć!... Przerobić ich należy, przemienić... Albo nie dopuścić by szkodzili! Ale my nigdy, nigdy już tam nie staniemy... Niema łodzi! Niema powrotu!... Musimy umrzeć tutaj!... — szeptała z westchnieniem.

Królewicz przyzwyczał się z czasem do jej smutku, do jej westchnień, przestał znosić zioła, ptaszki i muszelki.

— Wszystko z braku zajęcia — dowodził sobie. — Trzeba pracować! Trzeba wciąż bez wytchnienia pracować! Wtedy nie będzie czasu na myśli!

I wymyślał coraz nowe budowle, ulepszenia, upiększenia, to wokoło domu, to w domu, to w polach dalekich. Królowna wysłuchiwała jego planów życzliwie, ale spokojnie.

— Owszem, rób, jeżeli chcesz, ale właściwie: poco? Mamy wszystko, co nam potrzeba!

— Ach, poco i poco! Nie lubię tego wyrazu... Po to, że przyjemnie... mieć kwiaty ładne przed domem, mieć dużo stworzeń wokoło, dużo życia! To nie są ludzie, one nas nie skrzywdzą, nie odplacą złem za dobre!

— Ale radości też z nich mało!

— Jak to mało? Patrz na gołębie, jak one zabawnie gruchają, chodzą napuszone, albo zerwą się nagle i chmurą polecą w błękity i migają tam, jak rój białych liści... Niektóre fikają śmiesznie koziołki, inne trąbią, jak trębacze... Albo czy nie zabawne, kiedy się kaczki poswarzą, poczubią, zu-



pełnie jak chłopcy na jarmarku... A bażanty, co mają takie śliczne pióra i znoszą nam smaczne jajka? Czy nie warte opieki?

— Owszem, owszem!... — zgadzała się królowna.

— Chodź więc, pójdziemy odwiedzić naszą ptaszarnię!

Prowadził ją prawie gwałtem do miejsc, ogrodzonych płotem wysokim, gdzie w budkach mieszkało ptastwo. Z wesołą wrzawą opadało ich zaraz, prosząc o poczęstunek i pieszczoty. A białe króliki wykwiwały im u nóg z pod ziemi i tarły się mordeczkami różowemi o ich nogi, że bali się stąpać, aby zwierzątek nie nadepnąć.

Raz, gdy się tak zabawiali w zwierzyńcu, wszczął się wśród ptastwa popłoch, część zerwała się i uleciała z wielką wrzawą, część pochowała do budek i w trawę. Króliki znikły, zające uciekły. W powietrzu mignęła jakby ciemna chmurka i wielki, pstry sokół spadł jak piorun w ogrodzenie, zabrał gołębia i odleciał. Darmo krzyczał i machał nań rękami królewicz, drapieźca nie wypuścił zdobyczy, zatoczył w powietrzu półkole i znikł za lasem!

— Skąd on się tu wziął?! Tu ich niema! Trzeba będzie postawić straszidło! — rzekł królewicz w zamysleniu.

Tegoż dnia jeszcze z wyschłej trawy, ze starego ubrania zmajstrował czupiradło podobne do człowieka, wetknął mu długi kij do ręki i postawił na płocie. Kilka dni nie było szkodnika, aż znowu pewnego dnia, w nieobecności królewicza, wpadł, rzucił postrach na cały zwierzyniec i porwał najpiękniejszego bażanta.

Gdy mu to opowiedziała królowna, rozgniewał się nie na żarty i postanowił skończyć z sokołem. Poświęcił jednego gołębia, obmazał go lepką smołą, przywiązał na sznurku i czekał:

— Uwięźną mu szpony, przyklepią się łapy i skrzydła, wtedy go złowię!

Niedługo przyleciał sokół, ale, zamiast brać trzepoczącego się bezsilnie na uwięzi ptaka, popędził za uciekającymi jego towarzyszami, jednego w oczach królewicza zadziobał i porwał.

— Trzeba coś innego obmyśleć!...

Długo naradzał się z siostrą, wreszcie postanowili, że najlepiej będzie nakryć ogrodzenie starymi sieciami. Parę dni gołębie nie będą mogły latać i zerować, ale zato skoro drapieżnik rzuci się na nie, zaplącze się w sieci i zostanie schwytyany.

Tak się też stało: sokół zaplątał się krzywym dziobem i pazurami w nicianych okach, królewicz ujął go i z tryumfem zaniósł do siostry.

— Ten nicpoń! Patrz, jak mię podziobał! Harda sztuka! — mówił wesoło, przywiązując więźnia sznurkiem za nogę do słupka przed domem.

Królowna z zajęciem przyglądała się dumnemu ptakowi, który, choć pokonany, nie poddawał się i przy jej zbliżeniu nastroszył wojowniczo pióra, a ostry, krzywy dziób groźnie rozdziawiał.

— Co z nim zrobisz, Jaśku?

— A cóż mam zrobić? Niech siedzi!

— A czem go karmić będziemy!?

— Ryżem, chlebem, korzonkami. — Co samijemy, to mu damy!

— Ależ on tego jeść nie będzie!

— Ha, cóż robić! Musi się przyzwyczaić! Nie mogę przecież dla niego mordować mych ptaków!... —

— Wiesz, Jaśku, on ma złoty pierścień na nodze! — krzyknęła nagle królowna. — Chodź, zobacz!

Królewicz przestał zwijać sieci, które z ptaszarni zabrał, i podszedł do siostry.

— Doprawdy, kółko!... Pewnie sokół myśliwski, musiał uciec od ludzi!

— Od ludzi!? Patrz, bracie, na kółku widać jakieś znaki! Może to... może to... ojcowski?!

Pobladł królewicz, spokój udawał, a królowna drżała jak w febrze.

Aby ująć sokoła i znaki obejrzeć, musieli ptakowi zarzucić chustę na głowę.

Znaki okazały się jakieś nieznanne, sokół należał widocznie do znakomitego myśliwca, gdyż kółko istotnie było złote.

Królowna oczu nie mogła oderwać od ptaka, gdy, puszczone znowu, siadł posepnie na swojej żerdzi.

— Gdzieżeś to bywał, kogoś to widział? — pytała go w myślach. Przyniosła mu zaraz ziarna, chleba, wody w miseczce i wciąż wychylała głowę z okna, przyglądając się zdaleka, co ptak robi.

Sokół nie tykał strawy, nawet wody nie pił, siedział nastroszony i bursztynowym okiem nieruchomo w błękitną dal patrzył.

— Zdechnie z głodu! — pomyślała i położyła mu na deseczce kawałeczek surowej ryby. Ale i ryby sokół jeść nie chciał, a brat wzruszał jeno ramionami, gdy mu o tem mówiła.

— Cóż ja zrobię!?

— Puśćmy go!

— A jakże, żeby mi wszystkie gołębie wydusił!

— Namęczył się on tu, nagłodził! Napewno ucieknie.

— A jak nie, to co?

— To go znowu złapiemy!

— A tymczasem ile to stworzeń on życia pozbawi, hej?! Wszak on i króliki porywa i zające. Niech je rybę!...

Żal się zrobiło królownie sokoła. Gdy nazajutrz została z nim sama, gdyż królewicz powędrował jak zwykle po owoce do kniei, nie mogła dłużej patrzeć na głodową mękę więźnia i postanowiła go uwolnić. Przedtem zwabiła gołębie i bażanty do ptaszarni rzucaniem ziaren i nakryła je siecią. Poczem poszła odwiązać sokoła, ale gdy spojrzała na pierścień na jego nodze, błysnęła jej nagle myśl, od której krew jej spłynęła do serca.

— Nie!... Nie!... Niepodobna — odpędzała od siebie pokusę, lecz ta wracała uparcie. — Dlaczego? Cóż to komu zaszkodzi, że tam gdzieś ktoś dowie się, że żyjemy na świecie!? Brat gniewałby się bardzo! To prawda, ale... nawet się nie dowie! Odleci ptak i nie zostanie śladu! Jak nie zostanie go tutaj i po nas! — rozmyślała w rozterce. — Napiszę, niech będzie, co chce! Tak słodko pomyśleć, że tam jednak ktoś o nas się dowie, może pożałuje, pomarzy!... Napiszę!

Wzięła kawałek białego jedwabiu i napisała drobnymi znakami:

„Królewicz i królowna z wyspy Wiecznego Dnia ślą pozdrowienia.“

Okręciła ten liścik dokoła pierścienia na nóżce sokolej, jeszcze go z wierzchu błonką rybią pokryła i mocno przywiązała nitkami. Odwiązała sokoła, potem zdjęła mu z oczu założoną przepaskę. Ptak nie ruszył się, myśląc, że jest na uwięzi. Musiała go kijem zrzucić z żerdzi. Zakrakał gniewnie i spadł z rozpostartymi skrzydłami, a poczuwszy, że jest wolny, wzbił się chyżo w powietrze, obrzucił okiem ziemię i spadł na gołębie. Uwiązał w sieciach. Z wielkim trudem, włożywszy rękawice, aby jej nie pokaleczył, uwolniła ptaka królowna. On znowu wzbił się i znowu spadł na oszalałe z przestachu gołębie i znowu dostał się w sieci. I tak do trzech razy, potem wzleciał wysoko, zatoczył raz i drugi koło nad wyspą i poleciał w stronę lądu stałego. Królowna śledziła go z bijącym sercem, aż zniknął w błękitach, jako punkcik czarny.

## XXVI.

Rad był królewicz, że pozbył się drapieznika bez rozlewu krwi. O liściku nie wspomniała mu siostra...

Czas płynął — płynął czas. Dnie ciche, spokojne, pogodne — noce ciemne i senne.

Wypełniały je te same troski o gołębie, bażanty, o kozy; niepokoje z powodu gorszego połowu ryb, z powodu nawałnicy, od której wyległa pszenica lub ryż na polach... Łatanie odzieży, wiązanie nowych sieci, skrzętne, nieustanne zabiegi o podtrzymanie czystości i porządku w domu, lądu w gospodarstwie,

ciągnęły się, niby blada nić, od zorzy do zorzy. Znikła z czasem mglista nadzieja, jaka zatliła się na chwilkę w sercu królowny. Na co liczyła, czego pragnęła, bała się sama sobie powiedzieć. Ale liczyła i pragnęła widać nadaremno... Zabił pewnie sokoła jaki leśnik dziki, albo ptak sam zginął w dalekiej podróży... Zresztą, gdyby nawet kto znalazł i odczytał jej liścik, to co z tego mogło wyniknąć? Nic, zupełnie nic! Odczytałby i rzucił, co najwyżej opowiedziałby sąsiadom o dziwnym wypadku!...

Znow głucha tęsknota i niemoc zaczęła żreć serce ślicznej dziewczyny; znowu pobladły jej lica i, mówiąc z bratem, spuszczała na oczy powieki, aby ukryć przed nim płonący w nich smutek. Królewicz znajdował choć jaką taką rozrywkę w swych odległych wycieczkach, ale musiał przecie ktoś zostawać w domu, aby utrzymać porządek. Zresztą królowna mówiła, że „ma dość wędrówek“. Nie lubiła włóczęgi. Błękit nieba, lśnienie wody, złoto słonecznych promieni, białość obłoków, zieloność roślin, szarość skał... nie miały dla niej różnorodności. Piękne, zmienne widoki rzucały obecnie na jej roz tęsknioną duszę taki sam cień żałobny, jak niegdyś ciemne mury zamczyska. Wydawało się jej nawet chwilami, że tam było lepiej, bo tam rozbrzmiewały głosy ludzkie, często może fałszywe, czasem gniewne i okrutne, ale zato niekiedy takie słodkie, takie pozornie zrozumiałe a pełne tajemniczych uroków...

— Nie rozkwitłam, a już więdnę! — powtarzała z goryczą, spoglądając w zwierciadło.

Pogodne, uśmiechnięte oblicze brata, jego myśli,

wiecznie zajęte gospodarczemi pomysłami, jego uwaga, pochłonięta wyłącznie nowemi odkryciami w świecie roślin, kamienisk i zwierząt wyspy, drażniły ją. Nie mówiła z nim, gdy był, a jednocześnie drżała z obawy o niego i tęskniła doń, gdy znikał na dłużej. Wtedy czujne jej ucho wciąż wsłuchiwało się w szum fal, w powiewy wiatru, w krzyk ptaków... Dusza jej pełna była strasznej obawy, że lada chwila usłyszy w nich jęk ludzki, zwiastujący zgon lub dalekie rozpaczliwe wołanie...

Raz, gdy samotna, zajęta w domu robotą, wsłuchiwała się właśnie tak trwożnie w dźwięki, płynące od lasu i morza, uderzył ją głos dotychczas niesłyszany, dziwny, łamiący miarowo szmer przypływu, choć zupełnie doń podobny. Szmer szybko się zbliżał, potężniał. Wybiegła więc przed dom i, przysłoniwszy oczy dłonią, spojrziała w morską dal, lśniąca od słońca. Nogi pod nią ugięły się z przerażenia i bolesnej jakiejś rozkoszy: po modrem roztoczu płynęła wielka łódź-statek, złotym dziobem krajała wzburzone fale, kołysząc się z boku na bok jak łabędź pod wydętymi żaglami. Już była blisko, już królowna rozróżniała błyszczące zbroje wypełniających ją rycerzy. I oni pewnie ją dostrzegli, gdyż nagle zwinęli żagle i skierowali nawę do ujścia rzeczki. Wkrótce zachrzęcił piasek pod piersią statku, wyskoczyli zeń zręczni żeglarze i pociągnęli łódź na odmiał; żołnierze, w pancerzach i hełmach, sprawnie lądowali, kładli deski, sprowadzali na ziemię konie, znosili oręże. Wreszcie między połyskującemi ich rzędami ukazał się rycerz wyniosły, w czarnej żelaznej

zbroi. Za nim szli towarzysze w zbrojach pozłocistych, w barwnych drogich płaszczach, w skórach rysich i lamparcich, przerzuconych przez ramiona. Królowna spojrzała na rycerza i serce w niej zamarło: zamiast twarzy miał spuszczoną przyłbicę w kształcie strasznej wilczej paszczęki.

— Tatura! Wilk Żelazny! — pomyślała, chwytając za ukryty w fałdach odzieży sztylet.

Rycerz wolno zbliżał się ku niej, ciężko stąpając po sypkim piachu. Wreszcie zatrzymał się i skinął na towarzyszy, aby pozostali na miejscu. Wtedy spostrzegła, że ma złotą gwiazdę na czole, że jest jakiś od Tatury smuklejszy, zgrabniejszy, i wstąpiła w nią otucha. Nie ruszała się jednak i nie wypuszczała z ręki sztyletu. Rycerz postąpił kroków kilka i ukląkł:

— Tyżeś to, Królowno! Przeszukałem pół świata, obszedłem lądy i morza i już straciłem nadzieję, że cię kiedykolwiek odnajdę... Aż oto jesteś! Królowno, Królowno... Wyśniona, wymarzona Królowno! — zaszeptał głos miły i znany.

— A któż ty jesteś, rycerzu!? Podnieś przyłbicę!  
— odpowiedziała, tłumiąc wzruszenie.

— Czy mi przebaczysz sprowadzone przeze mnie nieszczęścia? Prześladowania swoje, ruinę Twego kraju i rodziny!?

— Tatura!... — pomyślała z przerażeniem.

— Nie wiem, kto jesteś, rycerzu! — wyszeptała cicho.

Wtedy on podniósł przyłbicę i z żelaznej ramy spojrzały na nią oczy przejmujące a szare, dziwnie znajome.



— Któż jesteś, rycerzu? Wstań, proszę Cię! — powtórzyła, objęta do reszty słodkimi mieszaniem.

Rycerz wstał i jeszcze bliżej przystąpił.

— Więc mi przebaczasz?! Ale pewnie nie poznasz mnie, Królowno? Czy pamiętasz... ogrodniczka? Królowna wtył się cofnęła.

— Ogrodniczka? Owszem, pamiętam... Ale... skądże ta zbroja, ten orszak? Co wspólnego między potulnym, bezbronnym niewolnikiem, a Wilkiem Żelaznym, strasznym, nieubłaganym rycerzem-najeźdźcą, okrutnym wojownikiem? Ach rozumiem: zwiodłeś nas przebraniem ubogiem, udaną pokorą... Teraz rozumiem, dlaczego zginął Bączuś?! Połączyłeś się z Taturą, a teraz przychodzisz dokończyć zwycięstwa...

— Wstrzymaj się, Królowno! Wcale nie tak było... Na początku byłem istotnie wrogiem waszym, chciałem zagrabić wasze ziemie i wasze bogactwa... Byłem młody, żądny sławy i walki... Pobity przez was... zapragnąłem odwetu, postanowiłem poznać waszą siłę, co nawet uciemiężonych chłopów przeciwko nam obróciła... Dostałem się w przebraniu do waszego serca... do zamku... Tam nauczyłem się cenić wasze urządzenia, waszą wiedzę, waszą naukę. I choć obrzydził mi to w znacznej mierze Tatura, obrzydziły chytre zabiegi i fałszywe dworaków, lecz przyłgnęło serce moje do was... Zrozumiałem, że mogę zagrabić wasze bogactwa i ziemię, ale duszy przemocą nie wezmę! Zapragnąłem przeto mój lud dźwignąć, wyprowadzić z gąszczów leśnych, zrobić na ludzi do was podobnych... okrzesać na wasz

wzór... nauczyć... zjednoczyć z wami! A potem, gdym zobaczył ciebie, królowno... już serce i myśli moje nie należały do mnie, dlatego dwakroć zbawiłem wasze dziedziny... Miałem prawo do ręki twojej... ale chciałem... spróbować... czy... nie pokochasz mię... bez przymusu... Tymczasem Tatura wtrącił mię do lochu! A co dalej się stało, sama wiesz o tem dobrze... Bączuś zginął z ręki Tatury, z jego ręki zginął i Król, twój rodzic... Spłonął zamek... Tatura w zamieszaniu porwał Królową i uszedł... Długo jeszcze plądrował po kraju, mącił, burzył, aż poległ w otwartym boju od tego oręza! — uderzył zbrojną ręką po głowni wielkiego miecza, na którym się wspierał. — Nie mogłem więc od nikogo dowiedzieć się, gdzieście się wy podzieli... Królowa podobno wiedziała, ale umarła wkrótce z żalu, z niewygód i wstydu w obozie Tatury... Aż oto przyniósł mi wieść... sokół! Od wziętych do niewoli wojowników Tatury dowiedziałem się, że was szukali na jego zlecenie w tej stronie! Kazałem wyszykować nawę i popłynąłem... Rybacy z tamtego brzegu wskazali na chmurę w dali i powiedzieli, że to właśnie wskazana wyspa... Towarzysze wierni nie opuścili mię w trudnej podróży i oto jesteśmy!

— Witam was, skoro przybywacie, jako przyjaciele! Kaz, władco, rozpalic ogniska żołnierzom. Niech złożą oręż i zdejmą zbroję bez trwogi, aby wypoczęli po trudach w spokoju!... A ty wejdz do chaty naszej i pokrzep się skromnym posiłkiem, na jaki stać ubogich tułaczy... Potem może opowiesz nam szczegółowiej wszystkie zdarzenia, abyśmy mo-

gli zrozumieć, czego od nas żądasz, i osądzić, co uczynić dla ciebie możemy!

Wilk Żelazny skinął na rycerzy z orszaku, wydał im rozkazy, poczem zdjąwszy szyszak, wszedł za królową do chaty. Poznała go teraz wybornie — tak mało się zmienił.

Tasama sucha twarz orla, tensam wąsik ciemny, mały, te same oczy szare, to zimne i bystre, jak grotty żelazne, to słodkie, pieściwe, jak przesłonecznione obłoki.

Rycerz rozglądał się nieznacznie po izbie, podczas gdy królowa szykowała na stole miód, chleb, orzechy i leśne owoce. — Gdy siadła na ławie za stołem i zaprosiła go do posiłku, poczuła, że wzrok jego z tkliwością i zadumą spoczął na jej zgrubiałych rękach, na opalonej twarzy, i zarumieniła się mocno.

— Opowiadaj, rycerzu, wszystko po raz wtóry, od samego początku, a szczegółowo... Wszystkiego jestem ciekawa, wszystko wiedzieć pragnę... Każdy drobiazg mię cieszyć będzie!

Opowiadał więc rycerz, jak z Bączusiem uciekli ongi z zamczyska, jak przybyli do wskazanych wojewodów, jak ci niechętnie i podejrzliwie ich przyjęli, jak potem jeździli z listem królewskim od zamku do zamku i jak on, Wilk Żelazny, przekonawszy się, że mało wskóra u nastraszonych przez Taturę lub zaprzędanych mu wielmożników, postanowił zwrócić się do swego ludu i powieść go na odsiecz ginącego państwa, na odbudowanie nienawistnego niegdyś królestwa. Z trudem udało mu się przekonać swoich nieokrzesanych współziomków. Musiał to czy-

nić ostrożnie, aby nie wzbudzić podejrzeń. Musiał wykazywać, że uczynić to winni dla własnej li tylko korzyści. Dlatego rozstał się pozornie wrogo z Bączusiem i ten go zapodejrział o zdradę i nie chciał z nim następnie traktować... Dopiero po długich, długich wysiłkach udało się zamiar cały skutecznić, Bączusia i część wiernego królowi rycerstwa do sojuszu nakłonić. Wtedy ruszyli pod zamek i wzięli go bez trudu, dzięki tajemnemu przejściu...

Opowiadał po raz wtóry, obszernie, o walce w zamku, o śmierci Króla, o wymknięciu się chytrego Tatury z częścią załogi i jego po całym państwie wicherzeniach...

Królowna słuchała z głową wspartą na rękę, tak że Wilk Żelazny nie mógł dobrze widzieć jej twarzy. Widział jedynie, jak falują jej piersi wzburzone. Gdy wreszcie powiedział, że po śmierci Królowej cały lud i rycerstwo jej ojczystego państwa zgodnie okrzyknęło królem jego, Żelaznego Wilka, „barbarzyńcę“, wczorajszego wroga, zapytała go królowna suchym, trochę rwącym się głosem:

- Więc czegoś chcesz od nas, miłościwy Panie?
- Chcę, abyś wróciła i... zasiadła na tronie!
- Wszak już... zajęty!

Przemilczał rycerz, ale szybkim spojrzeniem uchwyciła królowna, jak mu usta zadrzały, jak zbladły śniade od wiatru i słońca policzki. Oczy spuścił i miał niespokojnie zwieszający się na pancerzu łańcuch królewski, łańcuch jej ojca.

— Zapewne potrzebne ci to, aby uśmiercić ostatecznie w państwie rozruchy, uspokoić tych, co chcie-

liby na tronie widzieć prawowitych dziedziców...  
Czy nie tak? — pytała go cicho.

Podniósł strwożone, zmęczone źrenice:

— O, ty wiesz, Królewno, że nie, że ciebie... ciebie pragnę i miłuję nad wszystko!

Puściła mimo uszu westchnienie rycerza i ciągnęła dalej:

— Nie ja wszakże jestem dziedziczką korony, lecz brat mój! Cóż uczynimy z bratem?

Tymczasem on dostrzegł, jak fala bladego rumieńca zalała jej twarz i szyję łabędzią, jak zapłonęły uszy maleńkie. Oczy mu rozbłysły i odrzekł weselej:

— Brat pojedzie z nami, podzieli panowanie. Gdzież on jest? Kiedy wróci?

— On wróci niedługo, ale skoro was zdala zobaczy, gotów uciec, nie przyjść wcale, a ja go nie porzucę!

— Więc dam rozkaz, żeby żołnierze zabrali stąd nawę, a sami schowali się w zaroślach. Sam go spotkam, jeżeli pozwolisz, tutaj, Królewno, i wytłumaczę mu wszystko!...

Odszedł do wojska, aby wydać rozkazy, a gdy wrócił z powrotem, był już bez zbroi, bez oręża, w długiej, purpurowej, skąpo złotem dzierganej szacie prostego rycerza. Królewna z wdzięcznością spojrzała na tę jego przemianę, w której wyrażała się ufność i poddanie jej rozkazom. Gawędzili do późnej nocy przy świetle świec woskowych. Miał Wilk Żelazny co opowiadać, a królewna miała co słuchać. — Aż spostrzegła po gwiazdach, że już po północy, i wysłała na

spoczynek do pokoju brata znużonego długą podróżą gościa.

Sama jednak usnąć nie mogła. — Przesuwały się przed nią stare wspomnienia, przerywane obrazami z opowiadań Żelaznego Wilka, i sam on stał przed nią — miły w swem zmieszaniu...

Księżyc wpadł jasnym słupem przez okno do izby i spędził do reszty sen z jej oczu.

— Co będzie? Co zrobić?!... Co powie brat? A co, jeżeli to wszystko wybieg, mamidło i urok?... Jeżeli jej się wszystko przywidziało?... Jeżeli tam w komorze nikogo niema, albo, co gorzej, śpi tam nie miły rycerz, lecz Żelazne Wilczysko, straszdyło, o którym gadki opowiadali jej w dzieciństwie, o którym mówił jej ojciec w ową noc straszną?... A co, jeżeli to nie rycerz, a odmieniec, przedzierzgnięty gusłami w postać ponętą, aby ino łącniej oboje ich zwabić, porwać i uwieść na brzeg tamtejszy? Pewnie dowiedział się, że brat nie da się wziąć łatwo, że im ujdzie i zniknie w puszczech niezbadnych... Więc teraz jej używa za wabia, mącąc i trując jej serce... skłaniając do zdrady!... A następnie, schwytawszy, straci oboje śmiercią okrutną wobec zebranego ludu, w krainie ojczystej, aby raz na zawsze zabić w narodzie niebezpieczną dla panowania swego legiendę!...

Zadrzała królowna, zimno grobu poczuła wkoło siebie.

— Chyba pójdę, ostrzegę brata!... Czy co?... — rozmyślała w rozterce.

Nie mogła dłużej na łożu wytrzymać, zarzuciła na gieźło ciemną szatę, ale nim wyszła z izby, pod-

kradła się cichutko na bosych palcach do sypialni brata. Odchyliła drzwi niedowarte. Nieznajomy spał smacznie na łożu, z twarzą zwróconą do blasku miesiąca.

Nic się nie domyślał; twarz szczerą i ufna uśmiechała się do sennych swych marzeń.

— Jakże on podobny do tego rycerza, który zwiadywał mi się na balkonie zamkowym! — wspomniała z słodkim bólem królowa. — A może myślę się wystraszonem sercem, może wszystko tak jest, jak on mówi? Ach jakże, jakże dowiedzieć się prawdy, istotę rzeczy przeniknąć?... Więc albo szczęście mam na wieki utracić, albo życie w razie omyłki!... Ach gdyby nie brat, gdyby nie brat!... Poszłabym za nim na wszelkie męczarnie, aby poznać swój los do kresu — zmagala się z sobą, przywarłszy do ściany u progu.

Wtem spostrzegła, że ocknął się rycerz, że oczy błyszczące w drzwi utkwili; więc ruchem motylim pierzeła i schroniła się w swojej izdebce.

Przytulona do łoża nasłuchiwała z bijącym sercem, co gość robi; rozpoznała, że wstaje, że szaty wdziewa. Spojrzała w okno i dostrzegła, że tam na dworze, nad sinem morzem już poświata księżycyca miesza się z różowym świtem.

— A niech się stanie, co się stać ma!... szepnęła i oczy zamknęła.

Ostrożnie stąpając, przeszedł mimo jej okienka gość; błyszczący szyszak mignął jak słońce pod chmurą piór tęczyowych. Skierował kroki w las i wkrótce zabrzmiały tam ciche głosy i brzęki wojenne.

Wstała królowna, przybrała się godnie w najlepsze szaty, krucze warkocze w koronę zwinęła na głowie. Była blada, ale wrócił jej spokój niezmiennego postanowienia. Sporządziła śniadanie, czystym obrusem stół nakryła; postawiła trzy nakrycia, dla siebie, brata i gościa...

Niedługo przyszedł Wilk Żelazny znowu bez zbroi, w tejsamej purpurowej szacie.

— Idzie już książę! Zaraz tu będzie! — szepnął z wesołym, serdecznym uśmiechem. — Moi ludzie słyszeli, jak łomocze w kniei! Co to on z sobą wie-dzie? Taki hałas, ryki i szczekanie!

— Ach, to nasze psy i bestje! — rozśmiała się królowna. — Schroń się, rycerzu, schroń, bo mogą się rzucić na ciebie!...

Wilk Żelazny schował się za odrzwia chaty z żartobliwie udanym przestraczem. Jednocześnie wypadły z gęstwiny dwa czarne psy, a za nimi wynurzył się z oszczepem w ręku królewicz. Wspaniały rogacz pobekując szedł z jednej jego strony, z drugiej pomykała para zajęcy, wielki czarny odyniec podążał chrząkając z tyłu. Chmara gołębi i bażantów, spostrzegłszy go, poderwała się z ziemi i okoliła mu głowę ruchomym wieńcem; kule białych królików potoczyły mu się pod stopy.

Królowna czekała, aż się brat zbliży, i namyślała się, jak mu opowiedzieć nowinę, gdy wtem psy dopadły do chaty, otoczyły ją z niespokojnem poszczekiwa-niem, poczem ujadając rzuciły się nagle ku nadmorskiemu skrajowi lasu. Królewicz zatrzymał się zdziwiony.



— Co to?

Nagle w lesie zarżały konie.

— Zdrada!... Siostró, zdrada! Uciekajmy!...  
chodź! Czego stoisz?

Chciał się cofać, lecz już od lasu wychodzili wojownicy i zastępowali mu drogę, a z chaty wyszedł Wilk Żelazny bez hełmu, bez oręża, bez broni. Poznał go odrazu królewicz:

— To on!... — rzekł. — Zbawca nasz i wróg!...  
Czego on tu chce?!

Wilk Żelazny podchodził coraz bliżej, rękę wyciągnął i mówił głosem łagodnym.

— Czas już wrócić, Królewiczu, do ludzi! Nie masz prawa gubić życia swego i siostry!... Poddani czekają na ciebie!

Królewna chwyciła brata za ramię, za szyję, Wilk Żelazny ujął go za rękę, zbliżyli się od lasu rycerze i wojownicy. Musiał królewicz ulec.

Wprowadzili go do chaty, posadzili na stołku i jęli opowiadać, co i jak się stało, przekładać i przeproszać.

Królewicz się chmurzył. Żał mu było wyspy. Poweselał trochę jednak, gdy mu powiedziano, że znajdzie się na statku dość miejsca, aby zabrać ukochane ptactwo i zwierzęta.

— Nie spodoba ci się u nas, to wrócisz! Pałac ci tu na wyspie wybudujemy! — pocieszał go Wilk Żelazny.

\*

Sute wyprawiono weselisko w odbudowanym zamczysku. Łuna tęczowa jak za dawnych czasów biła w pałacowych komnatach od strojów dworskich, od

drogich kamieni i świateł lamp kolorowych. Gięły się stoły od złotych mis i kryształowych dzbanów. — Oczy wszystkich szły za parą królewską, cudną, wysmukłą, dostojną... Królowa miała na sobie ulubioną białą, szytą srebrem suknię i gałązki białego kwiecica pomarańczowego na piersiach i we włosach. Wyglądała ślicznie, ale była smutna, gdyż wspomniała tych, których już nie było. Obok niej snuł się jak cień Wilk Żelazny w czarnej szmelcowanej zbroi, ze złotym królewskim łańcuchem na piersiach.

W otoczeniu widać było rycerzy Białych, Purpurowych, Błękitnych, a nowy Strażnik Koronny, wojewoda Gomulicki, dostojnie nosił swój płaszcz szkarłatny i złotą buławę. Nawet Dydko na Słomianych Nóżkach porzucił dla tej uroczystości swoje teleskopy i zjawił się wśród gości. Ogromnym został powitany śmiechem, którego długo nie rozumiał i obracał na śmiejących się swoje sowie, zdumione oczy:

— A gdzie to kaftan jegomości? — spytał go wreszcie kanclerz Kwiatkowski.

— Kaftan? Aha!... Zapomniałem go włożyć... Zaraz pójdę na górę...

— Poco? Przecież masz go Waćpan w ręku...

Długo uczony astrolog wkładał ten kaftan nadzwyczajny, aż się rozgniewał, że nie może trafić z nim do ładu, i poszedł do siebie na górę. Zaraz zajrzał do teleskopu i zamruczał kwaśno:

— Aha! Było do przewidzenia: Mars wstępuje w znak Raka!

Uroczystość, zabawy, pochody z muzyką, z światłem, ze śpiewami trwały miesiąc. Ale Wilk Żelazny

już na drugi dzień odbywał zwykle z dostojnikami narady, wysyłał gońców i wydawał rozkazy...

Odtąd barwna struga wesołego życia płynęła przez zamek nieustannym potokiem, to piękna, to surowa, to śmieszna, jak zwykle na tym świecie. Tylko królewicz nie mógł sobie miejsca w tym wirze znaleźć. Milczący, posepny stronił od grzecznych dworaków, zaszywał się w ciemne kąty albo uciekał w odległe aleje ogrodu... Odwiedzał co dnia swoje zwierzęta, umieszczone w wygodnych klatkach, w zagrodach, karmił je własnoręcznie i poił. Najczęściej jednak siedział u siebie i grał na gęślikach.

Wreszcie jednego dnia wywołał siostrę do przed-sionka, poczem, ująwszy ją pod ramię, wyprowadził do ogrodu.

— Czego chcesz, Jaśku? — pytała go dobrotliwie.

— Odchodzę!

— Dokąd? Na wyspę?

— Nie, na wyspę już niewarto... Znajdą mnie tam łatwo... Zresztą bez ciebie będzie pusto...

— Gdzież więc chcesz odejść? Czy ci tu źle u nas?

— Nie wiem! Pójdę tam, gdzie zrozumieć, że jest ze mnie jakiś pożytek... Tu... nie mogę... Tu po dawnemu fałsz, kłamstwo, chciwość, darcie się o zaszczyty... Wstrętne i głupie zachody... Wciąż trzeba wysilać mózg, żeby odróżnić prawdę od oszustwa... Nie mam na to siły i ochoty... Te same Tatury i Rondle, tylko inaczej odziane i nazywane... Wciąż strzec się trzeba zasadzki, wciąż się bronić od czającej się napaści... Ja tego robić nie umiem i nie chcę... Dla kruszyny dobra trzeba tu cierpliwie znosić góry

błota... Myślę, że z tego koniec końców nic nie będzie! Żal mi cię, siostró!

Królowa brwi zmarszczyła.

— A mnie żal ciebie, braciszku! Co komu z twej cnoty?! Mieszać się trzeba do życia! Naginać je po swojej myśli! Wolę już mego Żelaznego Wilka, choć jest gwałtowny i surowy czasami, ale on mądre prawa wprowadza, ulepsza życie powszechne, ulepsza ludzi... Będę przy nim stała, będę podtrzymywała go w dobrem i odwoziła od złego...

— A lud, o którego ulgi tak cię prosił Bączus przed śmiercią, czy nie jęczy, jak jęczał?

— Ulżymy i jego doli... przerobimy wszystko... Ale sam widzisz, czyż można odrazu... Wieki to narastało, lata przerabiać trzeba!

— Już to słyszałem, już to ojciec mówił! Ja nie mogę razem z wami siedzieć na karku tego ludu i kazać mu czekać na zmiłowanie sytych... Więc odchodzę... Żegnaj!

— Do widzenia, bracie kochany, ale odwiedź nas czasami!

— Zobaczę!

Owinął się w płaszcz, pod który schował złote gęsliki, i odszedł w stronę ciemnej bramy zamkowej. Słuch wszelki o nim zaginął.

Troskała się siostra, popłakiwała, wywiadywała. Aż po długim czasie doszła do zamku wieść głucha, że pojawił się w królestwie jakiś gęslarz cudowny, który najniezwyklejszym, biednym, cierpiącym wygrywa na złotych gęslikach piosenki otuchy i pociechy.

Paryż, 9 kwietnia 1911 r.

Koniec.







832087/6/00

80-

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

138781

Biblioteka WSP Kielce



0139506